

Marcin Ogdowski
Afganistan - przez przypadek
nie zginąłem

Jan Holoubek
Zwyczajni rodzice, zwykły dom

Dr Alicja Długolecka
Mała pigułka,
wielka rewolucja

**Domy opieki –
umieranie z samotności**



Platforma Obywatelska **POGRZEB NA RATY**

Zostań Partnerem Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę

Rozpoczynamy projekt rozbudowy i modernizacji placówki, w której skrzywdzone i wykorzystywane seksualnie dzieci od 2018 roku otrzymują bezpłatną pomoc.

**Pomóż dzieciom – dołącz do Partnerów
Zielonego Centrum Pomocy Dzieciom!**

Kontakt: magda.sadlowska@fdds.pl



Więcej na stronie: fdds.pl



tremend





Mieszkaniowe baju baj

To jest stały element gry polityków z Polakami. Odkąd pamiętam, każda ekipa obiecywała budowę mieszkań. Przed wyborami. I choć minęło tyle lat, nikomu nie udało się zbliżyć do rekordów z czasów Gierka. Gdzie spojrzeć, stoją bloki z lat 70. i 80., a 20-letnie budynki na warszawskim Ursynowie i w wielu innych miastach sypią się na potęgę. Efektem wolnego rynku są błyskawiczne fortuny wycwanionych deweloperów i dożywotnie kredyty mieszkaniowe, które ludzie będą spłacać, mieszkając w blokach do remontu.

Gdyby zebrać wszystkie mieszkaniowe obietnice polityków, jakie głosili po roku 1990, powstałby wielki papierowy pomnik. Pomnik hucpy i żerowania na naiwności rodaków. Pomysłowości i fantazji obiecującym mógłby pozazdrościć sam Stanisław Lem. A beczelności nawet Ryszard Czarnecki. Cwany polityk PiS, który dla ojczyzny ratowania jeździł zimą w starym, odkrytym samochodzie z Przemyśla do Brukseli i na ten prostactki, choć kosztowny numer naciął nas, bo Unia to też my, na pół miliona złotych. Co zwykły wyborca może myśleć o takich oszustach, którzy obleźli politykę? Jak ma traktować media, które robią z nimi wywiady jak gdyby nigdy nic, jakby nie było tych wszystkich oszustw i złodziejstwa na dużą skalę? Zwykły obywatel siedziałby za to w areszcie albo po wyroku w więzieniu.

Problem tanich mieszkań jest problemem systemowym. Rozwiązywalnym. Są kraje, gdzie potrafiono to zrobić. Z pewnością taką drogą nie jest dorzucenie do obiecanych przez Morawieckiego 100 tys. mieszkań kolejnych 75 tys. obiecanych przez Lewicę.

Morawiecki to polityk, który pracuje doraźnie. Nie zna przecież dnia, gdy z kaprysu prezesa Kaczyńskiego przestanie być premierem. Jest nowym wcieleniem Zagłoby. Też potrafi obiecać Niderlandy, a co dopiero jakieś 100 tys. mieszkań czy milion samochodów elektrycznych.

Na szczycie piramidy politycznej mamy prezydenta Dudę. Można powiedzieć: jaki człowiek, taki szczyt. I to jest najtańsze określenie kogoś, kto będąc modelem ignorancją, odmawia kwalifikacji i patriotyzmu prof. Adamowi Bodnarowi, rzecznikowi praw obywatelskich. Dudzie ufa jeszcze 41% Polaków. Ale ta winda jedzie już tylko w dół. Wstyd, że kraj z takimi aspiracjami ma kogoś tak marnego.

Czy może więc dziwić, że większość Polaków obserwujących, jak sobie poczynają ludzie ze świecznika, uważa, że są wobec tego kompletnie bezradni? Według CBOS 61% Polaków jest przekonanych, że ludzie tacy jak oni nie mają realnego wpływu na bieg wydarzeń w kraju.

Nasz **newsletter** czeka

Zapisz się, otrzymasz fragment książki prof. Andrzeja Walickiego „PRL i skok do neoliberalizmu” w prezencie!



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

JAKUB ŻULCZYK, pisarz

Kiedy zapanował krwiożerczy kapitalizm, główną religią społeczną, ważniejszą niż katolicyzm, stał się jakiś darwinizm.
„Polityka”

AGNIESZKA CEGIELSKA, dziennikarka

Marzy mi się moda na czarną porzeczkę, dziką różę i aronię.
To moi superbohaterowie.
„Viva!”

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Platforma Obywatelska**
Pogrzeb na raty
- 11 Czy Platforma przetrwa ten kryzys?**
– rozmowa z prof. Jarosławem Flisem
- 13 Wielka samotność w domach opieki**
Mieszkańców DPS zabija tęsknota
- 16 Popchnąć gospodarkę na nowe i ciekawe tory**
– rozmowa z dr. Tomaszem Makarewiczem

WOJSKO

- 19 Blizna**
Wojna się nie kończy, gdy milkną strzały

ZAGRANICA

- 23 Największy wyścig współczesnego świata**
Szczepionkowa batalia gigantów
- 26 Jerozolimskie beczki prochu**
Konflikt Izrael – Palestyńczycy
- 30 Powolna śmierć najgorszej z kar**
Kto stosuje karę śmierci
- 32 Kolumbia: pokój jeszcze daleko**
Korespondencja z Ameryki Południowej

OPINIE

- 36 Małgorzata Żuber-Zielicz**
Kłopot z podstawami programowymi

KULTURA

- 42 Kamera zawsze leżała w domu**
– rozmowa z Janem Holoubkiem
- 45 Culturalia**
- 46 Z „Wieczoru” do „Czerwoniaka”**
Kariera Tadeusza Dołęgi-Mostowicza
- 66 Józef Wilkoń. Konie i niekoniecznie**

ZDROWIE

- 50 Pigułka, która zrobiła rewolucję**
– rozmowa z dr Alicją Długolecką

MEDIA

- 54 Grand Press Photo 2021**

EKOLOGIA

- 56 Turnicki Park Narodowy teraz!**
Inicjatywa Dzikie Karpaty

SPORT

- 58 Jak w wielopokoleniowej rodzinie**
100 lat „Przeglądu Sportowego”

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Mieszkaniowe bajki
- 29 Jan Widacki**
Litwa naszą przewodniczką do Europy
- 35 Roman Kurkiewicz**
Polska bez celu
- 39 Andrzej Szahaj**
Bill Gates jako zbawca ludzkości
- 41 Tomasz Jastrun**
Głowa gołębia
- 53 Wojciech Kuczok**
Rakowiec, 12 maja, godzina 14.05



32

ZAGRANICA

KOLUMBIA: POKÓJ JESZCZE DALEKO
Korespondencja z Ameryki Południowej

54

MEDIA

GRAND PRESS PHOTO 2021



TURNICKI PARK NARODOWY TERAZ!
Inicjatywa Dzikie Karpaty

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS(2), MAREK KONRAD/REPORTER, SHUTTERSTOCK



f Jaka Polska po wojnie

Polska miała przyjąć plan Marshalla? Plan Marshalla zakładał stworzenie z Polski kraju typowo rolniczego. Utrwalał on przedwojenny podział na uprzemysłowiony Zachód i rolniczo-surowcowy



Wschód, więc co z tego, że być może łatwiej odbudowalibyśmy domy, drogi i koleje? W dalszym ciągu byłibyśmy krajem rolniczym, bez rozwiniętego przemysłu, bardziej niż kiedykolwiek uzależnionym od innych. A przecież bez uprzemysłowienia nie ma postępu technicznego, nowych technologii. Warunkiem otrzymania pomocy z tego planu było też otwarcie kraju na penetrację kapitału Stanów Zjednoczonych oraz utrzymanie gospodarki wolnorynkowej – ze wszystkimi tego negatywnymi konsekwencjami. Plan Marshalla był zatem nie do zaakceptowania nie tylko przez władze państwowe (początkowo go przyjęły, na szczęście wycofały się), ale także przez odpowiednik przedwojennych władz, Rząd RP na Emigracji, który również chciał uprzemysłowienia Polski.

Skoro mowa o braku suwerenności, przyjęcie pomocy Stanów Zjednoczonych również powodowało jej utratę, tylko na rzecz innego supermocarstwa. W krajach zachodnich armia USA stacjonowała jeszcze liczniej i miała jeszcze większy arsenał niż Armia Radziecka w krajach bloku wschodniego. Warto także zanotować, że część amerykańskiej „pomocy” miała postać wysoko oprocentowanych kredytów – np. jeszcze w 1969 r. odsetki z planu Marshalla stanowiły 62% zadłużenia zagranicznego Irlandii. Po zakończeniu wojny świat został podzielony, nie było możliwości zachowania pełnej suwerenności.

Michał Czarnowski

f Kościół bez liderów, bez wizji

Z artykułu „Kościół bez liderów, bez wizji” wynikałoby, że zepsucie polskich biskupów i gnicie Kościoła katolickiego to kwestia ostatnich kilku, może kilkunastu lat. Tymczasem to proces rozpoczęty jeszcze w I Rzeczypospolitej, zapobiegliwie konserwowany w czasach zaborów, w ogóle nieruszony w II Rzeczypospolitej, niespecjalnie interesujący niemieckie władze, chwilowo i słabo powstrzymany za Bieruta, wracający na swoje tory za Gomułki, rozpędzony za Gierka i Jaruzelskiego, a osiągnął prędkość światła w III RP i jej zwyrodnieniach.

Mariaż polskiego Kościoła katolickiego z nacjonalizmem (choć twórcom endecji wydawał się sojuszem czysto technicznym) był mistrzowskim posunięciem ze strony władz Kościoła: Polak równa się katolik.

Olaf Nowaczyk



f Powrót analfabetyzmu

O wtórnym analfabetyzmie zaczęto mówić ok. 20 lat temu. Od tamtej pory jest tylko gorzej. Ale jak ma być, skoro np. jedynym narzędziem sprawdzającym ułamek wiedzy stały się testy? Ułamek, bo przecież nie całą wiedzę.

Bo wiedza to nie tylko treści, ale również, lub przede wszystkim, umiejętności.

Barbara Tomasiak



Więcej listów na ten temat na s. 40

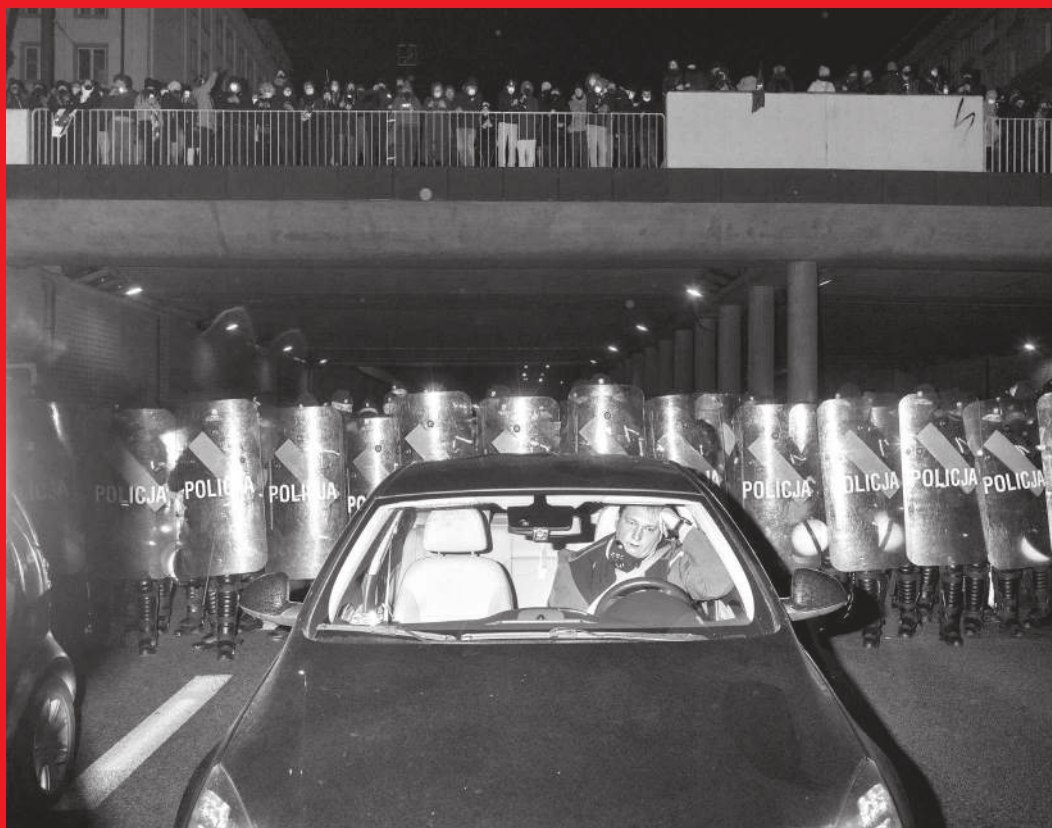
ZDJĘCIE ROKU

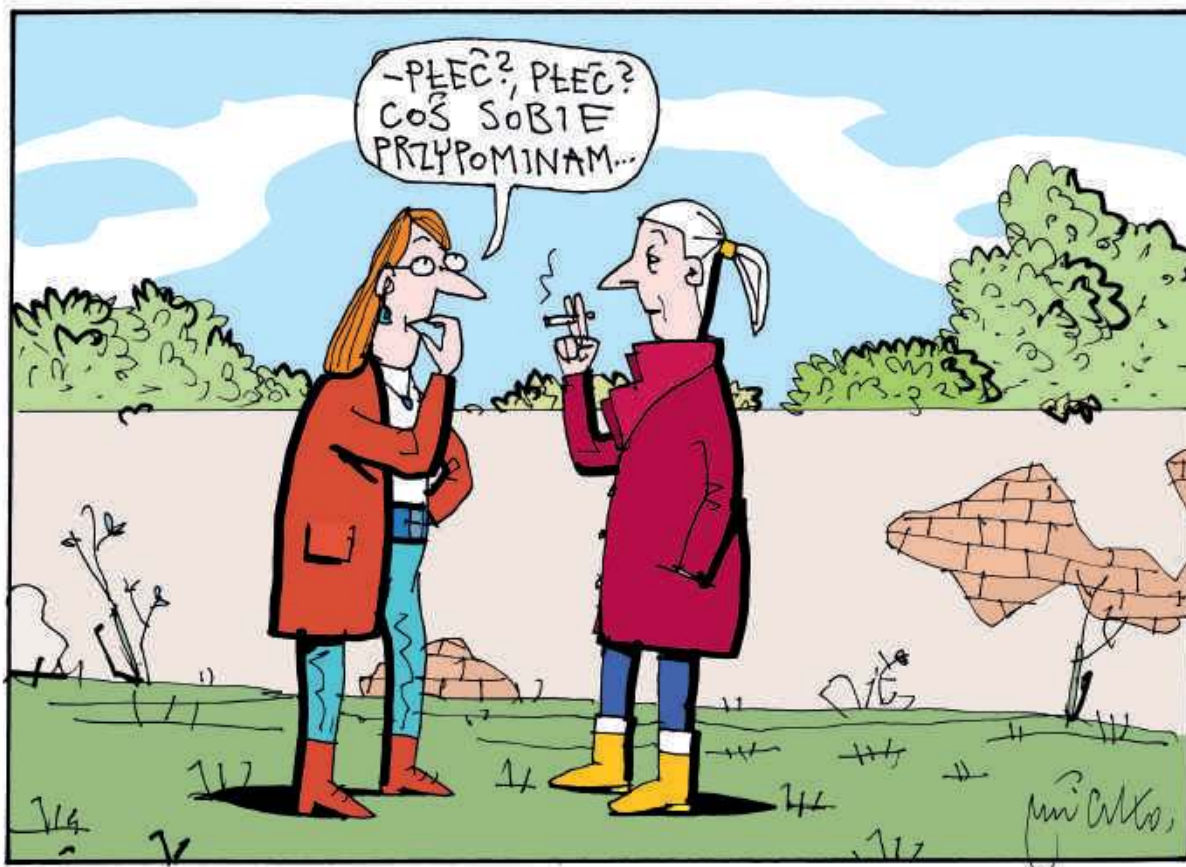


**GRAND
PRESS
PHOTO**
2021

I miejsce w kategorii
WYDARZENIA
– Adam Lach,
Napo Images

Kierowca
utknął między
kordonem policji
a protestującymi
przeciw orzeczeniu
Trybunału
Konstytucyjnego
w sprawie aborcji.
Warszawa,
28 listopada 2020 r.





PYTANIE TYGODNIA

Co obecnie jest dla Polaków wyznacznikiem sukcesu?

DR MAJA SAWICKA,
socjolożka, UW

Kiedy podczas indywidualnych wywiadów zadawaliśmy pytanie o osiągnięte sukcesy, badani często nie byli w stanie od razu na nie odpowiedzieć, a czasami wręcz od niego uciekali. Gdy ich dociskaliśmy, wskazywali trzy główne obszary. Najczęściej wymieniane było udane życie rodzinne: brak kłótni, miła atmosfera, to, że dzieci dobrze się uczą itd. Za sukces uznawano także „ogarnianie życia”, czyli ogólne dawanie sobie rady. Dopiero na trzecim miejscu pojawiała się, i to raczej po dopytywaniu, aktywność zawodowa. Co ciekawe, częste było bagatelizowanie dokonań w tej sferze, np. podkreślanie, że awans „się trafił”. Jako coś, czym można się pochwalić, przedstawiano raczej wywiązywanie się z obowiązków. Zastanowiło nas, dlaczego Polacy pomniejszają swoje dokonania na polu zawodowym, a jako sukcesu nie wymieniają powodzenia materialnego. Nasuwa się wyjaśnienie, że po okresie transformacji w społeczeństwie nie wytworzyły się jednoznaczne kryteria sukcesu życiowego. Kariera zawodowa wciąż jest traktowana jako coś nie do

końca czystego, jako obszar nepotyzmu oraz moralnych kompromisów, i stąd lokowanie sukcesu raczej w sferze prywatnej.

JACEK RAKOWIECKI,
były redaktor naczelny „Vivy!” i „Filmu”

Myślę, że nie ma jednego takiego wyznacznika. Dla niektórych będą nim coroczne wakacje na Seszelach, a dla innych to, że wreszcie nie mają chwilówek i że mogą dziecku kupić zeszyty do szkoły. Jeżeli coś łączy wszystkich Polaków – tutaj pozwolę sobie na daleko posuniętą złośliwość, niepozbawioną jednak pewnych przesłanek – to być może poczucie szczęścia, gdy nie powiedzie się sąsiadowi.

ANDRZEJ CHOJNOWSKI,
redaktor prowadzący magazynu „Sukces”

Intuicja podpowiada mi, że w ostatnich miesiącach doszło pod tym względem do sporych przewartościowań, które znajdą odzwierciedlenie w badaniach. Nadal chcemy dobrze zarabiać i cieszyć się szczęściem domowym, ale przypuszczam, że pojawiły się dodatkowe kryteria udanego życia. Są one związane z próbami radzenia sobie z tym, jak przeżyć

ła nas pandemia, np. z poszukiwaniem miejsc i sposobów na to, jak odpocząć i oderwać się od rzeczywistości. Bardzo dużo zmieniają media społecznościowe, w których można zobaczyć, że ktoś np. ma możliwość pracy zdalnej z Majorki albo z domu w Bieszczadach. Ci, którzy nie mają takiego komfortu, zaczynają o tym marzyć, choć oczywiście dla przedstawicieli niektórych profesji jest on z definicji niedostępny. Mówiąc bardziej ogólnie, spodziewam się, że ideał równowagi między pracą a życiem przynajmniej na jakiś czas ustąpi miejsca ideałowi pracy będącej jedynie uzupełnieniem życia.

JANINA FRYKACZ,
czytelniczka PRZEGLĄDU



Moim zdaniem sukces to sprawa indywidualna. Dla jednych będą to osiągnięcia na polu zawodowym, naukowym czy materialnym, dla drugich dotrzymanie jakichś postanowień, np. zwycięstwo w walce z nałogiem. Najważniejsze, żeby nasze małe życiowe sukcesy sprawiały, że czujemy się szczęśliwi i spełnieni.

Not. Michał Sobczyk

POgrzeb na raty

Tej Platformy, która królowała na polskiej scenie i według Donalda Tuska nie miała z kim przegrać, nie ma i już nie będzie

Robert Walenciak

Czy to koniec Platformy Obywatelskiej? I tak, i nie. Trudno przypuszczać, by nagle zdjęła sztyl i zwinęła sztandar. Za wielkie to struktury, za dużo interesów. Ale równie trudno przypuszczać, by powróciła do dawnej świetności. Tej Platformy, która królowała na polskiej scenie politycznej i według Donalda Tuska nie miała z kim przegrać, nie ma i już nie będzie.

Ta Polska, którą napędzała, często sztucznie kreowana, wojna między PiS a PO, też już się kończy. Co dalej?

Lista chwały

Lista chwały PO jest długa. Od roku 2007, kiedy Platforma pokonała w przyspieszonych wyborach PiS, rządziła przez osiem lat. I to jak rządziła! Wygrywając po drodze wybory prezydenckie, samorządowe i europejskie. Narzucając polityczny ton, swoją narrację. Media jak za panią matką powtarzały mądrości Platformy – że jest partią umiarkowanego środka. Że z prawej strony chce ją minąć PiS, czyli partia autorytarna,

W PO mamy zamęt, panikę, szukanie winnych i szalup ratunkowych.

która dąży do zimnej wojny domowej. Że z lewej są dwie niepoważne grupy – starzy postkomuniści, sieroty po Polsce Ludowej, oraz młodzi lewicowcy, zupełnie oderwani od rzeczywistości. Nie ma z kim przegrać – pisał się jej lider Tusk.

W tej narracji wszystko, co robiła PO, było słuszne. W sprawach społecznych słuszny był „kompromis” aborcyjny, czyli ustawa z roku 1993, która *de facto* zakazywała przerywania ciąży, ograniczając zgodę do kilku przypadków. W sprawach



W styczniu ub.r. Tomasz Siemoniak przegrał z Borysem Budką w wyścigu o fotel szefa Platformy. Co robi teraz?

ekonomicznych słuszną była polityka ministra finansów Jacka Rostowskiego, czyli zaciskanie pasa i budowanie konkurencyjności Polski poprzez niskie płace. W sprawach historii słuszne były IPN, stawienie „żołnierzy wyklętych” i obcinanie emerytur funkcjonariuszom służb bezpieczeństwa. Wmawiano im przy tym, że powinni na PO głosować, bo to mniejsze zło. I że lepiej się nie wychylać. Dajemy wam ciepłą wodę w kranie, więc siedźcie cicho! – wołała propaganda. A Komorowski miał zostać ponownie wybrany na prezydenta już w pierwszej turze. Nie został wybrany ani w pierwszej, ani w drugiej. Od tego czasu Platforma przegrywa.

Jej schyłek jest powolny. Na pierwszy rzut oka trudno to zauważyć, bo przecież Platforma wciąż jest obecna w mediach, niektóre ją forują, prezentują jako najważniejszą część opozycji. Ten upadek widać lepiej z dalszej perspektywy. Choćby patrząc na wyniki wyborów i sondaże. Jeszcze kilka lat temu Platforma była partią spokojnie przekraczającą

30% poparcia. Dziś jest inaczej, ostatnie sondaże to seria tąpnięć: 17%, 15%, 12%. Gdyby to był wynik wyborczy, do następnego Sejmu PO wprowadziłaby 50 posłów, jedną trzecią tego, czym dysponuje obecnie. W Polsce jest 41 okręgów wyborczych – weszłyby więc jedynki, a w większych okręgach jeszcze ktoś. Innymi słowy, kierownictwo się wyżywi, ale inni już nie. I każdy w Platformie ma tego świadomość. Dlatego trwa tam zamęt, szukanie winnych i szalup ratunkowych.

Dlaczego upadek?

Nigdy nie ma jednej przyczyny tego, że partia obumiera, staje się niepotrzebna swoim wyborcom. Ale takie upadki już oglądaliśmy – tak skończyła się Unia Wolności, tak upadła AWS, taki los spotkał SLD. Ugrupowania duże, a nawet bardzo duże, skurczyły się. Ale dlaczego?

Przede wszystkim Platforma się wypaliła. Programowo nie potrafi dziś zaproponować niczego atrakcyjnego poza opowieścią, że jest anty-PiS i że ma być tak, jak było. Czyli że

powinna wrócić do władzy, najlepiej z tymi samymi liderami.

Do wyborców mówi językiem dawnym, gospodarczych liberałów, który trafia do niewielkiej już grupy. Czasy, kiedy był to język mainstreamu i nie za bardzo wypadało mówić inaczej – minęły. Każdy to wie, ale nie w PO. Na to nałożyła się jeszcze jedna fatalna przypadłość Platformy i środowisk wokół niej funkcjonujących – przekonanie o własnej nieomyślności i wyższości. My jesteśmy elitą, a wy plebsem, więc nam się należy – taki przekaz płynie z platformerskich środowisk w Polskę, co budzi niechęć i prowokuje do rewanzu. Ilustrują to sondaże – w grupie wyborców najmłodszych, w wieku 18-29 lat, PO ma kilka procent poparcia. Razem z PiS jest symbolem dziadactwa.

Kiedyś nieprzychylny artykuł w sprzyjających PO mediach był jak polityczny wyrok. Dziś wywołuje śmiech. Zwłaszcza że i politycy Platformy, i ich sympatycy notują wielki spadek formy. Posłuchajmy polityków PO – w 90% są to ataki na PiS lub innych aktualnych wrogów. Albo mało mądre komentarze – przykładem niech będą słowa Radosława Sikorskiego w związku z poparciem przez Lewicę ustawy ratyfikującej Fundusz Odbudowy. Otóż dla niego był to pakt Ribbentrop-Mołotow.

Co więcej, Platforma zaczęła głośno przegrywać kolejne polityczne bitwy. Ostatnia, głosowanie w sprawie Funduszu Odbudowy, czyli pieniędzy z Unii Europejskiej, okazała się kompletną porażką. Jeszcze w grudniu przewodniczący partii Borys Budka deklarował, że PO poprze w Sejmie ratyfikację funduszu. W kwietniu dowiedzieliśmy się, że będzie inaczej. Bo Platforma liczy, że przy okazji głosowania upadnie rząd Mateusza Morawieckiego... Trudno o mocniejsze odklejenie od rzeczywistości – wyborcy absolutnie nie zrozumieli, dlaczego Platforma miałaby głosować przeciwko pieniądзом dla Polski. Już nie mówiąc o tym, że chyba nikt nie wierzył w opowieść, że przy okazji głosowania udałoby się obalić rząd.

Trener i kibice

Dochodzimy do kolejnej przyczyny niepowodzeń PO. Polityka jest fachem, trzeba w niej umiejętnie

reagować na wydarzenia, odpowiednio działać, trzeba też umieć je kreować. Po ewakuacji Donalda Tuska do Brukseli kolejni przewodniczący PO okazali się w tej dyscyplinie słabymi graczami. Ewa Kopacz? A kto ją dziś jeszcze pamięta? Grzegorz Schetyna? Odszedł ze stanowiska szefa partii ze złą opinią, jako architekt wyborczych klęsk Platformy. Borys Budka? Jego głowy domagają się postawie PO. Choć przecież sami nie tak dawno go wybrali.

Upadek Budki jest także ilustracją pewnej choroby, która toczy PO. Otóż formację tę otacza grono zaangażowanych publicystów, naukowców,

Platforma się wypaliła. Programowo nie jest dziś w stanie zaproponować niczego atrakcyjnego.

aktywnie działających m.in. w mediach społecznościowych, nazywa się ich liberalnym komentariatem. O jego sile przekonała się po negocjacjach dotyczących Krajowego Planu Odbudowy Lewica. Ale Budka doświadcza tej siły co chwila. Bo oni podpowiadają Budce, jak partia ma się zachować, a Budka do tych rad się stosuje. Sęk w tym, że z reguły są to rady kiepskie, więcej w nich emocji niż mądrości, Platforma zatem popełnia błędy i traci. Wtedy ci sami komentatorzy krytykują Budkę, że źle postąpił, zupełnie nie pamiętając, co doradzali, bo oni są już na innym etapie. I tak do kolejnego wydarzenia... Wygląda to mniej więcej tak, jakby trener piłkarski ustawiał drużynę i taktykę na mecz zgodnie z podpowiedziami kibiców.

Wszystko to tworzy atmosferę chaosu, wzajemnych pretensji i nieprzewidywalności. Czyli odpycha wyborców. Czy tę tendencję da się odwrócić?

Niektórzy wierzą, że się da. Bo przecież PO udało się przez lata trzymać lewicowe formacje w narożniku, udało się wygrać z Ryszardem Petru, którego Nowoczesna – był taki czas – biła w sondażach Platformę na głowę.

Pęknie, nie pęknie

Może więc i tym razem się uda? Teoretycznie jest to możliwe. Ale sytuacja się zmieniła. Po pierwsze,

tąpnięcie jest głębsze, niż miało to miejsce wcześniej. Po drugie, Platforma jest bardziej skłócona wewnętrznie. Tam już się załęgła panika. Po trzecie, przeciwnicy są groźniejsi niż Petru. Po czwarte, scenariusze na „co po PO” zostały już uruchomione.

– To formacja, która do wyborów się rozleci – mówi o PO prof. Jacek Wódcz. – Podzieli się na dwie-trzy części. Część konserwatywna pójdzie w stronę Koalicji Polskiej, część liberalna będzie kokietowana przez Hołownię, ta bardziej na lewo też będzie czegoś szukała. Może weźmie ją Trzaskowski. Bo do Lewicy oni raczej nie przyjdą.

Jeszcze bardziej krytyczną opinię o PO ma prof. Lech Szczegóła z Uniwersytetu Zielonogórskiego: – Liczba scenariuszy rozwoju sytuacji stojących przed Platformą nieustannie się zmniejsza. Rozkład postępuje proporcjonalnie do braku myśli, planu i odwagi przyznania, że PO znalazła się na drodze przypominającej losy SLD po 2005 r. – korpus oficerski pozbawiony armii. Nie warto nawet pytać, czy funkcjonuje coś takiego jak partyjna młodzieżówka albo jaką działalność prowadzą struktury terenowe. Partia istnieje jeszcze w przekazie TVN, ale w pejzażu społecznym średnich i małych miast jest martwa już od kilku lat.

Podobnie analizuje dr Wojciech Peszyński z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika: – PO nie ma żadnego pomysłu na siebie ani na Polskę. Jest partią grupującą przedstawicieli ▶



► różnych doktryn politycznych. To było skuteczne w czasach, kiedy rządziła Polska i była przeciwwagą dla PiS. Obecnie te zakłęcia nie są społecznie skuteczne, a Platforma nie jest w stanie ideowo się określić, jednocześnie zmagając się z wewnętrznym kryzysem przywództwa.

Już nie chcą Budki

Dlatego scenariusze, „co po PO”, już się mnożą. Pierwszy jest banalny. Zakłada wymianę szefa w nadziei, że następca Borysa Budki wydobędzie partię z marazmu. Na pewno takim posunięciem, by uruchomić maszynę, która doprowadzi do zmiany przewodniczącego, był list otwarty 51 parlamentarzystów PO skierowany do... parlamentarzystów PO. W liście napisanym przez Joannę Kluzik-Rostkowską czytamy o potrzebie „poważnej wewnętrznej debaty” i „daleko idących zmian” oraz obawie, że PO zbyt mocno skręca na prawo.

Pod listem podpisali się m.in. Grzegorz Schetyna, Bartosz Arłukowicz, Grzegorz Napieralski, Sławomir Neumann... List został opublikowany i natychmiast ruszyła giełda możliwych następców Budki. Ireneusz Raś wymienił Radosława Sikorskiego. Sikorski szybko odpowiedział, że jest



Radosław Sikorski deklaruje, że nie jest zainteresowany stanowiskiem szefa PO.

Unii Wolności, a w praktyce – na jej gruzach. Trzej tenorzy, zakładając PO, przeprowadzili ostrą selekcję, przyjmując z UW i AWS tylko niektórych polityków, przed innymi zamykając drzwi.

Trzaskowski – wariant Macrona

Czy próbą powtórzenia tego manewru nie jest rozwijający się ruch Rafała Trzaskowskiego Wspólna Polska? Trzaskowski, nominalny wiceprzewodniczący PO, zaczął nagle jeździć po Polsce, spotykać się, zapowiedział wielki letni kampus dla młodzieży w okolicach Olsztyna, na przełomie sierpnia i września.

Scenariusze na „co po PO” zostały już uruchomione.

mu miło, ale tym stanowiskiem nie jest zainteresowany. Padło nazwisko Bartosza Arłukowicza – ten odparł, że stoi obok Budki. Swoje *désintéressement* powrotem na stanowisko szefa partii ogłosił też Grzegorz Schetyna.

Innymi słowy, Platforma oswaja się z myślą, że Budka musi odejść. Ba! Już się z tym pogodziła, decyzyjnie zapadła. Ale potencjalni następcy pilnują się, by nie popełnić falstartu. A może uznali, że nie warto starać się o przywództwo masy upadłościowej?

Bo coraz wyraźniejszych kształtów nabiera inny wariant przyszłości, przypominający ruch sprzed 20 lat. Wtedy Andrzej Olechowski, Maciej Płażyński i Donald Tusk powołali do życia Platformę Obywatelską, która powstała teoretycznie obok

Trzaskowski buduje swój ruch obok PO, zapewniając partyjnych kolegów, że nie jest to inicjatywa przeciwko Platformie. Ale przecież mało kto w te deklaracje wierzy. Oczywiście to byt jeszcze nieokreślony, może być wszystkim, tu Trzaskowski zachowuje możliwość uniku, manewru, ale w wypadku kłopotów PO Wspólna Polska mogłaby szybko przejąć jej aktywa.

Prof. Jacek Wódz podpowiada, że nie tak dawno podobny manewr wykonał we Francji Emmanuel Macron. Przypomnijmy – Macron był popularnym ministrem w kancelarii prezydenta Hollande'a. A potem zaczął tworzyć ruch, unikając w początkowej fazie budowy struktur partyjnych czy ściągania pod swoje skrzydła znanych polityków. To wszystko

miało być nowe, optymistyczne, jak najdalej od źle postrzeganego we Francji życia partyjnego. Poza podziałem lewica-prawica. I udało się. Macron był elokwentny, nie ciągnął za sobą partyjnych historii, uwiódł Francuzów. Czy ten wariant nie chodzi po głowie Trzaskowskiemu? Żeby w miejsce PO zbudować coś nowego, własnego? Odcinając się od niepopularnych polityków, z którymi miałby więcej kłopotów niż pożytku z nich?

Hołownia – wszystkich nie weźmiemy

Pożywić się Platformą zamierza też Szymon Hołownia. Od paru tygodni jego Polska 2050 wyprzedza już w sondażach PO. Do Hołowni przechodzą jej wyborcy, pukają także działacze. Michał Kobosko z Polski 2050 mówi o tym otwarciu. – Zgłaszają się do nas parlamentarzyści, samorządowcy. Nie wszystkimi jesteśmy zainteresowani. Dlatego przymknęliśmy furtkę. Dokonujemy selekcji. Chcemy mieć silny klub w Sejmie – ale po wyborach. Nie chcemy być jak Nowoczesna, która później nie wiedziała, kogo ma. My bacznie przyglądamy się tym, którzy do nas pukają.

Kobosko tłumaczy, że głównym zadaniem Szymona Hołowni jest budowa struktur. Obaj więc jeżdżą po Polsce, rozmawiają. – Długo czas do wyborów to utrudnienie. Ale z drugiej strony – szansa, by te struktury zbudować porządnie – mówi. I dodaje, że Hołowni bardzo zależy, by Polska 2050 nie wychyliła się w lewo. – Chcemy być formacją centrową – podkreśla. Owszem, silna formacja ma skrzydła, ale musi mieć swoje centrum. – Racjonalna byłaby budowa dwóch bloków opozycyjnych – kontynuuje. – Centroprawicowego i centrolewicowego. I wtedy moglibyśmy próbować, już w ramach opozycji, szukać punktów wspólnych. Nie warto doprowadzać do sytuacji, w której opozycja się skłóci, bo to zniechęca wyborców, rozprasza elektorat.

PiS zarażone chorobą PO

Wariantów przyszłości PO jest więc sporo. Ale wszystkie mają

wspólny mianownik – nie zakładają, że PO w obecnej postaci przetrwa. Raczej, że się podzieli i *gros* jej aktywów przejmą Trzaskowski z Hołownią. Odrzucając to, co ciągnie w dół – różnych niemądrych polityków, chore układy, powiązania, a przejmując to, co najcenniejsze – przede wszystkim struktury samorządowe.

Mówi o tym zresztą dr Wojciech Peszyński: – Ta partia ma duże zasoby. PO sprawuje władzę w ośmiu województwach, w największych miastach Polski, ma marszałka Senatu i dostaje wysokie subwencje z budżetu państwa. Jeżeli jednak Platforma będzie dryfowała na mapie ideowej, nadal będzie traciła i w perspektywie długookresowej ulegnie marginalizacji.

Ale radość w obozie PiS, że Platforma ma kłopoty, okazać się może przedwczesna. Bo to, co może powstać w jej miejsce, ma szansę być bardziej atrakcyjne dla wyborców, więc jeszcze groźniejsze dla PiS.

Poza tym choroba, która trawi Platformę, zaczyna dotyczyć również Zjednoczoną Prawicę. Głosowanie nad Funduszem Odbudowy chwilowo odsunęło na plan dalszy wewnętrzne konflikty, ale przecież za chwilę wybuchną one ze zdwojoną siłą. Ziobro i Gowin wiedzą, że walczą o życie. I wiedzą, że Kaczyński nie ma siły, by ich spacyfikować. Jeżeli więc PO jest w butach schyłkowego SLD, to PiS jest już w butach PO, zresztą nie tylko z powodu ruchów odśrodkowych, ale i pychy partyjnych funkcjonariuszy.

Tak oto, jak mówi prof. Jacek Raciborski, szybkim krokiem zbliżamy się do rekonfiguracji polskiej sceny politycznej. Bo kończy się pewna epoka i czas na nowe otwarcie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

PS Ruchy w PO już się zaczęły. 14 maja Zarząd Krajowy Platformy Obywatelskiej podjął decyzję o usunięciu z partii postów Pawła Zalewskiego i Ireneusza Rasia, przedstawicieli prawego skrzydła w Platformie. Obaj w ostatnich dniach krytykowali kierownictwo PO. Byli także sygnatariuszami listu, w którym znalazł się m.in. apel o zmiany w partii.

Czy Platforma przetrwa ten kryzys?

Budka robi wrażenie, jakby chciał wszystkim się przypodobać. Tylko że chęć przypodobania się to jeszcze nie jest przywództwo

Rozmawia Robert Walenciak

Platforma Obywatelska się kończy? Już po niej?

– Ile razy już to słyszałem! Że koniec PO. I co? Powiem panu tak: siłą Platformy jest to, ile klepsydry o swojej śmierci przeżyła. Z drugiej strony zagrożenie istnieje. Przecież od przeżycia fałszywych nekrologów człowiek nie staje się nieśmiertelny.

Jak to więc jest z PO?

– Przez lata jej siłą była umiejętność skupiania różnych nurtów, różnych strumieni politycznych, które się w niej mieszały. Teraz te strumienie oddalają się od siebie. Dlatego pojawiają się napięcia. Przypomnę, że całkiem niedawno w Platformie byli i Gowin, i Palikot. Dziś to niewyobrażalne, prawda? Teraz jest ona bardziej jednolita, lecz i tak jest mocniej poszarpana.

Co jest tego powodem?

– Przez lata było w PO spoiwo tych nurtów. To było domniemanie kompetencji. Platformę uważano za partię ludzi kompetentnych. Pamięta pan, co się działo w Wałbrzychu? Dziesięć lat temu była tam afera z kupowaniem głosów przez działaczy PO, procesy, powtarzanie wyborów. Zatopiło to Platformę? Nie. Platformersi ściągnęli ordynatora szpitala i on wygrał wybory na prezydenta miasta w cuglach, bo nikt inny nie miał kandydata o podobnych kompetencjach. PO, eksponując kompetencje, przykrywała brak zaangażowania ideowego. Ten rząd broni Polski przed ekstremizmami z lewa i prawa – mówił Tusk w Sejmie, w *exposé* w roku 2011.

Mówił też, że PO jest partią ciepłej wody w kranie, że ludzie już nie chcą rewolucji. To się podobalo, ale ewidentnie już nie działa.



PROF. JAROSŁAW FLIS

– socjolog, profesor UJ, badacz komunikowania politycznego i zachowań wyborczych.

– Partia Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa jest atrakcyjna tylko wtedy, gdy rządzi i taki umiarkowany postęp się dokonuje. W opozycji ma kłopot. Ludzie niezadowoleni chcą radykalnych zmian. Do tego weszło do gry nowe pokolenie, które buntuje się przeciw PiS nie w imię tego, żeby mu dać święty spokój.

Pokolenie polityków czy wyborców?

– Przede wszystkim wyborców, lecz politycy jakoś chcą ku nim wyjść i też ciągną w różne strony. Spójrzmy, jak opozycja działa w obliczu PiS. Część wyborców raz interwencjonizm PiS, więc ucieka, jeśli chodzi o ekonomię, w stronę rozwiązań liberalnych. Lecz pozostaje konserwatywna obyczajowo – i trafia do Konfederacji. Drugą grupę raz właśnie toporny konserwatyzm rządzących – toteż ucieka w lewo, w stronę obozu

► postępu, dla którego najważniejsza jest rewolucja obyczajowa, lecz czasem przypomina on sobie także o państwie opiekuńczym. Siły te nie patrzą na siebie przychylnie. I podejrzewają się nawzajem o spiskowanie z PiS. Jeżeli uważa się, że sojusznicy są jedną nogą po stronie wrogów, to utrzymanie jedności jest trudne.

Co więc ich łączy?

– Potężną siłą jest PiS, które robi wszystko, żeby pomnożyć zastępy swoich wrogów. Największym problemem opozycji jest to, że jej formalni liderzy – z Borysem Budką na czele – nie są tymi, którzy mają tam najwięcej władzy.

Sam powiedział, że niewiele może.

– Bo nie ma pomysłu na to, jak uczynić partnerami tych, którzy ciągle mają realną władzę – prezydentów miast, tych wybranych z poparciem PO lub w opozycji do

– co się stanie, jeśli ci ludzie zadadzą sobie przed wyborami pytanie, w jakim obozie mają się znaleźć, dokąd iść?

Jeżeli są mocni, to obóz chętny do ich przyjęcia znajdzie bez kłopotów. I będzie rozbiór PO.

– Taki rozbiór jest pewnie marzeniem lewicy. Ale czy jest możliwy? Zastanówmy się – w Polsce środek polityki to PSL i burmistrzowie miast powiatowych. Czy obóz lewicy i liberałów potrafiłby z nimi się dogadać? Potrafiłby się pogodzić, że trzeba im ustąpić w wielu sprawach? Na przykład obyczajowych?

Będą więc tkwić tam, gdzie tkwią?

– A może nadchodzi czas luźniejszej konfederacji po stronie opozycji, różnych nurtów? Wśród nich będzie zaś jeden, wyróżniający się bardziej zarozumiałstwem niż władzą, jak Unia Wolności.

Hołownia jeszcze nie przetrzymał żadnego kryzysu, bo nie miał takiej okazji. Ale ona kiedyś nadejdzie.

PiS. Oni mają własną pozycję, im Platforma jest potrzebna tylko po to, żeby w wyborach nie wystawiła im konkurenta. A przykład Krzystka w Szczecinie i Adamowicza w Gdańsku pokazał, że nawet to nie jest wielką groźbą. Spójrzmy na obecną czołwarkę PO, na Budkę, Kierwińskiego, Tomczyka... Porównajmy ich realną władzę czy doświadczenie w rządzeniu z takimi prezydentami albo wieloletnimi marszałkami województw. Jakimi mogą być dla nich partnerami?

Marszałkowie zależą od partyjnych machin, które organizują wybory.

– Te maszyny nie utrzymają władzy w samorządach bez udziału tych, którzy już tam sobie wyrobili nazwiska. To aparat partii ma kłopot

To pana słowa: „Każdy, kto został pokochany zaborczą miłością przez „Gazetę Wyborczą”, szybko ginął. Bronisław Komorowski, Ewa Kopacz, Rafał Trzaskowski, KOD, a teraz ten los może spotkać Strajk Kobiet”.

– No tak, bo nie wszyscy rozumieją, że demokracja liberalna nie polega na tym, że zawsze wygrywają liberałowie.

Ale przecież gołym okiem widać, że na Platformę cyhają różni polityczni pretendenci. Hołownia, Trzaskowski... Chcieliby ją rozebrać – jak Tusk Unię Wolności.

– Wcześniej próbował to zrobić Ryszard Petru i jak to się skończyło? **Został ograny przez Schetynę.**

– A co wtedy mówiono? Że ekipa Schetyny – gorzej być nie może. Teraz mówią, że Schetyna przynajmniej potrafi prowadzić różne gierki. Ale Dolnośląskie, jego matecznik przecież, pokazuje, że – owszem – chce, ale nie potrafi. Prezydenci miast, Dutkiewicz, Sutryk, idą do niego w kontrze, bo nie chcą zostać jego podwładnymi. Schetyna skłócił się tam ze wszystkimi. Nie sądzę, by PO chciała do tego wracać.

Tak, tak, oni wszyscy w PO mówią, że Budki nie chcą zdejmować.

– Budka robi wrażenie, jakby chciał się wszystkim przypodobać. Tylko że chęć przypodobania się to jeszcze nie jest przypodobanie, a na pewno to nie jest przywództwo. Z drugiej strony spójrzmy na Europę – są tam kraje, w których nie ma twardego przywództwa. Dania, Finlandia...

Nie wierzę, że taki model może być skuteczny w Polsce. On raczej zwiastuje stopniowy uwięd. Kазus SLD się kłania. A Hołownia już Platformę w sondażach wyprzedził.

– Do wyborów mamy jeszcze dwa lata! Wspomina pan Hołownię. Zapytajmy więc, na co poświęcił ostatni rok. Czy rośnie dlatego, że błyskotliwie działa, czy dlatego, że inni mają kłopoty? Platforma? Rozmawiamy o niej... Trzaskowski? Uwikłany w Warszawę. Lewica? Jedno dobre wystąpienie Zandberga w Sejmie raz na cztery lata to chyba za mało. A Hołownia jest poza Sejmem. Nie ma głupich pokus, nie musi angażować się w każdą bitwę. Może czekać na właściwy moment. Ale fakt, że rośniesz, bo inni popadli w tarapaty, nakazuje ostrożność. Hołownia jeszcze nie przetrzymał żadnego kryzysu, bo nie miał takiej okazji, ale ona kiedyś nadejdzie. Może wygrać tym, że ma jakiś nowy pomysł na ustawienie relacji wśród tego opozycyjnego towarzystwa, gdy już się okaże, że nikt nie ma szans, by je zdominować.

Mówimy o Platformie, a zupełnie pominęliśmy Tuska.

– Bo go nie ma. Toczy wyrównany pojedynek z Kaczyńskim na to, kto ma wyższy procent braku zaufania. Jego pozycja dowodzi tezy, że polityk nie powinien zaglądać na Twitter. Uczestnictwo w łajnoburzy ani nie buduje pozycji, ani nie wyostrza oglądu spraw. Wręcz przeciwnie. **Rozmawiamy, rozmawiamy i na razie udowodniliśmy prawdziwość powiedzenia: na św. Hieronima jest pogoda albo ni ma.**

– Może i dobrze? Poczytajmy proctwa sprzed dwóch lat, jak to sytuacja się rozwinię. Pośmiejemy się! **Bo przyszły wydarzenia nieoczekiwane...**

– Teraz też tak pewnie będzie! Zdarzy się coś, co wszystko wywróci! Obstawiam, że coś się wydarzy!

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Żył krótko, zdziałał wiele...

22 maja 1981 r. odszedł

ANDRZEJ JEŻ

To już czterdzieści lat...

Ami, Radek, Ola z Rodzinami

Wielka samotność w domach opieki

Mieszkańców placówek opieki społecznej zabija wcale nie covid, ale tęsknota za bliskimi



Beata Igielska

– Pani Halinka, dziarska, rozmowna, lubiłem ją, w pandemii zaczęła się robić niekontaktowa – błędny wzrok, kiwanie. Umarła na samotność. Pani Kasia – rozpieęła ją energia, tak samo, ciach i jej nie ma. Pan Rysiu, tyle razy do mnie mówił: tak tęsknię za wnukami, tak chcę ich uściskać. Nie zdążył – opowiada Kazimierz, chory na reumatoidalne zapalenie stawów. Umysł jak brzytwa, ciało w rozsypce. Choroba postępuje, jest jedynakiem, zajmował się matką staruszką. 17 lat temu zdecydował się na pobyt w domu pomocy społecznej, bo nie ma mu kto pomóc. Rano cierpi na zesztywnienie stawów.

– Rehabilitacje kiedyś były trzy razy w tygodniu, teraz mogę co najwyżej na kozetce poleżeć i nogą ruszyć. Do specjalistów w żaden sposób nie możemy się dostać. No, chyba że zagrożenie życia, wtedy wzywają pogotowie. Po powrocie kończy się to dwutygodniową izolacją w pokoju – potwierdza inny pensjonariusz.

– Do życia potrzebny jest ruch, spotkanie z ludźmi, rozmowa. Bez

tego więdniemy. Widzieć się przez płot z wnukami to za mało. Raz był u nas transparent „Kochamy cię, babciu”. Najgorzej w pandemii mieli alkoholicy. Byli na głodzie. Próbowali skakać przez płot do sklepu, to dyrektor założył drut kolczasty. Koledzy podawali im gorzałkę przez ogrodzenie – dodaje Kazimierz.

Siedzimy tu jak bydło

Dla takich sprawnych intelektualnie pensjonariuszy jak Kazimierz niekończąca się izolacja jest dramatem. Do matki wożono go raz na dwa tygodnie na trzy godziny. Wtedy wyraźnie odżywała. Poza krótkimi rzutami szczęścia pozostawał im kontakt telefoniczny. – Na co dzień

Do życia potrzebny jest ruch, spotkanie z ludźmi, rozmowa. Bez tego więdniemy.

nie mogłem samodzielnie wyjść po zakupy, do dentysty. Czułem się jak bydło prowadzone na rzeź. Miałem nadzieję, że szczepionka, ten Pfizer, coś zmieni. Jesteśmy zaszczepieni dwiema dawkami i dalej siedzimy.

Po szczepieniu kilkadziesiąt osób zachorowało na covid. Obyło się bez respiratorów i to jest działanie tej szczepionki. Zaczęły się nieustające kwarantanny. Chorych wywieziono do izolatorium w pobliskim miasteczku. Personel wychodzi do domu, to oni roznoszą zarazę, jestem tego pewien. Dla pensjonariuszy sprawnych intelektualnie powinny być specjalne przepustki, bo jesteśmy w stanie pilnować chodzenia w maseczce, zachowywać dystans i dezynfekować dłonie. Co innego ci nieświadomi. Siedzimy tu jak w więzieniu, za niewinność. Świetlica zamknięta, żadnej kultury, a ja udzielam się, śpiewam i recytuję swoje wiersze. Jeździłem do innych domów opieki, ośrodków kultury. Potrzebny mi kontakt z ludźmi

– Kazimierz zawiesza się, poruszony z trudem cedzi słowa. – Ogród jak spacerniak. Mieszkam w tym domu tyle lat. Wszystko idzie ku gorszemu, od jedzenia po zużyte sprzęty. Dobrze, że mam swoją pasję, to mnie ratuje. ▶

▶ Ale ludzie chodzą jak obłąkani, żalą mi się, pytają, ile to jeszcze potrwa. A ja nie umiem na to odpowiedzieć. W dodatku doświadczyłem ostracyzmu światopoglądowego – jestem niewierzący, terapeutka zajęciowa uraczyła mnie Biblią. Jak nie dałem się nawracać, ucieka na mój widok. Pracownikom, którzy mają wpływ na nasze samopoczucie, nie wolno chować do nas urazy. To nieprofesjonalne, pracownikowi nie płaci się za prywatne animozje. Dyrekcja jednak lepiej traktuje pracowników niż nas. Zaobserwowałem to już dawno.

– Reagowała na nasz dotyk, uśmiechała się. Gdy braliśmy ją za rękę, zmieniał się jej wyraz twarzy, oczy się śmiały. Całe życie lubiła śpiewać, więc nuciliśmy jej piosenki, puszczaaliśmy znane melodie z telefonu. Tupała nogą. Kiwała głową. Bliskość to energia. Bez niej usychamy. Ostatni raz widzieliśmy mamę w marcu zeszłego roku. Mieliliśmy tylko informacje z ośrodka o postępach choroby. W czasie pandemii przestała chodzić, siadła na wózek. Od początku tego roku karmiona była za pomocą sondy. Powinniśmy do końca być blisko niej... – Mirek, opowiadając o mamie chorej na alzheimera, zmarłej w lutym tego roku, zaczyna płakać. – Nikogo przy niej nie było. To nieprawda,

bardzo przeżywał, że jabłuszka nikt jej nie obierze.

Liczne świadectwa poczucia opuszczenia i samotności padły w tym roku w lutym na warsztatach „Instytucjonalna opieka nad seniorami w czasie pandemii”. To cykl spotkań o ubóstwie i wykluczeniu społecznym, z wykorzystaniem tekstów o. Józefa Wrzesińskiego, założyciela Ruchu ATD Czwarty Świat.

„Osoby, które nie poruszają się, nie mają z zamknięciem żadnego problemu. Natomiast ja, która wychodziłam i załatwiałam swoje sprawy, i w ogóle mogłam czuć się wolna, w tej chwili czuję się jak w więzieniu. Na tyle źle, że muszę korzystać z pomocy środków psychiatrycznych, bo mam napady paniki, spać nie mogę. I to jest związane z tym, że jestem zamknięta tutaj, na głucho niemalże”.

„W DPS-ach ludzie uciekali w różny sposób. Tutaj u nas nic takiego się nie zdarzyło. Ponieważ jestem unieruchomiona fizycznie, w tej chwili jakbym miała wyjść na dwór, byłby problem z chodzeniem. Po przejściu korytarza już czuję zadyszkę, już mnie nogi bołą. Mięśnie się zastają, a nie ma żadnej gimnastyki. Czuję się bardzo źle, i fizycznie, i psychicznie. Mogę rozu-

„To mnie rozwała, że w kółko jest to samo, budzę się rano, robię kawę, idę pod prysznic, włączam laptopa i pół dnia siedzę przy tym laptopie i nic innego. Wieczorem po kolacji zamykam laptopa, stół chowam, biorę tabletki i czytam jakąś książkę, dopóki nie zasnę. I tak dzień w dzień, dzień w dzień, dzień w dzień i w niedzielę też”.

Widzieć się przez płot z wnukami to za mało.

Można inaczej

W Niemczech też jest pandemia i też liczba odwiedzin w domach opieki była ograniczona. Ale prawnie zagwarantowano pensjonariuszom kontakt z rodziną. Nawet w czasie największych przyrostów zakażeń zadeklarowane wcześniej dwie osoby z rodziny mogły bliskich odwiedzać. W sumie więc dwa razy w tygodniu pensjonariusz miał odwiedziny trwające godzinę. Terminarza pilnowały domy opieki. Chodziło o to, aby nie robić tłumu. – Od stycznia mamy szybkie testy, więc o kontakty jest łatwiej. Przez ostatnie dwa tygodnie bliscy mogą przychodzić, kiedy chcą. Jeżeli są już zaszczepieni, nie muszą pokazywać testów, jeśli nie, muszą mieć zrobiony w ciągu 24 godzin. Jeśli jednak pojawia się koronawirus, w ośrodku jest totalna kwarantanna. Ale po dwóch-trzech tygodniach wszystko wraca do normy. Maseczki noszą tylko osoby odwiedzające, pensjonariusze nie. Nie wygłupiamy się z noszeniem rękawiczek. Wystarczy odpowiednia higiena rąk – opowiada Sebastian, który ma wgląd w sytuację wielu niemieckich domów opieki. Jest wykwalifikowanym pielęgniarzem ludzi starszych. W Niemczech ukończył studia i awansował na kogoś w rodzaju kierownika zmiany, jak u nas siostra przełożona. – Na jednego opiekuna przypada ośmiu pensjonariuszy. I wtedy naprawdę można się ze wszystkim wyrobić.

Niestety, wiele polskich domów opieki i przed pandemią stało się smutnymi umieralnikami. – Odwiedziłem kilkanaście takich przybytków. Nie umieściłem tam mamy. Za mało personelu. Jeśli pielęgniarka ma do obrobienia z 15 osób, a tak to na oko wyglądało, jak ma je nakarmić? Poda-

Dla pensjonariuszy sprawnych intelektualnie powinny być specjalne przepustki.

że z takimi ludźmi jak ona nie ma kontaktu. Mama była krawcową. Gdy głowa już nic nie pamiętała, język nie umiał powiedzieć, została pamięć emocji i pamięć mięśniowa. Kawatek szmatki brała w palce, jakby chciała go włożyć pod stopkę maszyny do szycia. Mieliliśmy nadzieję, że szczepionki położą kres izolacji. Tak się nie stało – ciągnie. – Tato, dopóki mógł, opiekował się mamą, ale trzy lata temu stan na tyle się pogorszył, że przestał dawać radę. Trafiła do świetnego ośrodka prywatnego w pobliżu domu. Tato do niej jeździł rowerem. Mimo że miałem mnóstwo czasu, żeby się pogodzić z jej odchodzeniem, jest mi ciężko. Zaraz po jej śmierci to nawet ulga była. Że już nie cierpi ona i cała rodzina. Tato odetchnął, przestał się wybudzać w nocy. Latami karmił żonę kęsek po kęsku, to trwało godzinami. Jak ośrodek zamknięto,

mieć, że nas zamknęli, ale na tak długi czas to jest naprawdę nieludzkie”.

„Brak poczucia wolności, że nawet taka prosta rzecz, pójść do sklepu, kupić sobie te papierosy, kawę czy słodycze, coś takiego, to jest odciecie całkowite. Dobrze, jak to się zapowiadało miesiąc jeden, drugi, trzeci, ale to już jest rok. To jest tak, jakby człowiek w więzieniu siedział za niewinność. W więzieniach to chociaż kantynę mają, gdzie można coś kupić, a tutaj nic”.

„Panowie, którzy chcą jakoś dbać jeszcze o kondycję, to wędrują dookoła parczku, jak na spaceru w więzieniu. To jest takie odczucie, jakby człowiek za karę gdzieś trafił i bez przerwy te same twarze, opiekunek, psychologów, terapeutów zajęciowych. Nie wyjdzie się, nie popatrzy na ludzi, nie porozmawia. No i dlatego ja to źle znośnię”.

dwie tyżki zupy i pędzi dalej. To samo jest z piciem. Ludzie są odwodnieni. Pampersy są zmieniane dwa razy dziennie. Smród niewyobrażalny. W pralniach wszystkie ciuchy kotłują się razem. Czy ktoś pamięta, że różowe majtki są pani Zosi, a niebieskie pani Hani? Gdy nie było pandemii, to przynajmniej na weekendy, na widzenia, trzeba było ogarnąć pensjonariuszy i dom, żeby to jakoś wyglądało. Nie umiem sobie wyobrazić, jak to może wyglądać teraz. Zero intymności, ryczące cały czas telewizory... To wszystko jest nieludzkie. Ale rozumiem, że czasami nie ma wyjścia – mówi znajomy dziennikarz.

Jego mama tylko przez miesiąc była w ekskluzywnym ośrodku prywatnym pod Warszawą. Mimo ekskluzywności wolała być w domu. Zabrał ją stamtąd.

Pracownicy są zmęczeni

Ogólnopolski Pracowniczy Związek Zawodowy „Konfederacja Pracy” w petycji z lipca 2020 r. do minister rodziny i polityki społecznej Marleny Maląg: „My, opiekunki i opiekunowie, pielęgniarki, rehabilitanci, terapeutyci, pracownicy socjalni, pracownicy kuchni i personel sprząający publicznych i prywatnych domów pomocy społecznej i opieki długoterminowej, domagamy się: zwiększenia ilości personelu – chcemy ustawowych zmian mówiących o minimalnej liczbie pracowników w stosunku do podopiecznych w ośrodkach; godnej płacy – chcemy podwyżek płac do wysokości średniej krajowej, tak byśmy mogli utrzymać się z jednej pensji, zmniejszyć nasze przemęczenie i podwyższyć jakość opieki; dodatków za pracę w szkodliwych i ciężkich warunkach – w tym dodatkowego urlopu za pracę w ciężkich

Ministerstwo nie odniosło się do tego apelu, przyszła tylko ogólna odpowiedź z Kancelarii Prezydenta, z której niewiele wynikało. Autorzy petycji zrezygnowali więc ze składania drugiej, mimo że mieli zebrane podpisy. Sam związek powstał w sierpniu, już po tej petycji. – Fakt, że ona się pojawiła, spowodował, że ludzie dowiedzieli się o istnieniu dodatkowych środków covidowych, zaczęli się o nie upominać – mówi anonimowo przedstawicielka związku.

Z kolei Polska Federacja Związkowa Pracowników Socjalnych i Pomoocy Społecznej wywalczyła poprawę warunków pracy w epidemii – w przypadku podlegania kwarantannie lub izolacji w związku z wykonywanymi

Ogród jak spacerniak. Mieszkam w tym domu tyle lat. Wszystko idzie ku gorszemu, od jedzenia po zużyte sprzęty.

obowiązkami prawo do 100% wynagrodzenia lub zasiłku chorobowego za ten okres. W kolejnej odsłonie tarczy antykrzysowej (6.0) uregulowano także kwestię tzw. koszarowania pracowników. Wszelkie zmiany warunków pracy mogą nastąpić jedynie za zgodą samego pracownika.

Dane Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej mówią o ponad 80% zaszczepionych mieszkańców DPS. Ministerstwo twierdzi, że obecnie większość placówek (około 78%) umożliwia odwiedzin pensjonariuszy przez osoby bliskie, a także aktywność poza terenem placówki. Czyli nadal 22% mieszkańców tkwi w zamknięciu. Oni nie są liczbą w tabelce Excel, lecz żywymi ludźmi przeżywającymi dramaty.

MRIPS w porozumieniu z głównym inspektorem sanitarnym oraz Ministerstwem Zdrowia stworzyło rekomendacje. Nie wyklucza w nich

W dalszym ciągu więc starsi, chorzy ludzie cierpią z powodu zamknięcia.

– Z jedną panią rozmawiałem, to powiedziała, że jeszcze z miesiąc, półtora, to ona oszaleje – opowiada pensjonariusz.

„Przyszedłem tutaj 1 lipca, miałem dwa tygodnie kwarantanny, otworzyłem okno tylko i tyle. Byłem w świetnej kondycji, a teraz postarzałem się o dobre kilka lat. Przez ostatnie trzy-cztery lata prawie nie piłem, a teraz już mi się zdarzyły dwa epizody alkoholowe, bo sobie nie radzę”.

„Cały mój świat ogranicza się do siedzenia na tapczanie. Taki stoliczek przenośny mam, na którym stoi laptop, i stoliczek nocny z lampką. Mnie rozwała monotonia. Prowadziłem

bardzo aktywne życie, i uniwersytet, i żywa biblioteka. No i dobrze, wiem, to się nie odbywa teraz, ale przynajmniej bym miał możliwość wyjść sobie”. To znów świadectwa seniorów z warsztatów Wrzesińskiego.

„Odkazują nas na wszystkie możliwe sposoby, dwa razy dziennie, wszystkie klamki, wszystkie poręcze. Nie możemy wszyscy naraz przychodzić do stołówki, gdzie zostały zdjęte wszystkie przyprawy i tylko na prośbę można dostać”.

„Osoby, które miały pojedyncze pokoje, zostały przeniesione do dwuosobowych. A w tych pokojach, w których mieszkały, zostały zrobione izolaty. Obsługa i pielęgniarki chodzą w maseczkach i w rękawiczkach i nie mogą się z nami blisko stykać”.

Czy można więc się dziwić, że większość pensjonariuszy, gdyby tylko miała możliwość, wolałaby mieszkać samodzielnie z jakąś pomocą ośrodka? – Mój OPS płaci za mnie tutaj 6 tys. zł miesięcznie! To ogromna suma. Jak oni by mi wynajęli kawalerkę za 2 tys. zł i dali jeszcze, powiedzmy, 2 tys. na utrzymanie, toby 2 tys. zł zaoszczędzili, ja bym sobie spokojnie dał radę – mówi mieszkaniak domu opieki. Logicznie mówi. Sytuacja domów pomocy przypomina bowiem tę z domami dziecka: centralizacja, szatanie pieniędzmi zamiast oddawania dzieci do rodzinnej pieczy zastępczej.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Niestety, wiele polskich domów opieki już przed pandemią stało się smutnymi umieralnikami.

warunkach oraz tzw. dodatku covidowego finansowanego, wypłacanego automatycznie z budżetu państwa; zwiększenia ilości miejsc dla podopiecznych – wprowadzenie programu samorządowego wsparcia dla utrzymania i poszerzenia miejsc pobytowych, w tym podwyższenia standardów bytowych”.

zwiększania aktywności poza terenem domu również innych mieszkańców niż zaszczepieni dwiema dawkami szczepionki, ale zostawia decyzje organom prowadzącym domy, które mają je podejmować w uzgodnieniu z lokalnymi służbami sanitarnymi zależnie od sytuacji epidemicznej na danym terenie.

Pchnąć gospodarkę na nowe i ciekawe tory

W Komisji Europejskiej rządzi dziś nie liberalizm ani socjalizm, ale synteza jednego z drugim

Rozmawia Jakub Dymek

Co myśli ekonomista, gdy słyszy: europejski Fundusz Odbudowy?

– Niby nic nowego, bo przecież wiedzieliśmy, że coś podobnego musi się stać i że właśnie taki pakiet fiskalny będzie konieczny do odbicia się europejskich gospodarek. Ale mamy w tym projekcie element nowości. Ostatnim razem, gdy Europa postanowiła działać wspólnie, po kryzysie lat 2008-2010, państwa z północy kontynentu narzuciły tym z południa ostrą dyscyplinę. Chodziło o to, by ratować przede wszystkim wspólną walutę i stabilność strefy euro. Dominowało podejście zwane *austerą*, czyli polityka zaciskania pasa. W praktyce doprowadziło to do jeszcze głębszego kryzysu i paradoksalnie osłabienia wiary w euro. Tym razem Unia Europejska po raz pierwszy zdecydowała się nie wspólnie oszczędzać, ale prowadzić bardziej tradycyjną politykę fiskalną na poziomie wspólnoty, czyli, mówiąc wprost, razem się zadłużać i razem wydawać.

Można powiedzieć, że dzisiejszy Fundusz Odbudowy i jego rozmach wynika z porażki i skąpstwa antykrzysowych działań sprzed dekady?

– To na pewno ważna część odpowiedzi. Mamy w Europie grupę państw, które nie chcą przesadnie dokładać się do budżetów innych – co zresztą rozumiame. Są one czasem nazywane *frugal four*, czyli oszczędną czwórką. Wśród nich prym wiodą Niderlandy, ale generalnie mowa o państwach, które jeszcze do niedawna traktowały dyscyplinę budżetową i kontrolę

poziomu zadłużenia jako priorytet. Coś jednak się zmieniło. Z porażki wcześniejszych pakietów antykrzysowych, po roku 2008, wyrosła choćby zmiana postawy Niemiec. Przez tych kilka kadencji kanclerz Merkel zdążyły one przesunąć się



DR TOMASZ MAKAREWICZ

z bardzo konserwatywnych pozycji, które zajmowały, gdy w kluczowych resortach zasiadali ogromnie pryncypialni liberałowie i konserwatyści budżetowi.

I teraz to myślenie kanclerz Merkel, przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen

Dr Tomasz Makarewicz – juniorprofesor na Uniwersytecie w Bielefeld. Zajmuje się ekonomią behawioralną, makroekonomią i stabilnością makrofinansową. Działa w grupie eksperckiej Dobrobyt na Pokolenia.

i prezydenta Macrona, że wspólny problem wymaga wspólnego rozwiązania, wygrało?

– Przywódcy Unii szybko zrozumieli, że w trakcie pandemii ryzykujemy wyścig do dna. Co by było np., gdyby kraje, w których mieści się większość zakładów produkujących szczepionkę, postanowiły najpierw zaszcześcić swoich obywateli? Każdy dorosły Niemiec byłby już zaszczecony, a polski emeryt może wciąż czekałby na swoją dawkę rosyjskiej szczepionki Sputnik. Poważni politycy na szczęście w porę zrozumieli, że trzeba usiąść wspólnie do stołu, negocjować z korporacjami albo razem koordynować wprowadzanie lockdownów. Europa potraktowała to wyzwanie jako wspólne – jeśli chodzi o podejście zarówno do gospodarki, jak i do zdrowia.

A jaka logika zdecydowała o tym, że ostatecznie Europa pójdzie razem? Powody do dumy mają tu socjaliści, chadecy, liberałowie, konserwatyści?

– Cieszę się, że pan o to pyta, bo w Polsce rzeczywście spór o socjalizm i liberalizm wciąż dominuje w debacie publicznej. Co więcej, mam wrażenie, że jest to spór jałowy i toksyczny. Nawet ludzie wykształceni, zaznajomieni z administracją państwową, wydawałoby się, że czytani, często wpadają w te koleiny – jak państwo chce cokolwiek zrobić, to jest od razu komunizm. I na odwrót – jak tylko trzeba coś zrobić dla sektora prywatnego, to zaraz neoliberalizm!

Europejski Fundusz Odbudowy pokaże, że spór socjalizm kontra liberalizm jest w gruncie rzeczy przestarzały. Że to debata o tym, czy należy nosić buty, czy skarpetki. Ten

program nie jest skonstruowany jako socjalistyczny – bo środki nie pójdą na wielkie państwowe inwestycje i modernizację w starym stylu. Ale też nie pójdą tylko do firm, bo i samorządy, i społeczeństwo

Zaczynamy mówić o pozytywnej roli państwa, o tym, co ono może dla nas zrobić.

obywatelskie będą miały duży udział w ich wydawaniu. Europejski Fundusz Odbudowy nie dąży ani do tego, by gospodarkę znacjonalizować, ani by ją sprywatyzować czy poddać deregulacji. Nie można wszystkiego dać państwu, ale także nie można pozwolić, by wszystkim rządził rynek, bo sektor prywatny nie poradzi sobie bez pewnej ramy instytucjonalnej.

Co to znaczy?

– Trzymając się realiów epidemii, gdy myślimy o szczepionkach, to od razu: Pfizer, AstraZeneca, Moderna – prywatne korporacje. Ale te szczepionki powstały dzięki temu, że w krajach Zachodu mamy wysokiej jakości publiczną naukę. Technologia mRNA, dzięki której opracowano szczepionki Moderna i Pfizer, to technologia, nad którą naukowcy przez dekady pracowali w publicznych ośrodkach. Podobnie dystrybucję szczepionek zorganizowały rządy, a nie sektor prywatny. Czekamy również dyskusja, jak pomóc w szczepieniach krajom uboższym, ze względów humanitarnych, ale też by uniknąć mutacji wirusa, przez którą będziemy musieli zacząć walkę z pandemią od zera. Nikt chyba nie ma złudzeń, że korporacje zajmą się tym bez ingerencji państwa, z dobrej woli.

I w Funduszu Odbudowy są środki na takie działania. Ale nie chodzi o to, powtórzę, żeby w mechaniczny sposób dowartościować albo to, co publiczne, albo to, co prywatne – tylko aby oba te porządki wspólnie pracowały.

Ale kto ostatecznie ten spór wygrywa – liberałowie czy socjaliści?

– Chyba dla wszystkich jest oczywiste, że w tym sporze przez ostatnie cztery dekady jedna strona była lepiej reprezentowana – strona liberalna. Jednak to, że liberałowie wygrywali wojnę o dyskurs, nie oznacza, że w rzeczywistości

liberalna polityka gospodarcza jest tak powszechna. Zna pan to powiedzenie? „Jak polityk mówi, że robi, to mówi” – no i tak trochę jest z liberalną polityką gospodarczą. Starsi ekonomiści, którzy sparzyli się rolą

państwa w gospodarce czy centralnym planowaniem, dużo mówią o rynku i cięciu wydatków, ale ostatecznie nawet w państwach takich jak Polska – mimo historycznych doświadczeń – nigdy nie dochodzi się tak blisko prawej ściany.

Państwo wciąż dużo wydaje, nawet w USA, tylko przesuwamy priorytety. W Stanach Zjednoczonych państwo wciąż interesowało się gospodarką – wbrew temu, co mówili liberałowie gospodarczy – tyle że zaczęło pomagać wielkiemu biznesowi, choćby koncernom naftowym, zbrojeniowym czy farmaceutycznym. To, czym przestało

Unia Europejska po raz pierwszy zdecydowała się nie wspólnie oszczędzać, ale razem się zadłużać i razem wydawać.

się interesować, to nie gospodarka, lecz aktywna polityka społeczna. Jednak już zaczęło się to zmieniać w publicystyce i debacie ekonomicznej, a poglądy, których zakładnikami byliśmy do niedawna – np. ograniczanie długu za wszelką cenę – też nie są już tak mocne. I wychodzimy poza bardzo ciasny, zdefiniowany cztery dekady temu, neoliberalny kanon. Zaczynamy mówić o pozytywnej roli państwa, o tym, co ono może dla nas zrobić.

Postęp zatem jest, nie można mówić, że nic się nie zmienia.

– Gdyby ten kryzys wydarzył się 10 lat temu, w tamtych realiach debaty o ekonomii, nie mielibyśmy Funduszu Odbudowy w tym kształcie. Ekonomiści chodziliby po mediach i powtarzali, że skoro pandemia ustępuje, to teraz musimy zacisnąć pasa, ciąć wydatki i bilansować budżety. Dziś jesteśmy w innym miejscu. Godzimy się na dług, ale nie na dług dla długu, lecz w tym celu, by pchnąć gospodarkę na nowe i ciekawe tory. Wydaje mi się, że debata ekonomiczna poszła

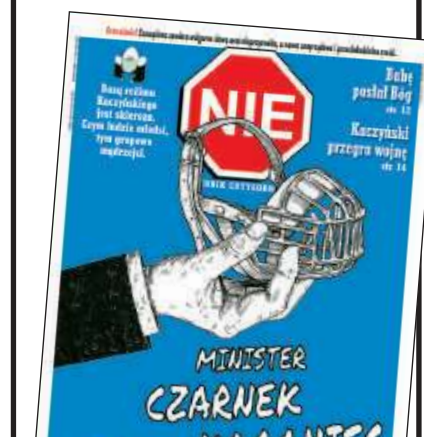
na tyle do przodu, że nawet debata polityczna niekoniecznie zawsze nadąży i odnajduje się w tych nowych realiach. Nawet gdy pojawiają się nowe partie mocno socjaldemokratyczne, jak w Polsce partia Razem, starej klasie politycznej nie zawsze udaje się wyjść z utrwalonych podziałów i sporów socjalno-liberalnych. A nowe pokolenie ekonomistów – do którego również siebie zaliczam – myśli i nowymi kategoriami, i co nieco odziedziczyło po starszych. Od liberałów bowiem wzięliśmy to, że publiczne pieniądze należy nie tylko wydawać, ale też wydawać je z sensem.

Żeby wydatki nie tylko pomagały łąć beton?

– Dokładnie tak. Kiedyś Keynes pisał, że można w czasach kryzysu stymulować gospodarkę, zakopując pieniądze w ziemi, a następnie każąc robotnikom je wykopywać. Ja, choć mam dużo bardziej lewicowe poglądy niż twórcy polskiej transformacji, nigdy bym nie pomyślał, że to dzisiaj dobry pomysł

na ożywienie koniunktury w kryzysie. Teraz trzeba się zastanawiać, na jakie działy gospodarki postawić, a nie tylko jak mocno nakręcać koniunkturę. ▶

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Minister Czarnek zachęca do mowy nienawiści.



► Na co więc należy postawić?

– Oczywiście nie powiem panu, jak każdy kraj wyda środki z FO i czy zrobi to lepiej, czy gorzej – bo tego jeszcze nie wiemy. Ale Komisja Europejska narzuciła pewne najważniejsze kierunki, wśród których wiodącym jest zielona transformacja. I słusznie! Ale i to nie jest jeden wielki program, lecz wiele możliwych inwestycji w różnych sektorach gospodarki: od produkcji paneli oraz inwestycji w nowe źródła energii, przez termomodernizację domów i ocieplenia, po nowe i bardziej efektywne sposoby produkcji w przemyśle.

Drugim kierunkiem jest cyfryzacja gospodarki. Nie tylko jednak w tym banalnym sensie wprowadzania e-państwa, informatyzacji urzędów itd. Chodzi o to, że cała gospodarka jest dziś bardziej cyfrowa i mocniej uzależniona od nowych technologii komunikacyjnych niż przed pandemią. Trwa choćby dyskusja, czy w ogóle należy wracać z pracą do biur. Ale wobec tego musimy zacząć się zastanawiać nad kolejnymi rzeczami i sektorami – jeśli nie wrócimy do biur, to co z opieką nad dziećmi i osobami zależnymi? I nagle okazuje się, że od cyfryzacji niedaleko do problemu opieki i usług publicznych.

Na poziomie idei brzmi to wszystko pięknie, ale czy w rzeczywi-

stości jedno tak wprost wynika z drugiego?

– Myślą przewodnią autorów tego programu było połączenie dwóch kluczowych wyzwań – wyjścia z kryzysu i zmierzenia się z katastrofą klimatyczną. I próba upieczenia dwóch pieczeni na

Europejski Fundusz Odbudowy łączy dwa kluczowe wyzwania – wyjście z kryzysu i zmierzenie się z katastrofą klimatyczną.

jednym ogniu. Kiedyś w ramach bardziej Keynesowskiej logiki inwestycji publicznych budowano tzw. białe słońce...

Białe słońce?

– Czyli takie projekty, które może nie mają zbyt wielkiego gospodarczego sensu, ale są okazałe i spektakularne. I dobrze prezentują się w telewizji. Stadion Narodowy był taką inwestycją. Dziś może nią być Centralny Port Komunikacyjny – choć nie wiemy jeszcze w ogóle, czy to lotnisko powstanie i się przyda. Czasami „białe słońce” nie tylko nie pomagają w rozwoju, ale wręcz generują koszty ekonomiczne i środowiskowe. Spójrzmy na Brazylię, gdzie przed igrzyskami w Rio wybudowano imponującą liczbę obiektów sportowych, a teraz kolejny rok stoją one puste i zarastają dżunglą. A Bразylia jak była biedna, tak nadal jest.

Decydenci w UE chcą już odejść od polityki „białych słońc”. W Komisji Europejskiej rządzi dziś nie liberalizm ani socjalizm, ale synteza jednego z drugim. Po liberałach mamy to, że chcemy, by pieniądze były wydawane efektywnie, po socjalistach zaś to, że nie boimy się

włączyć państwa i publicznych instytucji w gospodarkę i pokrzyżowywać rozruchy.

I w Polsce też już mamy tę dyskusję za sobą? Czy wręcz przeciwnie, spór o Krajowy Plan Odbudowy znów nas cofa o kilka, jeśli nie kilkanaście lat?

– Dzisiejszy spór lewicy, liberałów i konserwatystów o Krajowy Plan Odbudowy w Polsce jest zupełnie pozbawiony sensu. I mija się z istotą problemu. Kiedyś co najmniej równie mocny, jeśli nie ostrzejszy, był spór obozów Solidarności i postkomuny. Ale choć obie strony nie szczędziły sobie gorzkich słów, to co do podstawowych rzeczy – takich jak wejście Polski do UE czy NATO – się zgadzały. Starsi czytelnicy może pamiętają takie rzeczy jak spór o Niceę, ale też nikt nie przeczy, że obóz solidarnościowy i jego politycy wspierali prezydenta Kwaśniewskiego w wejściu do NATO i premiera Millera w procesie akcesji do UE.

Dziś Polska ma dostać olbrzymi pakiet fiskalny, rzędu 10% PKB, którego w historii kraju po 1989 r. nie było nigdy. I my to wiemy już od roku, więc jestem zły – to ma być powiedziane – na polskich polityków, którzy o te pieniądze kłócą się dopiero teraz. Powinni przynajmniej od pół roku siedzieć przy stole negocjacyjnym i pracować nad tym, jaki najlepszy plan złożyć do Komisji Europejskiej i dostać jak najwięcej na jak najbardziej rozwojowe projekty. To, że tego nie robią, to jest po prostu granda i niewiele się to różni od wewnętrzzpartyjnych sporów sanacji w 1939 r. Niewybaczalna bezmyślność!

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL

RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ. WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPIISKIEM KORONAWIRUS

Latem 2009 r. sytuacja w Afganistanie gwałtownie się pogorszyła. Nie było dnia bez starć sił koalicji z talibskimi bojówkami. Również w polskiej strefie, w prowincji Ghazni, dochodziło do co najmniej kilku incydentów na dobrą – ostrzałów baz, ataków na konwoje i patrole. Z potyczek poza murami obozowisk Polacy zwykle wychodzili bez szwanku. Duża w tym zasługa transporterów Rosomak, zwanych przez Afgańczyków zielonymi diabłami. Ich działka siały popłoch w szeregach bojowników, a pancerz dawał schronienie załogom i przewożonym na miejsca akcji żołnierzom. Jednak Afgańczycy nie odpuszczali – z jeszcze większą zaciekłością atakowali patrole piesze, a na „diabły” szykowali coraz większe i bardziej wymyślne miny pułapki. Gdy 10 sierpnia w zasadzce w wiosce Usman Khel zabito por. Daniela Ambrozińskiego, informacje o intensyfikacji walk dotarły wreszcie do opinii publicznej w Polsce. Kilka dni później, podczas pogrzebu poległego oficera, dowódca wojsk lądowych gen. Waldemar Skrzypczak wygłosił emocjonalne przemówienie – za które w efekcie zapłacił głową – pomagając się od polityków nazwania misji w Afganistanie wojną oraz adekwatnego wyposażenia wysyłanych do Azji oddziałów. – Przecież macie rosomaki – miał wówczas powiedzieć minister obrony Bogdan Klich. Wozy, w których się nie ginie.

Konwój

W Giro stacjonowała nieco ponad setka żołnierzy, w większości spadochroniarzy. Na terenach wokół posterunku roilo się od talibów, *de facto* więc Polacy żyli w oblężonej twierdzy. Zaopatrzenie dostarczały helikoptery, rzadziej samoloty, które dokonywały zrzutów. Ale w Giro nie chodziło o trwanie, lecz o „projekcję siły” – patrole regularnie wypuszczały się do okolicznych wiosek. Za dnia paradowali w nich Polacy, nocą wracali talibowie. Tam, gdzie pierwsi bywali częściej, drudzy z czasem pojawiali się rzadziej, nie była to zatem zabawa w kotka i myszkę, ale rozłożona w czasie strategia budowania stref wpływów. Kręgów bezpieczeństwa,



Saper Marcin Poręba wyjechał do Afganistanu wiosną 2009 r.

BLIZNA

Wojna nie kończy się, gdy milkną strzały

jak mówiono w Giro, numerując poszczególne pierścienie, gdzie jeden oznaczało najbliższe okolice bazy. Ta strategia wymagała ciągłej mobilności niewielkiego garnizonu, z czym wiązała się intensywna eksploatacja sprzętu. Tymczasem zaplecze logistyczne, w tym serwis rosomaków, znajdowało się w głównej polskiej

– Chłopaki drzemały, ja nie mogłem zasnąć. Czytałem „Apokalipsę według Pana Jana” Roberta Szmidta – opowiadał mi kilka dni później jeden z rannych wówczas żołnierzy. – I wtedy walnęło. Nie wiem, co się działo przez następne sekundy. Gdy wróciła świadomość, zobaczyłem kłębówisko ciał. I zacząłem się zastanawiać, dlaczego kolega, Waldi, leży na mnie. Ale to ja leżałem na nim.

Z Mariuszem Mazurem, dowódcą trafionego wozu, rozmawiałem przed pięciu laty. Tak wtedy wspominał ów moment: – Dojechaliśmy do wioski, po obu stronach były jakieś zabudowania. Dłużej opłotka-

Wtedy walnęło. Nie wiem, co się działo przez następne sekundy. Gdy wróciła świadomość, zobaczyłem kłębówisko ciał.

bazie, „Gazowni”, ulokowanej na obrzeżach miasta Ghazni. Popularne „roski” docierały tam na własnych kołach, w ramach powtarzanych co jakiś czas konwojów logistycznych. I właśnie taki konwój, składający się z czterech wozów, rankiem 4 września 2009 r. wyruszył do „Gazowni”.

Oddział dotarł na miejsce po pięciu godzinach, by po kolejnych trzech udać się w drogę powrotną. Tuż przed godz. 18, w drugim kręgu (*sic!*), 3 km od celu, doszło do eksplozji miny pułapki.

mi jechać się nie dało, musieliśmy wrócić na drogę, co zawsze wiązało się z większym ryzykiem. Maszyna już się prostowała i wtedy pod przedostatnim kołem pierdyknęło. „Mój Boże, oby urwało tylko koło!”, modliłem się w duchu. Ale siadło mi całe auto, wszystkie systemy się wyłączyły. W środku było pełno kurzu i dymu, z tyłu słyszałem czyjeś jęki. „Marcin nie żyje!”, krzyknął któryś z chłopaków. „Który?!”, spytałem, bo na desancie było dwóch Marcinów.

Z rodzicami Marcina na ławeczce przygotowanej przed laty dla mojego imiennika.

► Mazur nie otrzymał odpowiedzi. Wydostał się z wieży rosomaka zaraz po działonowym. – Uniostem włączy kierowcy i pytam, czy wszystko z nim w porządku. Potwierdził, więc pobiegłem na tył wozu. Jeden z kolegów już wysiadał, za nim zobaczyłem kłębowisko ciał i sprzętu. Zaczęliśmy wyciągać chłopaków.

Pod transporterem eksplodował ładunek formowany kinetycznie. Prosta, chałupnicza konstrukcja, składająca się z pojemnika na materiał wybuchowy nakrytego plastrem miedzi. Eksplozja używanej zwykle przez talibów saletry wyrzucała w górę ów kawałek stopu, a oddziałujące nań siły formowały go w stożek. Prędkość i gęstość takiego pocisku sprawiały, że przechodził przez podwozie jak przez masło. Ktoś, kto znalazł się na jego drodze, nie miał szans na przeżycie. Tym kimś był Marcin Poręba, saper. Siedzących obok kolegów poraziła fala uderzeniowa.

Ewakuacja

Gdy jedni ewakuowali poszkodowanych ze zniszczonego pojazdu, reszta przygotowywała grunt pod lądowanie śmigłowca medycznego. W ruch poszły karabiny, granatniki RPG, działka rosomaków. Żołnierze przez kilka minut prowadzili ogień zaporowy, strzelając do miejsc, w których mogliby się chronić bojownicy. Helikopter tymczasem zawisł im nad



głowami, po czym poleciał dalej i usiadł na lądowisku przy bazie Giro. W Afganistanie każdy patrol utrzymywał łączność z własnym „tokiem” (od ang. TOC, Tactical Operation Center – Centrum Operacji Taktycznych). W tym przypadku sytuację komplikował fakt, że konwój prowadził „tok” w Giro. Wezwanie pomocy dotarło najpierw tam, a dopiero potem do „toku” w Ghazni, gdzie stacjonowały amerykańskie śmigłowce medyczne. Centrum w Giro dostało prawidłowe namiary od dowódcy konwoju – i takie dane przekazało „tokowi” w Ghazni. Stamtąd współrzędne, w niezmienionej formie, trafiły do Amerykanów. Ci prawdopodobnie założyli, że skoro do ataku doszło tak blisko bazy, ranni zostali do niej dowiezieni. Szczęście w nieszczęściu, że szybko naprawili swój błąd, a siedem minut zwłoki nie kosztowało

czyjegoś życia. Ale stan pięciu poszkodowanych i tak był poważny. Jeden z żołnierzy, ze zmiążdżoną u dołu prawą nogą, wiele tygodni później niemal ją stracił. Zawziął się, nie pozwolił na amputację. Po kilkudziesięciu operacjach kończyła wróciła do dawnej sprawności.

Gdy śmigłowiec ewakuacji medycznej zabral rannych do szpitala w Ghazni, na niebie pojawiły się następne maszyny. Dowództwo polskiego kontyngentu wycofało z innej operacji dwa szturmowe Mi-24, które przez dwie godziny strzegły bezpieczeństwa unieruchomionego konwoju. To były bardzo niebezpieczne chwile, gdyż Polacy stali w blasku księżyca w pełni. Gdyby talibowie zorganizowali regularną zasadzkę, użyliby przeciw naszym żołnierzom moździerzy. Kilka strzałów wystarczyłoby do zadania kolejnych strat. Trudno powiedzieć, czy Afgańczycy mieli takie plany, czy przestraszyli ich huczące nad głowami „diabelskie rydwany”, znane im jeszcze z czasów radzieckiej interwencji. Faktem jest, że do ataku nie doszło. A na miejscu wylądował kolejny helikopter, który przywiózł amerykańskich saperów. To oni sprawdzili grunt pod trafionym pojazdem, bez czego nie było mowy o wzięciu rosomaka na hol. Miny pułapki często podkładano parami, tak by uniemożliwić dalsze ruchy uszkodzonej maszyny. „Dobić” ją w razie potrzeby. W tym przypadku



Z potyczek Polacy zwykle wychodzili bez szwanku. Duża w tym zasługa rosomaków.

pomoc saperów była niezbędna także z innego powodu – Polacy utknęli w terenie, z którego wyjazd prowadził nad przepustem. Tam również mogła kryć się mina.

Przepust okazał się czysty, wozy wróciły do bazy. Następnego dnia na lądowisku dla helikopterów w Ghazni kilkuset żołnierzy pożegnało ciało Marcina Poręby. Nastrojowi powagi towarzyszyło wyraźne poruszenie. „Zielone diabły” już wcześniej wjeżdżały na miny, co kończyło się urwanymi kołami i urazami „wytrzęsionej” załogi – czasem poważnymi, nigdy śmiertelnymi. Poprzedniego wieczoru nieprzyjaciel przełamał psychologiczną barierę. – Próbowali, próbowali, aż wreszcie im się udało – podsumował wysiłki talibów jeden z moich mundurowych kolegów.

Saper

Marcin Poręba służbę w armii rozpoczął w 1997 r., w chwili śmierci miał 31 lat. Postanowieniem prezydenta Lecha Kaczyńskiego został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Krzyża Wojskowego i Gwiazdą Afganistanu. Minister Klich awansował go do stopnia sierżanta. I właśnie taki stopień widnieje na grobie Marcina w rodzinnym Szczecinie, wiosce w województwie lubelskim. Pochowano go tam 9 września 2009 r.,

i wyróżnienia. Udzielał się też artystycznie – był członkiem zespołu ludowego w pobliskim Gościeradowie. Przygodę z wojskiem zaczął od służby zasadniczej. Najpierw trafił do Koszalina, a potem do Szczecina, do tamtejszej jednostki przeciwlotniczej. Mimo początkowych wahań zdecydował się na służbę nadterminową, a w 2001 r. przeniósł się do szczecińskiego pułku saperów. Latem 2003 r. wyjechał do



Marcina Porębę pochowano w Szczecinie 9 września 2009 r., przy zachowaniu wojskowego ceremoniału.

– Oczywiście. Marcin lubił wyzwania. Przed wylotem doszkała się w saperce, jeździł na różne kursy. Naprawdę tym żył.

Poręba wyleciał pod Hindukusz wiosną 2009 r. Najpierw trafił na posterunek Karabach, a później do bazy Giro. Dowodzona przez Marcina sekcja saperów odnalazła wiele zaimprovizowanych ładunków wybuchowych, nazywanych przez żołnierzy ajdikami.

– Gdy wychodził sprawdzić przepust, na przód kolumny, odsonięty, mógł liczyć na wsparcie reszty patrolu – mówi o Porębie Mariusz Mazur. – Ale to on ryzykował najwięcej. Wiele mu zawdzięczamy, był naszym aniołem stróżem.

Dom

– Dla mnie to był trudny czas – w słowach matki Marcina groza mieszała się ze smutkiem. – Po śmierci Daniela Ambrozińskiego zaczęłam się martwić jeszcze bardziej. Któregoś razu rozmawiam z synem przez telefon i słyszę: „Mamo, pamiętajcie ogrodzić moją działkę”. Mówię mu: „Synku, przyjedziesz, sam ogrodzisz”. A on: „Nie, zróbcie to teraz, proszę”. Jakby jakieś przeczucia miał. Parę dni później, trochę pod wpływem tej rozmowy, zaczęliśmy z młodszym synem i synową budować huśtawkę. Dla Marcina i Szymona, bo przecież jak już będzie ▶

Saper Marcin Poręba służbę w armii rozpoczął w 1997 r., w chwili śmierci miał 31 lat.

przy zachowaniu wojskowego ceremoniału. W pogrzebie udział wzięli przedstawiciele władz państwowych i dowództwa armii – minister obrony, stojący na czele BBN Aleksander Szczygło oraz szef Sztabu Generalnego WP, gen. Franciszek Gągor. – Tylu ważnych osób nasza wioska nigdy jeszcze nie gościła – zauważyła po latach Zofia Poręba, mama poległego sapersa.

Marcin miał trzy siostry i dwóch braci. Ze wspomnień matki wyłania się obraz wesołego i wiecznie zajętego dziecka. Gdy wyrósł z podwórka, dołączył do harcerstwa, a później do ochotniczej straży pożarnej. Wiecznie na zbiórkach i wyjazdach, z których przynosił do domu kolejne dyplomy

Iraku jako żołnierz pierwszej zmiany polskiego kontyngentu. Wcześniej ożenił się z dziewczyną, którą poznał, będąc już w wojsku. Para doczekała się syna, Szymona, ale związek nie przetrwał próby czasu.

– Dla Marcina syn był pierwszą miłością, zaraz potem było wojsko – wspominał poległego przyjaciela chor. Jarosław Kościelak. – Niektórzy traktują armię jako miejsce pracy, lecz nie Poręba. Pamiętam, jak jeździł na urlop w rodzinne strony. Co drugi dzień dzwonił i pytał, czy w jednostce wszystko OK. Ze Szczecina do Szczecina jest 700 km, a on w każdej chwili gotów był wracać.

– Chciał jechać do Afganistanu? – spytałem chorążego.

► huśtawka, to Marcin musi wrócić. Tak zaklinaliśmy rzeczywistość.

Huśtawka nie pomogła. Wieczorem 4 września 2009 r. Zofia Poręba wyszła właśnie z obrządku. – Zobaczyłam w dole wojskowy samochód. Zaraz za naszym gospodarstwem kończy się droga, ale ja miałam nadzieję, że to nie do nas, że auto pojedzie dalej. Zatrzymało się koło domu...

Domu, z którego jeszcze kilka lat temu można było dojrzeć pobliski cmentarz. I upewnić się, że znicze na grobie Marcina nadal się palą. Dziś widok przesłaniają drzewa – wążutki zagajnik nasadzony wzdłuż cmentarnego płotu dla lepszego oddzielenia *sacrum* od *profanum*. Wzrastające

Na odprawie przydzielono mnie do ekipy Wojtka. Ktoś jednak uznał, że dziennikarz nie powinien jechać w czołowym wozie.

drzewa to dobra ilustracja mijającego czasu – tego, że życie toczy się dalej. Zresztą gdzieżby szukać lepszego przykładu, jak nie w Szczecynie. Miejsu symbolu, które 2 lutego 1944 r. zostało spacyfikowane przez kilkutyśięcną ekspedycję niemiecką. Okupanci zamordowali 368 osób – w tym wiele kobiet i dzieci. Spalili też szkołę i 142 gospodarstwa wraz z żywym inwentarzem. I choć nie został kamień na kamieniu, wioska się odrodziła.

Żałoba nie złamała rodziców Marcina, ale wptynęła na ich dalsze życie. Dziś istotna jego część wiąże się z pielęgowaniem pamięci o synu. Poręba stał się miejscowym bohaterem, jego grób regularnie odwiedzają uczniowie i harcerze. Przyjeżdżają wojskowe delegacje i weterani, np. w ramach motocyklowych rajdów upamiętniających poległych. Rokrocznie to co najmniej kilka różnych okazji, każda staje się pretekstem do odwiedzin w domu Porębów. A ci chętnie przyjmują gości, szczególnie kolegów, z którymi Marcin służył w Giro. Dziś można już mówić o tradycji zapoczątkowanej w pierwszej rocznicę śmierci. Wtedy na cmentarzu w Szczecynie zjawiała się większość uczestników feralnego konwoju. Tak było rok później i w kolejnych latach. Na początku września przy grobie poległego nie brakuje również kolegów ze szczecińskiego pułku.

Podczas tych wizyt rodzinny dom Porębów zamienia się w małe koszary.

– Chłopcy ze Szczecina mają dalej, zostają więc dwie noce, spadochroniarze z Bielska przyjeżdżają na jedną – relacjonowała mi swego czasu pani Zofia. – Wszyscy ciągle powtarzają, że przyjeżdżają „do Marcina”.

Reporter

Ja również chciałem pojechać do Marcina, brałem bowiem udział w opisanym konwoju. Nie wszystko widziałem na własne oczy – jechałem w czwartym wozie, Marcin w pierwszym. Wybuch, który wyrwał mnie z półsnu, usłyszałem jako przylumiony odgłos.

– Moździerz!? – krzyknął wówczas Wojtek, dowódca sekcji desantowej, a jego podwładni zaczęli poprawiać hełmy i przeładowywać broń. Pamiętam te sekundy napięcia, nim wreszcie podano przez radio, że to jedynka wjechała na ajdika. Działonowy zaklął paskudnie, a eter wypełnił się kaskadą dźwięków. Z potoku meldunków i pytań trudno było wyłapać informację o tym, co stało się z ludźmi z trafionego pojazdu. Ale niebawem wiedzieliśmy już, że jeden żołnierz zginął, a co najmniej dwóch zostało rannych. – Spokojnie. Może panikują... – powściągał kolegów Wojtek. Miał osobisty odbiornik i słuchawkę w uchu, słyszał i rozumiał więcej niż my. – Ajdik poszedł w desant – relacjonował. – Wzywają medevac (śmigłowiec ewakuacji medycznej – przyp. MO).

Bałem się okrutnie. Na kilka minut mnie sparaliżowało – jakby ktoś mi przyspawał nogi do podłogi. Później ta chwila słabości długo we mnie pracowała, wstydziłem się jej. Chcąc ją unieważnić, pakowałem się w kolejne wyjazdy, w następne wojny, a w nich w sytuacji, w których trudno już mówić o odwadze, bo trzeba powiedzieć o głupocie. Lecz nie z tego powodu unikałem uroczystości w Szczecynie. 4 września 2009 r., na odprawie przed wyjazdem konwoju, przydzielono mnie do ekipy Wojtka. Ktoś jednak uznał, że dziennikarz nie

powinien się znajdować w czołowym wozie – i „mojego” rosomaka przesunięto na koniec kolumny. Jako pierwszy miał jechać „rosiek” z Marcinem Porębą na pokładzie. Moim imiennikiem, co po wszystkich nabrało dodatkowego symbolicznego wymiaru. Obwinianie się o śmierć Marcina było procesem, początkowo subtelnym, uruchomionym jeszcze 4 września. Późnym wieczorem przypadkiem natknąłem się na inwentaryzację sprzętu ze zniszczonego rosomaka i na stole, pośród innych gratów, zobaczyłem zakrwawioną kamizelkę sapera. Potem było już tylko gorzej.

W 2016 r. przyjąłem propozycję Centrum Weterana i dołączyłem do grona autorów książki poświęconej Polakom poległym w Iraku i Afganistanie. Postanowiłem, że napiszę m.in. o Marcinie*. Zadzwoeniłem do pani Zofii. – Ponad sześć lat czekałam na ten telefon – usłyszałem w słuchawce.

Mimo przyjaznego przyjęcia nie byłem gotowy na rozmowę o moim poczuciu winy. Nadal też odrzucałem zaproszenia na uroczystości w Szczecynie. Pojawiłem się tam w 10. rocznicę śmierci Marcina. Godzinę rozmawiałem z panią Zofią i panem Genkiem, w pokoju pełnym pamiątek po ich synu.

– Tak widocznie musiało być – orzekli zgodnie. Bałem się tej rozmowy, a podczas niej poznałem ludzi, którzy potraktowali mnie jak bliską osobę. Niemal jak syna. – Jesteś Marcin, to nie przypadek – stwierdziła pani Zofia. A twarz miała przy tym tak pogodną, że z miejsca się popłakałem. Potrzebowałem 10 lat, by zakończyć tamten konwój, ale wreszcie się udało. Rana pokryła się blizną.

– Usiądź z nami – usłyszałem tuż przed wyjazdem do domu. Usiadłem więc między Zosią i Genkiem, ściskając mocno ich spracowane dłonie. Na ławeczce przygotowanej przed laty dla mojego imiennika.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

* Książka nosi tytuł „W naszej pamięci. Irak, Afganistan 2003-2014” (Centrum Weterana Działania Poza Granicami Państwa, Warszawa 2016). Część zawartych w tekście wypowiedzi pochodzi z rozdziału „Marcin Poręba” bądź jest efektem rozmów prowadzonych przeze mnie podczas zbierania materiału.

Największy wyścig współczesnego świata

O zwycięstwie nad pandemią COVID-19 zdecydują moce produkcyjne koncernów farmaceutycznych

Marek Czarkowski

Koronawirus SARS-CoV-2 zmienił życie miliardów ludzi. Wstrząsnął podstawami globalnej gospodarki. Ujawnił słabość systemów ochrony zdrowia i niezdolność rządów do radzenia sobie z kryzysem. Nadzieją na pokonanie pandemii była szczepionka, którą należało opracować w jak najkrótszym czasie. W 2020 r. Amerykanie i Europejczycy, Chińczycy i Rosjanie zaangażowali w to ogromne środki. Rozpoczął się wyścig umysłów i fabryk.

Być może prezydent Donald Trump przejdzie do historii jako największy mizogin i rasista zasiadający w Gabinetcie Ovalnym, lecz amerykańska administracja, gdy z Chin nadciągnęło zagrożenie, wiedziała, co robić. Na przełomie lutego i marca 2020 r. wzięta się do organizowania Operation Warp Speed – przedsięwzięcia porównywalnego z projektem Manhattan, czyli programem budowy bomby atomowej. Identyczne działania podjęła Komisja Europejska, która zgromadziła środki i rozpoczęła rozmowy z koncernami farmaceutycznymi.

Szybciej niż światło

Warp to nazwa napędu, z którego korzystają statki kosmiczne w serialu *science fiction* „Star Trek”, a także miara większa od prędkości światła. Trudno o bardziej trafny kryptonim dla przedsięwzięcia, którego celem było jak najszybsze uruchomienie w Stanach Zjednoczonych masowej diagnostyki, terapii oraz produkcji i dystrybucji szczepionek. Pieniądze miał dać rząd, a resztą miały się zająć firmy prywatne.



W marcu br. fabrykę szczepionek w Puurs odwiedził król Belgów Filip.

Na czele Operation Warp Speed stanął Marokańczyk z pochodzenia, dr Moncef Slaoui, były szef działu szczepionek koncernu farmaceutycznego GlaxoSmithKline, który na rządową posadę przeniósł się wprost z fotela wiceprezesa Moderny. W zespole znaleźli się przedstawiciele departamentów: obrony, rolnictwa, energii, spraw weteranów oraz Narodowego Instytutu Zdrowia i kilku innych instytucji. Początkowo budżet wynosił 10 mld dol. Jesienią zwiększono go do 18 mld dol. 15 maja 2020 r. prezydent Trump oficjalnie ogłosił start programu.

Zadaniem zespołu dr. Slaouiego było zawarcie umów z potencjalnymi producentami szczepionki przeciw COVID-19. Trump chciał, by zaczęto szczepić nią Amerykanów przed planowanymi na listopad wyborami prezydenckimi. Wyzwaniem było nie tylko opracowanie technologii, ale przede wszystkim zorganizowanie masowej produkcji i dystrybucji specyfiku.

30 czerwca 2020 r. amerykańska Agencja Żywności i Leków (Food and Drug Administration – FDA) ogłosiła, że aby szczepionka uzyskała akceptację i zgodę na użycie (a firma dostęp do rządowych pieniędzy), musi być skuteczna w co najmniej 50%. Wydaje się to bardzo skromnym warunkiem. Stosowane dziś w USA i Unii Europejskiej preparaty mają o wiele wyższą skuteczność.

W sierpniu 2020 r. zapadły decyzje o podziale środków w ramach Operation Warp Speed. Dofinansowanie otrzymały firmy: Johnson & Johnson wspólnie z Janssen Pharmaceuticals – 1 mld dol., Novavax – 1,6 mld dol., GlaxoSmithKline i Sanofi Pasteur – 2,1 mld dol., Moderna – 1,53 mld dol., AstraZeneca/Oxford University – 1,2 mld dol. oraz Merck z The International AIDS Vaccine Initiative – 38 mln dol. na badania nad lekami przeciwwirusowymi. Na tej liście nie było koncernu Pfizer i niemieckiej spółki BioNTech.

► 9 listopada 2020 r., gdy znano już wyniki III fazy badań klinicznych szczepionki duetu Pfizer/BioNTech, wiceprezydent Mike Pence zaćwierkał na Twitterze: „Dzięki partnerstwu publiczno-prywatnemu stworzonemu przez prezydenta @realDonaldTrump, @pfizer ogłosił, że jego badania nad szczepionką przeciw koronawirusowi są SKUTECZNE, zapobiegając infekcji u 90% ochotników”. Zwrócono mu uwagę, że Pfizer nie otrzymał ani centa z Operation Warp Speed, a prace nad tą szczepionką sfinansował rząd Angeli Merkel, przekazując 445 mln dol. niemieckiej spółce.

To partnerstwo nie było przypadkiem. BioNTech wcześniej współpracował z Pfizerem przy szczepionkach przeciw grypie. Firmę w 2008 r. założyło małżeństwo Uğur Şahin i Özlem Türeci, a pięć lat później jej

masowej produkcji zajęło 10 miesięcy. Tego nie spodziewał się nikt.

Dziś Pfizer/BioNTech produkuje szczepionkę w czterech zakładach, przez siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę. Fabryki w USA mieszczą się w Kalamazoo, Andover i Saint Louis, a w Europie w belgijskiej miejscowości Puurs.

Proces produkcyjny początkowo trwał 110 dni, ale udało się go skrócić do 60. Składa się z wielu etapów i wymaga ponad 280 składników pochodzących od 86 dostawców z 19 krajów. Każda partia przechodzi 40 różnych testów i kontroli jakości. Plany zakładają, że w tym roku uda się wyprodukować 3 mld dawek szczepionki Comirnaty, a w roku 2022 – 4 mld. Pfizer rozwiązał też problem transportu szczepionek na duże odległości w bardzo niskich temperaturach. Wykorzystano

się stać lekami na raka, choroby serca i cukrzycę. AstraZeneca bardzo ryzykowała. W 2013 r. technologia mRNA nie była sprawdzona. Za to Moderna zyskała reputację i dwa lata później na jej rachunkach leżało już ponad 1 mld dol. od prywatnych inwestorów.

Umowa między firmami wygasta w roku 2018 i dziś, gdy Stéphane Bancel rozkręca opartą na technologii mRNA produkcję szczepionki Moderna, chcąc w 2022 r. wyprodukować 3 mld dawek, dyrektor generalny Astrazeneki Pascal Soriot ma o czym myśleć.

Głównym wyzwaniem, przed którym w ubiegłym roku stanął Bancel, było zorganizowanie łańcucha dostawców składników oraz znalezienie zakładów, w których można produkować szczepionkę. W Europie głównym partnerem został szwajcarski koncern Lonza, który w maju zeszłego roku podpisał umowę z Moderną. Jak powiedział w jednym z wywiadów Bancel, „naszym wspólnym celem jest umożliwienie produkcji nawet 1 mld dawek szczepionki mRNA-1273”.

W grudniu 2020 r., w głównym zakładzie w miejscowości Visp Szwajcarzy uruchomili trzy nowe linie produkcyjne, każda o wydajności 100 mln dawek rocznie. Współpraca między partnerami układa się tak dobrze, że niedawno zawarto kolejną umowę, na zakup i uruchomienie w przyszłym roku w zakładzie w Visp trzech takich samych linii produkcyjnych w celu zwiększenia produkcji. Pod koniec kwietnia br. Lonza ogłosiła, że potrzebuje 100 nowych pracowników, by zapewnić maksymalną wydajność już działających instalacji. A w przyszłości będzie ich potrzebowała jeszcze więcej.

W Stanach Zjednoczonych Moderna w czerwcu 2020 r. podpisała umowę z koncernem Catalent. Napęnlanie fiolek i dystrybucja szczepionki miały się odbywać w zakładzie w Bloomington w stanie Indiana w trybie 24 godziny przez siedem dni w tygodniu.

6 kwietnia 2021 r. strony zawarły kolejną umowę. Catalent oddał do użytku Moderna nową, szybką linię napęnlania, która może być wykorzystana do produkcji szczepionki. Wyprodukowanie 3 mld dawek w przyszłym roku stało się całkiem realne.

Europejczycy mają dostać to, co najlepsze – i najdroższe – czyli szczepionki produkowane przez Pfizer/BioNTech oraz Modernę.

wiceprezesem została dr Katalin Karikó – węgierska biochemik, pracująca na Uniwersytecie Pensylwanii, gdzie wspólnie z prof. Drew Weissmanem położyła podwaliny pod technologię produkcji szczepionek mRNA. Dziś to niemal pewni kandydaci do Nagrody Nobla.

Gdy 12 stycznia 2020 r. chińskie władze udostępniły sekwencję genetyczną koronawirusa SARS-CoV-2, prace nad szczepionką ruszyły w Niemczech pełną parą. Pierwsze testy z udziałem ochotników zaczęły się już w kwietniu 2020 r., zanim administracja Trumpa oficjalnie ogłosiła rozpoczęcie Operation Warp Speed.

Albert Bourla, prezes i dyrektor generalny farmaceutycznego giganta, wspominał potem w wywiadach, że wołał unikać korzystania z pieniędzy podatników. Za to starał się zapewnić swoim naukowcom takie finansowanie, by martwili się jedynie o wyzwania naukowe.

W grudniu 2020 r. szczepionka Comirnaty – bo taką nadano jej nazwę – wyprodukowana przez Pfizer i BioNTech jako pierwsza została zatwierdzona przez FDA i zaferowana Amerykanom. Jej opracowanie, przetestowanie i wdrożenie do

specjalne pojemniki wyposażone w czujniki termiczne z obsługą GPS i użyto suchego lodu do utrzymania temperatury minus 70 st. C. W takich warunkach można przechowywać szczepionki przez 10 dni.

Miliardy Moderny

Rok 2020 należał także do Moderna. Firma powstała w 2010 r. i nazywała się Moderna Therapeutics. Był to jeden z wielu niezbyt rokujących start-upów, z siedzibą w Cambridge w stanie Massachusetts. Rok później Nubur Afeyan, amerykański inwestor pochodzenia ormiańskiego i główny udziałowiec spółki, zatrudnił na stanowisku dyrektora generalnego Stéphane'a Bancela – Francuza, pracującego wcześniej dla koncernu Eli Lilly. Ten na początku 2013 r. dogadał się przy śniadaniu z innym Francuzem, Pascalem Soriotem, który od pół roku był dyrektorem generalnym farmaceutycznego giganta AstraZeneca. Panowie zawarli wartość 240 mln dol. umowę. Moderna Therapeutics w ciągu pięciu lat miała dostarczyć brytyjsko-szwedzkiemu koncernowi wyprodukowane z wykorzystaniem technologii mRNA substancje, które w przyszłości mogły



Jeden ze składników szczepionki Moderna produkowany jest w Portsmouth w USA.

Ze zbytem szczepionek ani Pfizer/BioNTech, ani Moderna nie będą miały problemów. Ich główni odbiorcy to bogate kraje – Unia Europejska, Stany Zjednoczone, Kanada, Japonia, Izrael, kraje Zatoki Perskiej, Meksyk... 7 maja br. Moderna podniosła prognozę sprzedaży w roku 2021 do 19,2 mld dol., po tym jak w pierwszym kwartale tego roku osiągnięto przychód 1,9 mld dol. Dla porównania w pierwszym kwartale 2020 r. całkowity przychód firmy wyniósł... 8 mln dol.

AstraZeneca i inni

Jeszcze we wrześniu 2020 r. wydawało się, że brytyjsko-szwedzki koncern jest na czele stawki w wyścigu po szczepionkę przeciw COVID-19. Jednak potem pojawiły się informacje o kilku zgonach wśród ochotników uczestniczących w badaniach. Trzeba było badania wstrzymać i wyjaśnić przyczyny. Następnie okazało się, że części III fazy badań klinicznych nie przeprowadzono z należytą starannością

i należało je powtórzyć. W efekcie szczepionkę na początku grudnia 2020 r. dopuszczono do użytku tylko w Wielkiej Brytanii, gdzie stała się podstawowym orężem w walce z COVID-19. Unia Europejska i Stany Zjednoczone nie śpieszyły się z podjęciem decyzji, mimo że Vaxzevria – bo tak ostatecznie nazwano szczepionkę – była tania, nie wymagała transportowania w bardzo niskich temperaturach i okazała się skuteczna. Produkuje się ją w tradycyjnej technologii wektorowej – składa się z niezdolnego do replikacji wirusa, w który wbudowano gen kodujący informację genetyczną o syntezie białka S koronawirusa SARS-CoV-2, co z kolei pobudza odpowiedź immunologiczną organizmu. Europejska Agencja Leków (EMA) dopuściła ją do obrotu na terenie Unii dopiero 29 stycznia 2021 r., podczas gdy szczepionki Pfizer/BioNTech i Moderna dopuszczono już 21 grudnia 2020 r. i 6 stycznia 2021 r.

Jeszcze w czerwcu 2020 r. koncern zawarł umowę o wartości 87 mln dol. z firmą Emergent BioSolutions

na produkcję szczepionki na rynek amerykański. Proces jej konfekcjonowania w USA AstraZeneca prowadziła we własnym zakładzie w West Chester, w stanie Ohio. Tak koncern wywiązał się z umowy zawartej w ramach Operation Warp Speed.

W Indiach AstraZeneca podpisała umowę licencyjną z Serum Institute of India – największym producentem szczepionek na świecie – który produkuje ją pod nazwą Covishield. Szczepionka trafiła m.in. do Wietnamu, Bangladeszu, Pakistanu, Argentyny, Salwadoru, Malezji, Meksyku, Nepalu, na Tajwan i Filipiny.

AstraZeneca produkuje substancję czynną szczepionki w kilku miejscach na świecie. W Wielkiej Brytanii – w Oksfordzie i Keele. Konfekcjonowaniem i rozlewaniem szczepionki do ampułek zajmuje się zakład w Wrexham. W marcu br. Europejska Agencja Leków zatwierdziła zakład firmy Halix w Lejdzie w Holandii, w którym ruszyła produkcja.

Dziś szczepionka Astrazeneki nie cieszy się najlepszą opinią. Powodem są – niezwykle rzadko występujące – powikłania o charakterze zakrzepowym. W efekcie szczepienia były wstrzymywane. Ostatnio ze stosowania Vaxzevrii zrezygnowały Dania i Norwegia, a Słowacja zawiesiła jej używanie po zgonie 47-letniej kobiety, która wcześniej została nią zaszczepiona.

AstraZeneca nastawia się obecnie na współpracę z programem szczepień przeciw koronawirusowi COVAX prowadzonym przez Światową Organizację Zdrowia. Jego celem jest dostarczenie preparatów krajom biednym, których nie stać na ich zakup.

Pierwszą szerzej dostępną na świecie szczepionką przeciw COVID-19 był rosyjski Sputnik V, opracowany przez moskiewskie Centrum Epidemiologii i Mikrobiologii im. Nikołaja Gamalei. To szczepionka wektorowa, podobna do Vaxzevrii. Specyfik został masowo użyty w Rosji już w sierpniu 2020 r. Sputnik V został zarejestrowany w ponad 20 państwach, lecz jego dostawy są skromne. W Rosji produkcją szczepionki zajmują się zakłady Medgamal należące do Instytutu im. Nikołaja Gamalei oraz spółki prywatne – Pharmstandard-UfaVITA, Generium, Biocad i Lekko. Pandemia ►

SKUTECZNOŚĆ SZCZEPIONEK

Szczepionka	Producent	Skuteczność
Moderna	Moderna	94,1%
Comirnaty	Pfizer/BioNTech	91,3%
Vaxzevria	AstraZeneca/Oxford University	76-82%
COVID-19 Vaccine Janssen	Johnson & Johnson	66%

► ujawniła, że rosyjski przemysł farmaceutyczny nie dysponuje odpowiednimi mocami produkcyjnymi, by zaspokoić potrzeby kraju. 27 stycznia br. w Kazachstanie produkcję szczepionki podjął Karagandyjski Kompleks Farmaceutyczny. Pojawiły się też informacje o wytwarzaniu jej przez firmę GL Rapha z Korei Południowej. Rosyjska szczepionka została dostarczona do ponad 60 krajów. W Europie pewną ilość kupili Węgrzy i Słowacy, co stało się przyczyną dymisji premiera Słowacji Igora Matoviča, który decyzję o zakupie podjął bez wiedzy koalicjantów.

Najczęściej stosowanymi na świecie szczepionkami są te produkowane przez Chińczyków. Do połowy maja br. zostało nimi zaszczepionych ponad 350 mln ludzi. W Europie szczepionkę oferowaną przez firmę Sinopharm kupili i dopuścili do użytku Węgrzy. Według władz chińskich ma ona ponad 79% skuteczności. Efektywność trzech innych preparatów oferowanych przez chińskie firmy ma wynosić ok. 70%. Zachodni eksperci podchodzą jednak do tych danych z ostrożnością. Nie brakuje informacji, że to ledwie ok. 55%.

Szczepionki te stosowane są głównie w Chinach i sprzedawane do krajów Trzeciego Świata. Zainteresowanie nimi wyraziły Brazylia, Turcja, Indonezja... oraz prezydent Andrzej Duda, który na początku marca br. w rozmowie telefonicznej

z prezydentem Chin Xi Jinpingiem wspominał o możliwości zakupu przez nasz kraj tych specyfików.

W Europie niejasna jest dziś sytuacja szczepionki COVID-19 Vaccine Janssen produkowanej przez koncern Johnson & Johnson. Jej skuteczność okazała się niższa niż innych preparatów. Plusem jest natomiast, że to szczepionka jednodawkowa. Na początku marca br. Komisja Europejska warunkowo dopuściła ją do obrotu. Unia miała z Johnson & Johnson kontrakt na 400 mln dawek, z których zamówiono połowę. Jednak pod koniec kwietnia ogłoszono, że UE rezygnuje z dodatkowych dostaw. Powodów tej decyzji mogło być wiele. Najbardziej prawdopodobnym wydaje się skandal związany z zakładem w Baltimore należącym do koncernu Emergent BioSolutions, w którym produkowany był kluczowy składnik szczepionki. W marcu br. kontrola wykryła, że jedna z partii nie spełnia standardów jakości. Trzeba było wyrzucić 15 mln dawek. Śledztwo wykazało, że w tym samym zakładzie produkowany był też jeden ze składników szczepionki AstryZeneki. Z winy pracownika doszło do zanieczyszczenia kluczowego składnika szczepionki firmy Johnson & Johnson składnikiem Vaxzevrii. Do zakładu wkroczyli kontrolerzy FDA, doszło do opóźnień w produkcji i dostawach szczepionki Johnson & Johnson. I Komisja Europejska wyciągnęła wnioski. W ubiegłym tygodniu ze stosowania COVID-19 Vaccine Janssen zrezygnował rząd Norwegii. Europejczycy mają dostać to, co najlepsze – i najdroższe – czyli szczepionkę Comirnaty produkowaną przez Pfizer/BioNTech i preparat Moderny. To te koncerny wygrały wyścig. Przynajmniej w Europie.

A co z wypowiedzią premiera Mateusza Morawieckiego o potrzebie uruchomienia produkcji szczepionki przeciw COVID-19 nad Wisłą? I zapowiedzią Pawła Borysa, preza Polskiego Funduszu Rozwoju, że w trzecim kwartale tego roku spółka Mabion wspólnie z amerykańską firmą Novavax uruchomi produkcję takiej szczepionki? To już inna, o wiele bardziej pikantna historia...

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Jakub Katulski

Kiedy Sąd Najwyższy Izraela zdecydował o odroczeniu posiedzenia w sprawie przymusowych eksmisji Palestyńczyków z ich domów w jerozolimskiej dzielnicy Szajch Dżarrah, w wielu miejscach Izraela i Palestyny już trwały demonstracje. Na ulice wyszli zarówno Arabowie, którzy chcieli wyrazić gniew na to, co ich zdaniem jest zbrodnią w białych rękawiczkach, jak i żydowscy nacjonaliści związani z ruchem osadniczym. Niektóre demonstracje przeradzały się w starcia z izraelską policją, z kamieniami i butelkami po jednej stronie, a granatami hukowymi, armatkami wodnymi i gumowymi kulami po drugiej. Już wtedy eksperci od bezpieczeństwa, tacy jak były szef izraelskiego wywiadu wojskowego Amos Gilad, mówili, że „Jerozolima jest beczką prochu, która może eksplodować”. I tak się stało, niemal natychmiast.

Jerozolima wciąż podzielona

Eksmisje Palestyńczyków z Szajch Dżarrah nie są problemem, który pojawił się nagle, choć z przekazu medialnego może wynikać, że żydowscy osadnicy po prostu weszli do domów i je zajęli. To długotrwały proces, sięgający jeszcze roku 1948 i wojny, którą Izraelczycy nazywają wojną o niepodległość, dla Arabów zaś jest ona początkiem Nakby – Katastrofy. Po zakończeniu działań wojennych Jerozolima Wschodnia, wraz z Szajch Dżarrah, znalazła się pod kontrolą Jordanii. W trakcie starć Żydzi opuszczali swoje domy w tej części miasta, z kolei Arabowie, uciekając przed konfliktem, porzucali mieszkania w Jerozolimie Zachodniej. Kiedy opadł kurz po walkach, zarówno Izrael, jak i Jordania stały przed poważnym problemem dotyczącym własności porzuconych nieruchomości. Niezależnie od siebie oba kraje stworzyły ustawy, na mocy których nieruchomości należące do osób „nieobecných”, czyli zamieszkujących „wrogie kraje”, stają się własnością państwową.

Jordańczycy zadbali o akty własności dla tych Arabów, którzy mieszkali w Szajch Dżarrah i innych dzielnicach Jerozolimy Wschodniej, podobnie Izrael zadbał o to, by



Jerozolimska beczka prochu

Jak batalia sądowa w sprawie przymusowych eksmisji Palestyńczyków podpaliła region



Zniszczone budynki w Gazie, 12 maja 2021 r.

żydowski mieszkańcy miasta otrzymali własne dokumenty. Problem pojawił się wraz z zakończeniem wojny sześciodniowej w 1967 r., kiedy to Zachodni Brzeg, Jerozolima Wschodnia, półwysep Synaj i Wzgórze Golan znalazły się pod izraelską okupacją. W świetle izraelskiego prawa mieszkańcy Szajch Dżarrah zostali uznani za „nieobecných”, skoro do tego momentu mieszkali

mieli szansę odzyskania opuszczonych mieszkań. Okazję zwiertzył ruch osadniczy i jego prawnicy od razu wkroczyli do akcji – prawa własności domów znalazły się w rękach dwóch religijnych funduszy powierniczych, a Palestyńczykom pozostały jedynie prawa lokatorskie. W 2002 r. tereny przejęła firma Nahalat Shimon Ltd., zarejestrowana w amerykańskim stanie Delaware, co skutecznie utrudnia

w dniu oczekiwanego wyroku, poinformował, że potrzebuje jeszcze 30 dni na decyzję, wstrzymując do tego czasu eksmisję.

Dziurawa Żelazna Kopuła

Takie umycie rąk nie zadowoliło żadnej ze stron. A izraelscy nacjonaliści dolewali oliwy do ognia, planując m.in. marsz z okazji Dnia Jerozolimy, czyli narodowego święta upamiętniającego przejście przez Izrael kontroli nad wschodnią częścią miasta. 30 tys. osadników i ultranacjonalistów miało 10 maja prowokacyjnie przejść ulicami Jerozolimy, zwłaszcza arabskiej części Starego Miasta, by dotrzeć pod Ścianę Płaczu.

Wszystko to zbiegło się z ostatnimi dniami ramadanu, najświętszego miesiąca islamu, podczas którego muzułmanie całe dni przestrzegają restrykcyjnego postu i wieczorami wychodzą na modlitwy. Kiedy atmosfera zaczęła gęstnieć, izraelska policja podjęła decyzję o zmianie trasy

Muzułmanie uznali, że wtargnięcie policji do meczetu w trakcie modlitwy i pożar to świętokradztwo.

we „wrogim państwie”. Tym samym ich nieruchomości zostały uznane za niczyje i przejęto je państwo. Następnie na mocy nowych przepisów z 1970 r. Żydzi, którzy byli w stanie udowodnić, że przed wojną o niepodległość posiadali nieruchomości w Jerozolimie Wschodniej, mogli się ubiegać o ich zwrot. Niestety, prawo nie przewidywało, by także Arabowie

ustalenie jej właściciela. Rozpoczęły się kolejne batalie sądowe, podczas których Izraelczycy i Palestyńczycy starali się udowodnić, kto ma prawo posiadania tych domów i mieszkania w nich. Sądy przyznały rację osadnikom i nakazały eksmisję czterech rodzin. Kolejne trzy miałyby się wynieść do sierpnia. Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który 10 maja,

► przemarszu. W nadziei na uspokojenie nastrojów zdecydowano się też na całkowite zamknięcie dla Żydów Wzgórza Świątynnego, na którym dzisiaj stoją święte dla muzułmanów meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, a dawniej wznosiła się Świątynia Jerozolimska. Okazało się jednak, że działania te podjęto zdecydowanie zbyt późno.

Obie strony obarczają się w tej chwili winą o to, kto zaczął. Zdaniem izraelskiej policji Palestyńczycy w meczecie Al-Aksa z wyprzedzeniem gromadzili kamienie i butelki z benzyną, po to by zaatakować funkcjonariuszy. Natomiast zdaniem Palestyńczyków policja wtargnęła do meczetu podczas modlitw i na ślepo zaczęła razić wiernych gumowymi kulami i granatami hukowymi. Pojedynczych wydarzeń nawarstwiło się tyle, że prawdopodobnie nigdy nie będzie możliwe ustalenie, kto naprawdę zaczął. Pewne jest jednak, że podczas gwałtownych starć na Wzgórzu Świątynnym wybuchł pożar. Choć okazało się, że płonęło drzewo oddalone o ok. 10 m od meczetu, to z dziedzińca pod Ścianą Płaczu wydawało się, że płonie Al-Aksa. Wieść o tym szybko rozeszła się w mediach społecznościowych,

Znaczną część pocisków przechwycił izraelski system obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopuła, ale okazało się, że przy tak masowym ostrzale niektóre rakiety się przedarły, trafiając w domy, ulice i samochody. Do piątku, 14 maja, w atakach rakietowych zginęło siedmioro Izraelczyków, w tym szóstka cywilów, a rany odniosły dziesiątki innych. Dla Izraela ten atak był największym zagrożeniem od wojny z Hamasem latem 2014 r., kiedy to w Tel Awiwie alarmy rozbrzmiewały niemal codziennie. Jednak nawet wtedy Hamas nie był w stanie wystrzelić 200 pocisków w kierunku centralnego Izraela w tak krótkim czasie, zaskakując tym wojsko i wywołując obawę, że Żelazna Kopuła może nie wytrzymać.

Bombowce strzegą murów

Izraelskie wojsko nie pozostało dłużne i rozpoczęło operację Szomer HaChomot (Strażnik Murów), uderzając na Gazę, bombardując do środy kilkaset celów i zabijając kilkadziesiąt osób, wśród nich kobiety i dzieci. Izrael podważa jednak liczbę zabitych, bo jak twierdzi rzecznik Sił

zdrowia w Gazie ledwo wytrzymywał obciążenie. Teraz, zdaniem Ministerstwa Zdrowia, stoi w obliczu całkowitej zapaści.

Wydaje się, że całkowita zapaść nastąpiła również w relacjach między izraelskimi Żydami i Arabami. W wielu miastach demonstracje poparcia dla Palestyńczyków eksmitowanych z domów w Szajch Dżarrah przeordziły się w zamieszki i regularne starcia uliczne między Arabami a żydowskimi nacjonalistami. W przylegającym do Tel Awiwu Bat Jam Żydzi przeszli głównymi ulicami, niszcząc witryny arabskich sklepów i wykrzykując: „Śmierć Arabom!”. W Lod premier Netanjahu ogłosił stan wyjątkowy, po tym jak w zamieszkach Arabowie podpalili trzy synagogi, liczne sklepy i samochody, co burmistrz Jair Revivo porównał do nocy kryształowej z 1938 r., dodając, że w mieście wybuchła wojna domowa i przepadły lata koegzystencji. Lista brutalnych ataków i miast, w których wybuchły zamieszki, na tym jednak się nie kończy.

Sytuacji nie poprawia fakt, że lider izraelskiej opozycji Jair Lapid próbuje właśnie utworzyć rząd, do którego miały wejść arabskie ugrupowanie Ra'am i prawicowa Jamina Naftalego Bennetta. Bennett poinformował Lapidę, że wycofuje się z tego pomysłu i pracuje nad utworzeniem szerokiej koalicji, w skład której miałby ponownie wejść Netanjahu. Oprócz tego wezwał sztab Sił Obronnych Izraela, by żołnierze weszli do miast z mieszaną ludnością i przywrócili spokój.

Żołnierze zostali zmobilizowani, ale po to, by zgrupować się w pobliżu granicy ze Strefą Gazy. 13 maja wieczorem premier Netanjahu wyraził zgodę na operację lądową, co zagraniczne media zinterpretowały jako decyzję o rozpoczęciu inwazji. Szybko okazało się jednak, że żołnierze nie wchodzi do Gazy, tylko izraelska artyleria rozpoczęła ostrzał miasta, wspierając w ten sposób bombowce. Żadna ze stron nie jest gotowa na szybkie zawieszenie broni, a minister obrony Beni Ganc dodaje, że wojsko „nie będzie słuchać moralnych kazań przeciwko naszemu obowiązkowi obrony obywateli Izraela”, operacja zaś potrwa tak długo, aż zostanie osiągnięta „całkowita cisza”.

Jakub Katulski

Żadna ze stron nie jest gotowa na szybkie zawieszenie broni.

tak samo jak nagrania, na których widać tańczących radośnie Izraelczyków. Ich zachowanie szybko zostało skrytykowane przez palestyńskie media, ale na izraelskich portalach komentarze nie były tak jednoznaczne. Jedni twierdzili, że widoczni na nagraniach młodzi Żydzi cieszą się z pożaru meczetu, bardziej prawicowi komentatorzy pisali, że przyczyną radości jest przede wszystkim rocznica „zjednoczenia Jerozolimy”.

Muzułmanie uznali, że wtargnięcie policji do meczetu w trakcie modlitwy i pożar to świętokradztwo. Hamas wezwał Izrael, by jego siły bezpieczeństwa opuściły Wzgórze Świątynne. Jeszcze tego samego 10 maja około godz. 18 mieszkańcy centralnego Izraela nagrywali telefonami filmy, na których widać było dziesiątki pocisków nad miastami. Jak się okazało, z Gazy w ciągu kilku minut wystrzelono ok. 200 rakiet. W nocy i w następnych dniach wcale nie było spokojniej.

Obronnych Izraela ppłk Jonathan Conricus, „liczby podawane przez Ministerstwo Zdrowia Gazy są manipulowane przez Hamas”, a według niego Izrael z niemal chirurgiczną precyzją zabija bojowników. Jedyni cywile mieliby ginąć dlatego, że Hamas i Palestyński Islamski Dżihad wykorzystują ich w roli żywych tarcz. Liczba ofiar śmiertelnych w Gazie zmienia się jednak z godziny na godzinę.

Izrael w nalotach zniszczył kilka mieszkalnych wieżowców, obiekty, które według wojska były fabrykami broni czy też kryjówkami bojowników. Światowa Organizacja Zdrowia podała, że bomby spadły także na centrum medyczne Hala al-Szawa w północnej części Gazy. Gdy mówiono już o ponad setce zabitych i ponad pół tysiącu rannych, agencja Associated Press doniosła, że szpitale mogą sobie nie poradzić. Tym bardziej że trwa pandemia i już przed starciami z Izraelem system ochrony



Z Galicji

Jan Widacki

Litwa naszą przewodniczką do Europy

Początkowo Litwini nie chcieli świętować z nami rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, gdyż wśród historyków litewskich dominował pogląd, że położyła ona kres państwowości litewskiej w ramach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. To stanowisko historyków, a po jakimś czasie i polityków litewskich, stopniowo się zmieniło. Nie bez znaczenia było tu odnalezienie i opublikowanie XVIII-wiecznego litewskiego tekstu Konstytucji 3 maja oraz uznanie, że Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów uchwalone przez Sejm Wielki 20 października 1791 r. przesądza o tym, że odrębność Wielkiego Księstwa w ramach jednego państwa została na nowo określona. Dziś nikt na Litwie nie ma wątpliwości, że Konstytucja 3 maja była wspólnym dziełem Polaków i Litwinów, a także innych narodów wchodzących w skład dawnej Rzeczypospolitej, i wspólnym powodem do dumy. Ostatnio litewski Sejm ogłosił nawet rok 2021 Rokiem Konstytucji 3 Maja.

Nie wiem, skąd przekonanie, że nasz protekcjonalizm – w dużej mierze bez pokrycia – sprawia Litwinom przyjemność.

Godzien najwyższego uznania był zamysł wspólnego uczczenia 230. rocznicy uchwalenia konstytucji przez przedstawicieli państw będących dziś dziedzicami dawnej Rzeczypospolitej, która w 1795 r., po ostatnim rozbiorze, zniknęła z mapy Europy i w takim kształcie już nigdy się nie odrodziła. Również godne uznania było to, że wyrażono wspólnie solidarność z Białorusinami, którzy jako jedyni z grona dziedziców I Rzeczypospolitej nie z własnej woli nie przyłączyli się do wspólnego świętowania, i z Ukraińcami, wspierając ich moralnie w walce o utrzymanie całości państwa.

Imponujące było to, że równocześnie w Warszawie i Wilnie zebrały się Sejmy polski i litewski, a w polskim Sejmie obok prezydenta RP obecny był prezydent Republiki Litewskiej i obydwaj wygłosili przemówienia.

Pamiętam, jak od początku lat 90., chcąc zrobić przyjemność Litwinom, nasi politycy wszystkich niemal opcji deklarowali, że Polska będzie wspierać Litwę w jej dążeniach do integracji z Europą, że będzie jej ambasadorem. Nie wiem, skąd przekonanie, że ten nasz protekcjonalizm – w dużej mierze bez pokrycia – sprawia Litwinom przyjemność. Nikt

chyba nie lubi, gdy się go traktuje protekcjonalnie. Dlaczego akurat Litwini mieli lubić takie traktowanie? Nic dziwnego, że to, co miało sprawiać przyjemność, musiało Litwinów drażnić w najwyższym stopniu. Z drugiej strony ten protekcjonalizm ujawniał nie tylko brak naszego elementarnego wyczucia, ale przede wszystkim przełamywanie jakiegoś naszego okropnego kompleksu. Chcieliśmy koniecznie pokazać, że jesteśmy od Litwy więksi, bardziej politycznie dojrzałsi, że mamy w Unii Europejskiej i NATO jakieś wielkie możliwości działania, skutecznego popierania lub niepopierania.

Litwa jest dziś dojrzałym europejskim państwem, członkiem UE i NATO. Prowadzi rozsądną politykę zagraniczną, zarówno wewnątrz Unii, jak i na zewnątrz. Od lat należy do strefy euro, gdy my wciąż jeszcze mamy złotówki, i już choćby przez ten fakt jest bardziej od nas zintegrowana z Unią.

Opozycja białoruska też ma większe zaufanie do Litwy niż do Polski. Nie przypadkiem Swiatłana Cichanouska rezyduje w Wilnie, a nie w Warszawie. Mimo umizgów naszego rządu Litwa

rozsądnie trzyma się głównego nurtu polityki unijnej i nie angażuje w jakieś warcholstwa Orbána i Kaczyńskiego. W sprawie Tuska nie poparła polskiego rządu (nawiasem mówiąc, Orbán również nie poparł). Nie dała się także wciągnąć w machinacje mające zablokować powiązania wypłat unijnych ze stanem praworządności.

W polskim Sejmie 3 maja, gdy polski prezydent opowiadał o tym, jak to Europa Środkowa (znaczy Polska i Litwa) dawała przykład Zachodowi, i coś mgliście nawijał o Trójmorzu, w delikatnej opozycji do Unii, litewski prezydent spokojnie mówił, że Polska i Litwa były częścią Zachodu i powinny nią pozostać w ramach Unii. Przez moment żałowałem, że Gitanas Nausėda jest prezydentem Litwy, a nie Polski. Ta Litwa chyba bardziej prozachodnia niż Polska Kaczyńskiego.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl



www.tygodnikprzeglad.pl

Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku i Twitterze




Mateusz Mazzini

Zbyt świeża jest pamięć o karze śmierci, żeby uznać tę sankcję za relikw czasy minione. W końcu niedawno była stosowana dość powszechnie, a jej zasądzanie, choć uznawane za wyrok ekstremalny, nie wzbudzało ani szerokich społecznych kontrowersji, ani moralnego oburzenia. Doskonałą ilustracją tego procesu jest chociażby Europa, dziś praktycznie całkowicie – z wyjątkiem Białorusi – wolna od kary śmierci, ale jeszcze cztery dekady temu pozwalająca na jej istnienie w kodeksach krajów uznawanych za wolnościowe, praworządne i demokratyczne, np. Francji. Niewiele wcześniej, bo w latach 70., zinstytucjonalizowane pozbawianie życia sprawców szczególnie okrutnych zbrodni wykreśliły z katalogu kar dawne kolonie i terytoria Imperium Brytyjskiego, w tym Kanada i Australia. Na samych Wyspach stało się to, przynajmniej z praktycznego punktu widzenia, w roku 1965, chociaż nie wszędzie i nie całkowicie. Irlandia Północna karę śmierci utrzymywała jeszcze przez osiem lat, a brytyjskie prawo egzekucję za niektóre akty łamania prawa, w tym zdradę stanu i szpiegostwo zagrażające bezpieczeństwu narodowemu, dopuszczało i w 1998 r.

Nawet Organizacja Narodów Zjednoczonych – instytucja powołana przecież w duchu powojennego międzynarodowego liberalizmu i przekonania o uniwersalności praw człowieka, w tym prawa do życia – długo była w stanie zdobyć się co najwyżej na memoranda, jak to z 1977 r., nawołujące do „stopniowej redukcji na całym świecie zakresu przestępstw, za które dopuszczalne jest zasądzenie kary śmierci”.

Krótko mówiąc, historia zabijania skazanych w imię państwa i prawa nie jest ani odległa, ani



Happening Amnesty International inaugurujący kampanię przeciwko karze śmierci.

POWOLNA ŚMIERĆ NAJGORSZEJ Z KAR

Kilkadziesiąt krajów wciąż legalnie pozbawia życia swoich więźniów

Koalicji Przeciwko Karze Śmierci, ta forma karania więźnia przez państwo wciąż jest dopuszczana – nawet jeśli jako archaiczny, ale istniejący przepis – aż w 53 państwach. To miejsca, w których albo wciąż regularnie wykonuje się egzekucje, albo tamtejsze władze nigdy nie zadeklarowały ich całkowitego usunięcia z katalogu kar. I choć z roku na rok mapa stref wolnych od państwowo sankcjonowanego pozbawiania życia się powiększa,

rankingu są Chiny, chociaż precyzyjnych danych na temat kary śmierci w Państwie Środka nie sposób przytoczyć. Władze w Pekinie nie informują o liczbie egzekucji, wiele z nich jest przeprowadzanych poza formalnymi ramami wymiaru sprawiedliwości. Do tego należy doliczyć śmierci ujętych więźniów w przymusowych placówkach reedukacyjnych i obozach pracy. Oficjalnie, według Pekinu, żadne z tych miejsc nie istnieje, chociaż o systemowych prześladowaniach, przemocy, gwałtach, przesiedleniach, jak również egzekucjach, piszą zagraniczne media, organizacje pozarządowe i serwisy aktywistyczne niemal na całym świecie. Co więcej, jak donosi Amnesty, Chińczykom w egzekucjach covid wcale nie przeszkodził – wręcz przeciwnie, zwiększył liczbę wydanych wyroków. Partia komunistyczna

W 2020 r. egzekucje wykonano aż w 18 krajach.

jednoznaczna. A w wielu miejscach na świecie nie jest nawet historią.

Według danych organizacji pozarządowych monitorujących kodeksy karne na całym świecie, przede wszystkim Amnesty International, Human Rights Watch i Światowej

powody do optymizmu są umiarkowane. Nawet w 2020 r., zdominowanym przez pandemię koronawirusa, egzekucje wykonano aż w 18 krajach.

Jak donosi w corocznym raporcie Amnesty International, globalnym liderem w tym niechlubnym

bowiem w ostatnim roku karała pozbawieniem życia także sprawców przestępstw pandemicznych, takich jak rażące naruszenia reżimu sanitarnego, kradzież sprzętu medycznego

opresyjnego reżimu, nagminnie łamiącego prawa człowieka.

Łącznie w zeszłym roku odnotowano 483 egzekucje – to wciąż bardzo dużo, chociaż znacznie mniej niż

wyduje się wciąż odległa – także dziś, z prezydentem o niebo bardziej postępowym i przywiązany do idei praw człowieka.

Nawoływał do zakazania kary śmierci za jednym zamachem na całym świecie słyhać tak samo dużo – i pozostają one podobnie nieskuteczne. Coraz więcej aktywistów zdaje się przekonywać, że o ogóln światowej abolicji nie ma co marzyć. Egzekucje w imieniu prawa eliminować trzeba stopniowo, najlepiej przypadek po przypadku, a dopiero potem kraj po kraju. Taką metodę przyjęli brytyjscy prawnicy Parvais Jabbar i Saul Lehrfreund, współtwórcy The Death Penalty Project, inicjatywy na rzecz wyeliminowania egzekucji z kodeksów karnych poszczególnych państw. Ich działalność daleka jest jednak od tradycyjnego społecznego aktywizmu uprawianego przez organizacje pozarządowe, ruchy społeczne czy

88% udokumentowanych egzekucji w ciągu ostatnich 12 miesięcy przeprowadzono w Iranie, Egipcie, Iraku i Arabii Saudyjskiej.

i preparatów ochrony osobistej, ale też rozprzestrzenianie w internecie informacji na temat sytuacji epidemicznej w kraju czy przekazywanie ich przedstawicielom innych narodów. Amnesty International szacuje liczbę egzekucji w Chinach w minionym roku na kilka tysięcy i niemal na pewno była ona w 2020 r. wyższa od statystyk z lat wcześniejszych.

Zaraz za Chinami plasują się kraje Bliskiego Wschodu – Iran, Egipt, Irak i Arabia Saudyjska, odpowiedzialne za aż 88% udokumentowanych egzekucji w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Szczególnie martwią dane płynące z Kairu, bo tamtejszy rząd pozbawił w tym okresie życia aż 57 osób. Najczęściej są to więźniowie polityczni i sumienia, poddawani przed wykonaniem wyroku systematycznym torturom; ich zeznania są wymuszane, a prawo do bezstronnego, uczciwego procesu niemal zawsze łamane jest od początku postępowania.

W Arabii Saudyjskiej jako jedynym kraju z listy dopuszczalną metodą egzekucji pozostaje ścięcie głowy. Tu w 2020 r. zabito w imieniu prawa 27 osób, ściganych głównie za przestępstwa polityczne, ale też religijne. W jej wypadku, choć może to zabrzmieć groteskowo, należy

w poprzednich latach. W skali świata karę śmierci stosuje się coraz rzadziej, nawet jeśli nadal istnieją miejsca, gdzie wykonuje się ją za poglądy polityczne (Egipt), orientację homoseksualną (Iran), handel narkotykami (Singapur, Tajlandia, Chiny, państwa obszaru pacyficznego i Oceanii). Wszystkie te powody stoją w jasnej sprzeczności z prawem międzynarodowym, które, choć jednoznacznie nie potępia kary śmierci, zaleca, by stosować ją wyłącznie w przestępstwach, w których sprawca sam

Prawo stanowe w USA dopuszcza karę śmierci aż w 27 stanach.

pozbawił życia inne osoby, i to ze szczególnym okrucieństwem.

Zupełnie innym tematem jest jednak istnienie kary śmierci w krajach zamożnych, rozwiniętych i demokratycznie (w miarę) stabilnych. Do takich należy chociażby Japonia, z ostatnią egzekucją wykonaną w 2019 r. Nie mówiąc oczywiście o Stanach Zjednoczonych, w których karę śmierci dopuszcza prawo aż w 27 stanach, czyli ponad połowie wszystkich tworzących unię. Dodatkowo Donald Trump w 2020 r.

międzynarodowe koalicje. Jabbar i Lehrfreund starają się udowodnić swoje racje na gruncie prawnym. Przekonują, że kara śmierci powinna zostać skasowana, bo jest zwyczajnie instrumentem zasądzanym bezprawnie. Zamiast pisać petycje i organizować demonstracje, biorą w obronę skazanych na śmierć. Zakładają, że w ich procesach coś musiało pójść nie tak: brakowało dowodów, rzetelnego obrońcy, niezawisłego sędziego. I prawie zawsze mają rację. Zaczynali od walki na Karaibach,

W skali świata karę śmierci stosuje się coraz rzadziej, nawet jeśli nadal są miejsca, gdzie grozi ona za poglądy polityczne, orientację seksualną i handel narkotykami.

jednak odnotować postęp, bo akurat liczba egzekucji przeprowadzanych przez saudyjskich autokratów systematycznie spada. W 2019 r. było ich aż 184, ale i tutaj należy dopuszczać, że nie wszystkie wyroki są wykonywane w ramach działalności publicznego sądownictwa, a przez to – raportowane w statystykach udostępnianych potem organizacjom pozarządowym. Nie ma co jednak negować faktu, że Rijad zabija coraz mniej więźniów, również po to, żeby choć trochę zatrzeć piętno

powrócił do praktyki wykonywania wyroków śmierci na mocy prawa federalnego, czym na nowo rozpalil ogólnokrajową debatę na temat statusu amerykańskiego prawa karnego, wpisanego weń systemowego rasizmu i gigantycznego, większego niż w jakimkolwiek innym kraju, odsetka populacji za kratami. Chociaż akurat za oceanem inicjatywy nawołujące do wprowadzenia federalnego zakazu wykonywania kary śmierci są liczne, silne i głośne, perspektywa wprowadzenia tego typu zmian

dzisiaj działają w ponad 30 krajach. Z sukcesami, bo to dzięki ich zaangażowaniu egzekucje przestały być wykonywane m.in. na Barbadosie. Jabbar i Lehrfreund do problemu podeszli od strony przypadku, nie systemu. Nie znaczy to wcale, że ambicje mają mniejsze niż globalne organizacje humanitarne. Też chcą przecież, by kara śmierci wreszcie wymarła. I choć proces ten dzieje się powoli, to rzeczywiście wydaje się nieodwracalny.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Kolumbia: pokój jeszcze daleko

Tysiące ludzi wyszły na ulice.
Mimo brutalnej reakcji władz
manifestanci nie wracają do domów

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Ameryki
Południowej

Po przeszło dwóch tygodniach marszów ulicznych i strajków w zakładach pracy, które zaczęły się w Kolumbii 28 kwietnia, liczbę ofiar śmiertelnych szacuje się na 50. To więcej niż podczas pięciu miesięcy protestów w Chile z przełomu lat 2019 i 2020, które światowa prasa opisywała jako wyjątkowo krwawe.

Deszcz nie przeszkodził

Cali to trzecie co do wielkości miasto Kolumbii. Położone w żyznej dolinie rzeki Cauca, w sąsiedztwie głównego portu kraju – Buenaventury – i na strategicznym szlaku do Ekwadoru, jest także jednym z najważniejszych centrów gospodarczych. I miejscem, gdzie różnice społeczne między bogatą elitą a ubogimi masami widać jak na dłoni.

Kiedy w samym środku drugiej fali pandemii prezydent Iván Duque ogłosił niefortunną reformę podatkową, podnosząc ceny podstawowych produktów żywnościowych, a także opłaty za wodę czy gaz, to Cali wybuchło z największą siłą.

– Wielu analityków powtarzało: to nie ma sensu, przechodzimy przez rekordowy szczyt zakażeń, ludzie nie wyjdą na ulice – mówi Damaris Ramos Vega, psycholożka z uniwersytetu Areandina z Bogoty. A jednak główne aleje Cali zalał strumień ludzi. Mobilizacja szybko rozprzestrzeniła się na główne miasta. Z 20 tys. nowych przypadków koronawirusa dziennie 50-milionowa Kolumbia

maszeruje w masowych manifestacjach.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – opowiada wzruszona Damaris. – Odkąd pamiętam, protesty zawsze przypadały w dni deszczowe i ludzie szybko rozchodzili się do domów. Tym razem historia potoczyła się inaczej.

W zimnej, bo położonej na 2600 m n.p.m. stolicy kraju spadł deszcz, ale nie był w stanie ochłodzić gorących nastrojów. Gdy pierwszego dnia demonstracji przez miasto przetaczały się intensywne burze, ludzie krzyczeli i walili w bębny jeszcze głośniej. I trwali na ulicach. Tego samego dnia w Cali zarejestrowano pierwszą ofiarę śmiertelną. Zapłonęły autobusy i posterunki policji.

Kto nas ochroni przed policją?

– Zjawia się ESMAD, ogłasza, że oto my, manifestanci, odbieramy pozostałym obywatelom, czyli kierowcom samochodów, prawo do swobodnego poruszania się. Następnie policjanci otaczają nas i przechodzą do ataku – mówi Damaris. – Sama kilkakrotnie musiałam uciekać.

ESMAD (Escuadrón Móvil Anti-disturbios) to specjalny szwadron policji do rozpędzania ulicznych zamieszek, znany z nadużywania przemocy. Na zdjęciach i nagraniach wideo z manifestacji widać, jak ubrani na czarno mężczyźni w kaskach i ochraniaczach celują z długiej broni. Naprzeciwko młodzież kryje się za zaimprovizowanymi tarczami ze



Protestujący na placu Bolívara w Manizales, 5 maja 2021 r.

znaków drogowych. To tzw. Pierwsza Linia, czyli zorganizowana grupa protestujących, która chroni pozostałych uczestników marszu przed atakami ESMAD.

– Mało tego, nocami ESMAD wjeżdża do ubogich dzielnic czołgami i strzela ludziom w okna – kontynuuje Damaris.

Oprócz gumowych kul i gazu łzawiącego do wyposażenia funkcjonariuszy włączona została niedawno wyrzutnia typu Venom, ciskająca każdorazowo do dziesięciu granatów gazowych lub błyskawicznie działających. Producent oferuje urządzenie jako broń nieśmiertelnościową, jednak kolumbijski ESMAD, wbrew sugestii, zamiast wystrzeliwać pociski w górę, celuje bezpośrednio w protestujących. Miejskie akcje z użyciem tej wyrzutni przypominają regularne działania wojenne: na ulicy słychać

krzyki, w domach trzęsą się szyby, a potężne eksplozje rozświetlają noc.

– Tutejszy marsz 28 kwietnia został zwołany na dziesiątą rano. Przyjechałam godzinę wcześniej – opowiada Lania, fotografka z Manizales, niedużego miasta na zachodzie kraju. – Przeszliśmy przez centrum i niektóre dzielnice. Wszystko odbywało się pokojowo. Pod wieczór dołączyły do nas bardziej agresywne osoby. Niektórzy sprawiali wrażenie pijanych. Ktoś rzucił kamień w stronę policji,

zamorduje. Podczas manifestacji funkcjonariusze gwałcą w CAI protestujące kobiety, biją i upokarzają mężczyzn. W zeszłym roku w mojej dzielnicy policjant dopuścił się gwałtu na pięciolatce.

Również w tym roku CAI zapłonęły. Na jednym z transparentów ktoś napisał: „Kto nas ochroni przed policją?”. Według różnych szacunków podczas pierwszych dwóch tygodni protestów zginęło od 42 do 50 osób. Los przeszło 500 pozostaje nieznany.

Władze w Bogocie idą w zaparte i eskalują konflikt.

no i się zaczęło: strzały, gaz łzawiący. Ludzie rozbiegli się po domach.

– Już wielokrotnie udało się potwierdzić, że rzekomi manifestanci niszczący mienie publiczne i jako pierwsi wdający się w starcia ze służbami porządkowymi to osoby opłacane przez policję lub sami policjanci po cywilnemu – uzupełnia Damaris. – Zwróć uwagę, że ESMAD jest niezwykle sprawny w identyfikowaniu i pacyfikowaniu manifestujących. Ale gdy podczas protestów dochodzi do grabieży sklepów czy podpalania autobusów, z niewyjaśnionych przyczyn policja nie zjawia się na miejscu.

Policja w Kolumbii ma jak najgorszą reputację, a jej symbolem w stolicy Bogocie są tzw. CAI, niewielkie posterunki w poszczególnych dzielnicach. Powołane w 1987 r. miały zmniejszyć dystans między funkcjonariuszami a obywatelami. Z biegiem lat stały się siedliskiem korupcji, nadużywania władzy i handlu narkotykami. – W Bogocie każdy wie, że w okolicach CAI z łatwością znajdzie kogoś, kto sprzeda mu działkę – twierdzi Damaris. – Policja ogranicza się do pobierania haraczy od dilerów.

We wrześniu ub.r. w jednym z bogotańskich CAI policja pobiła na śmierć mężczyznę, który miał wyjść z domu po godzinie policyjnej narzuconej ze względu na pandemię. W odpowiedzi manifestanci podpálili lub zniszczyli jedną trzecią CAI w mieście. Protesty z 2020 r. przyniosły kilkanaście ofiar śmiertelnych.

– Ludzie mają już dość – tłumaczy Damaris. – Idziesz ulicą, widzisz policjanta i wiesz, że pod dowolnym pretekstem może cię zabrać do CAI, by wyciągnąć od ciebie pieniądze. Jeśli zechce, pobije. Może nawet

– Ale manifestacje są przede wszystkim pokojowe – zapewnia Damaris. – Ludzie idą ulicami, hałasują za pomocą łyżek i garnków, organizują koncerty. Graficy przechodzą ze swoimi obrazami, muzycy przynoszą instrumenty. Któregoś razu w dzielnicy Chapinero zjawiała się spontanicznie cała orkiestra symfoniczna. Sąsiedzi zbierają się na placach, sąsiadki gotują zupę dla uczestników protestu.

W Pereirze studenci blokują jeden z miejskich wiaduktów. Kilkaset osób wspólnie ćwiczy tam jogę. To odpowiedź na atak na Lucasa Villę, studenta i instruktora jogi, który podczas jednej z pokojowych manifestacji dostał osiem kul, czego skutkiem była śmierć mózgową.

Kolumbijczycy się zbroją. Władza gra na czas.

– To prawda, że w niektórych miastach manifestanci zburzyli pomniki kolonizatorów – mówi Damaris. – Ludzie nie chcą już składać hołdu tym, którzy spowodowali cierpienia narodu kolumbijskiego i przelewali kolumbijską krew. W tegorocznych protestach chodzi o znacznie więcej niż o podatki.

Podobnie jak w Chile powtarza się zdanie: Kolumbia się budzi.

54 rodziny

Na początku XX w. podpisano tzw. koncesję Barco. Umowa przewidywała, że dla ułatwienia wydobywania ropy naftowej w departamencie Santander państwo zajmie się mordowaniem rdzennej ludności w regionie. Podobne paktów rząd w Bogocie zawierał m.in. z plantatorami

bananów. Echa krwawych pacyfikacji robotników z tych przedsiębiorstw przez służby bezpieczeństwa znajdziemy w „Stu latach samotności” Márqueza. To przykład tego, że w Kolumbii i wielu innych krajach Ameryki Łacińskiej władze nie reprezentują obywateli. Raczej – pospół z elitą finansową – żerują na mieszkańcach.

– W Kolumbii istnieją 54 tzw. dobre rodziny, które kontrolują kluczowe gałęzie gospodarki – twierdzi Damaris. – W tym media. Praktycznie wszystkie duże media w Kolumbii są prorządowe, a wszystkie rządy prawicowe.

Dobrym przykładem jest poprzedni prezydent Kolumbii, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, Manuel Santos. Jego ojciec był dyrektorem największego dziennika w kraju, „El Tiempo”, a dziadek – senatorem i dyplomatą. Wszystko zostaje w rodzinie. Te same elity położyły rękę na kolumbijskiej ziemi – współczynnik Giniego dla koncentracji własności ziemskiej w Kolumbii wynosi 0,88 i należy do najwyższych na świecie (współczynnik 0 oznaczałby równość w dostępie do ziemi, 1 – maksymalną nierówność). Własność ziemska nie zmieniła się bardzo od feudalnych czasów hiszpańskiej kolonii. Na drugim biegunie znajdują się grupy partyzanckie, takie jak FARC czy ELN, które powstawały jako zbrojna odpowiedź na brak ziemi

dla drobnych rolników. Z czasem *guerrilleros* zaczęli finansować swoją działalność handlem narkotykami. Zamiast rozważać reformę rolną na szeroką skalę, władze w Bogocie od dekad stawiają na zbrojne zwalczanie partyzantów, także za pomocą grup paramilitarnych działających na marginesie prawa.

Mimo podpisanego w 2016 r. traktatu pokojowego z FARC w Kolumbii wiele się nie zmieniło. Zwykli Kolumbijczycy znajdują się między młotem policji a kowadłem partyzantów, neoliberalne bajki typu „chcieć to móc” i „biedny jest ten, kto chce” trudno zaś wcielić w życie bez dostępu do ziemi, edukacji i służby zdrowia. Kolumbijska młodzież wyjeżdża na studia do Argentyny, gdzie uniwersytety są darmowe, a robotników z Cali można spotkać nawet w uchodzącej

► za ubogą Boliwii. Zapewniali mnie, że w Santa Cruz de la Sierra zarabiają dwa razy więcej niż w Filii Nieba, Sucursal del Cielo, jak o Cali śpiewa Grupo Niche.

Eskalacja konfliktu

W 2019 r. kolumbijski parlament przyjął reformę fiskalną, obniżając podatki najbogatszym przedsiębiorstwom w kraju. – Wyszliśmy protestować, ale nic to nie dało – opowiada Damaris. – Reformę zaprobowano w grudniu, zaraz przed świętami, o piątej nad ranem.

Manifestacje trwały, ale wkrótce przyszła pandemia i wszelka mobilizacja społeczna została sparaliżowana. Podobnie jak gospodarka, zwłaszcza niewielkie, lokalne sklepy. Możliwość zarobku stracili uliczni sprzedawcy utrzymujący się w szarej strefie, która w Kolumbii tworzy prawie połowę rynku pracy. Szczęśliwi zatrudnieni legalnie zarabiają ok. 1000 zł miesięcznie. Według tegorocznej reformy fiskalnej to oni, najubożsi, mieliby zapłacić za pandemiczny kryzys. Problem w tym, że podczas gdy minister gospodarki Alberto Carrasquilla martwi się

o punkty ratingowe i spłaty zadłużenia, ludzie nie mają co jeść.

Ale chociaż 4 maja Carrasquilla złożył tekę ministra, a prezydent Iván Duque obiecał wycofać reformę, protesty trwają. Sytuacja przypomina manifestacje w Chile sprzed dwóch lat. Wówczas bezpośrednią przyczyną marszów mających ponad milion uczestników okazało się podniesienie cen biletów na transport miejski. Jednak i w Chile, i w Kolumbii chodziło nie o kilka groszy mniej lub więcej w portfelach, tylko o inne Chile, o inną Kolumbię. O inny kraj. Kraj należący do jego mieszkańców, a nie do wąskiej grupy polityków i właścicieli ziemskich, którzy koniec końców są jedną i tą samą grupą.

W sobotę, 15 maja, po historycznych, wielomiesięcznych protestach, Chilijczycy wybierali przedstawicieli, którzy ustanowią nową konstytucję. W Kolumbii to niepotrzebne, bo – jak zauważa kolumbijski politolog Ariel Fernando Ávila – kraj ma dobrą, nowoczesną ustawę zasadniczą. Problem w tym, że się jej nie przestrzega. Tymczasem władze w Bogocie idą w zaparte i eskalują konflikt. Ávila zwraca uwagę, że to strategia dobrze znana z protestów w Wenezueli z 2018 r. Pierwszy krok to brutalna odpowiedź aparatu państwa. Ani w Wenezueli, ani w Kolumbii to nie wystarczyło, a opinia międzynarodowa zarzucała obu rządów nadmierną przemoc policji. Co dalej?

– Wówczas wycofujesz policję i pozwalasz, by ludzie mordowali się między sobą – podsumowuje gorzko Ávila. A kolumbijska prawica ma wieloletnie doświadczenie w formowaniu pseudocywilnych grup paramilitarnych. Minga, grupa ludności rdzennej z regionu Cali, została zaatakowana 9 maja przez połączone siły policji i zbrojnych cywilów. Osiem osób zostało rannych. Z miasta płyną doniesienia o starciach między sąsiadami: tymi w lśniących terenówkach z jednej strony i ludnością rdzenną oraz studentami z drugiej. Wiele osób o średnich dochodach nie wie, co robić, poparłoby protest, ale przedłużające się manifestacje uniemożliwiają utrzymanie rodziny. Ávila podaje za fundacją Pokój i Pojednanie, że na czarnym rynku Cali zaczyna brakować broni palnej. Kolumbijczycy się zbroją. Władza gra na czas.

Wojciech Ganczarek

ANSON MOUNT ABIE CORNISH ANTHONY HOPKINS ORAZ

WIRTUOZ
POJEDYNEK ZABÓJCÓW

PREMIERA DVD!

Dostępne w sklepach: MediaMarkt

PARTNERZY MEDIALNI

WP P w tonacji kultury FACET 40 GŁOS KULTURY FILMWEB

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Polska bez celu

Obszerwowanie Polski jest zajęciem kłopotliwym, stresującym i niepomernie jałowym. Wnioski z obserwacji nie kleją się w żadną całość (można by oczywiście skontrować, że całość jest przerekładowana, dlaczegoż miałyby się kleić, łączyć, tworzyć całość?). Jak powiedzieliby tomiści (popłuczownicy Arystotelesa zapośredniczeni w średniowiecznym Tomaszu z Akwinu, tytanie katolickiego intelektu, który na koniec swojego pracowitego i płodnego – intelektualnie – żywota miał stwierdzić, patrząc na dziesiątki grubaśnych jak on sam woluminów: „Wszystko to słoma”), szwankuje teleologia, czyli poczucie lub zmierzanie do celu. Celu brak. A jak zdążyć, kiedy nie wiadomo dokąd? A jeśli celu nie ma, to po co ruszać w drogę? Ale czy państwo gdzieś się rusza albo stoi? Czy państwo może stać w miejscu i wówczas ponosić konsekwencje przestoju na schodach ruchomych jadących w przeciwnym kierunku? Czyli jeśli stoisz, to się cofasz.

Przez ostatnie 100 lat kolejne generacje sprawiały wrażenie, że miały cele. Nazywały je, próbowały realizować. Ci pierwsi (ci, a nie te, bo jeszcze nie za bardzo kobiety dopuszczano do decydowania, co zresztą łączy wszystkie kolejne ekipy) budowali niepodległą i suwerenną, nowoczesniejszą, posklejaną z zaborczych wysp – całość. 1 września 1939 r. był morderczym i bezlitosnym sprawdzianem. Rok 1945 przyniósł obietnicę radykalnej przebudowy społecznej i modernizacji i choć rok 1989 sugerował, że trzeba zakończyć źle starzejący się zamysł, to powoli dociera do nas ogrom dokonanej wówczas zmiany i realnej przebudowy kraju, społeczeństwa, emancypacji tych, którym przez wcześniejsze stulecia przypisywano rolę niewolników, na służbie „lepiej” urodzonych, Kościoła, bogatych.

1989 r. nie mówił otwartym tekstem, czego chce, bo sam tego nie rozumiał, języka nie znał, oddał Polskę franczyzie zachodniego, marnego, neoliberalnego kapitalizmu. Bezrefleksyjnie, bez systemów bezpieczeństwa. Mimo rozpostartych wszędzie orłów i dudnienia dzwonów kościelnych tak naprawdę Polska została powierzona tej niezbyt chwalebnej cesze ludzkości, jaką jest niepomowana chciwość, nazwana dla niepoznaki przedsiębiorczością, kultem indywidualizmu, samowystarczalności i wyłącznie osobniczej sprawczości (naród kowali z ich smutnym, wykutym, ledwo wiążącym koniec z końcem losem). Przybyło dróg, to fakt, na które trzeba wjechać kupionymi gdzie indziej autami. Wyrżnięto w pień fabryki i zakłady przemysłowe. Zbudowano paralelną religię z bogiem własności prywatnej. Zdemolowano

edukację i służbę zdrowia. Obietnicę solidarności przekuto w politykę samorządzenia sobie i abdykację państwa ze swoich obowiązków.

Co przyszło w zamian? Państwo wciąż miało sporo. Zaczęto obdarowywać nieprzytomnie niektórych, jak choćby Kościół katolicki czy tych największych i najzamożniejszych, zgodnie ze światowym trendem (wariant bogacenia Kościoła to oczywiście polski wkład w bezhołowie XXI w.). W pewnym momencie ekipy rządzących, czy nawet cała klasa polityczna, miały przynajmniej jakieś cele: wejście do Unii Europejskiej, NATO. Nie oceniając ich – były to konkretne cele, z podlegającymi ocenie efektami. Poważny kłopot zaczął się potem. Polska prawica, zarządzająca od dwóch dekad Polską niepodzielną, wyprztykała się z pomysłów dalekosiężnych, zrezygnowała z idei i pracy na rzecz jasno zakreślonej przyszłości. Od lat w polskiej polityce przyszłość jakby została wyrugowana z planów, zapowiedzi i projektów. Idzie się od wyborów do wyborów, od wypłaty do wypłaty, coraz bardziej tylko dla swoich.

Od lat w polskiej polityce przyszłość jakby została wyrugowana z planów, zapowiedzi i projektów.

Świat stoi na rozdrożu, energetycznym, klimatycznym, gospodarczym. Polska leży w rowie, ale we własnym. Im bardziej nie ma przyszłości, tym bardziej biją tarabany historycznych mgławic. Im gorzej z finansowaniem nauki i im niższy poziom oświaty, tym więcej kasy na „pamięć narodową”. Im mniej na pielęgniarki, tym więcej na policję, która potrafi w osiem radiowozów jeździć godzinami za samochodem z gumową kaczką na masce. W dobie pandemii pielęgniarki, starzejąco-wymierająca grupa zawodowa, muszą zbierać demonstracjami o zauważenie i godne płace.

Po co taka Polska? Dla kogo? Na jak długo? Dlaczego taka żadna?

Ale o tej bezcelowości cicho. Propaganda miele swoje. W oparach modłów i zakłamania osuwamy się w byt niekonieczny a nepotyczny. Żeby choć ktoś to robił celowo... A to z naszych cnót narodowych: bezmyślności, krótkowzroczności i przedsiębiorczości. Ten projekt nie ma prawa bytu. Bo jest bez przyszłości.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Małgorzata Żuber-Zielicz

W związku z pandemią uczniowie przeszli na naukę zdalną, realizowaną dość często z mniejszą lub większą pomocą rodziny. Dla wielu rodziców bliższy kontakt z realiami polskiej edukacji stanowił traumatyzujące doświadczenie. Jednym z najbardziej typowych, a właściwie stereotypowych, wyjaśnień tego faktu było rzekome przeładowanie podstaw programowych. Pana-ceum miałyby być znacząca redukcja ich treści.

Problem jednak polega na tym, że obecne pokolenie uczniów zdobywa umiejętności i wiedzę w znacznie mniejszym zakresie niż ich dziadkowie i rodzice. Jako fizyk mogę z całą pewnością stwierdzić, że w latach 70., przynajmniej w przedmiotach ścisłych i przyrodniczych, zakres merytoryczny programu w ciągu 12 lat nauki był zdecydowanie szerszy niż obecnie – można to sprawdzić, są jeszcze programy, są podręczniki, są zbiory zadań. W matematyce kończyłam edukację licealną w klasie matematyczno-fizycznej (w powiatowym miasteczku, 100 km od stolicy) na całkach, równaniach różniczkowych i liczbach zespolonych – dziś tych zagadnień w polskiej szkole ze świecą

Z podstawy programowej dla szkół podstawowych zniknęła nawet symboliczna dla matematyki liczba pi.

szukać. Były także metody numeryczne i programowanie.

Przedmioty ścisłe i przyrodnicze uchodzą za najtrudniejsze i najbardziej pracochłonne w opanowaniu. Skoro więc ich zakres (również w szkole podstawowej) został tak zredukowany, to skąd stereotypowa opinia o nadmiarze treści w podstawach programowych? Szczególnie że w wieku technologii rola tych przedmiotów gwałtownie rośnie. Matematyka, bardziej niż pół wieku temu, jest językiem nauki. Na świecie uczniowie, którzy zamierzają studiować nauki ścisłe, informatyczne, przyrodnicze, techniczne, ekonomiczne i nie tylko (czyli ci, którzy u nas są w klasach mat.-fiz. liceów), w programie np. Międzynarodowej Matury (IB) w szkołach brytyjskich,

amerykańskich, australijskich, nowozelandzkich, japońskich, rosyjskich, w znacznym stopniu niemieckich, nie mówiąc już o chińskich czy indyjskich (!), wszystkie wymienione działy matematyki nadal mają, mają też sporo więcej (np. rachunek macierzowy czy teorię grup). Przy czym z polskiego, historii czy geografii nie wymagano pół wieku temu mniej niż dziś.

Podstawy pisane na chybcika

Problemy z aktualnymi podstawami programowymi w Polsce wynikają bowiem z zupełnie innych czynników niż zakres materiału.

Po pierwsze, od nieco ponad 20 lat („reformy” Handkego-Dzierzowskiej) powstają one na kolanie,

w szaleńczym tempie, by zdążyć podczas jednej parlamentarnej kadencji. Nie ma próbnych wdrożeń, dyskusji ani konsultacji choćby z nauczycielami, bo trzeba zdążyć przed kolejną „reformą”, a przecież muszą jeszcze powstać podręczniki. Pracują nad nimi zespoły dobrane i powołane *ad hoc* przez ministerialnych urzędników według ich widzimisię. Dominują w nich akademicy specjaliści od danej dyscypliny, najczęściej bez kontaktu ze szkolnymi realiami. Najbardziej zainteresowani są tym, by nie podpaść swojemu akademickiemu środowisku – to jego interesy (a czasem stereotypy) mogą tu zostać zaspokojone bądź naruszone. Na żadne próbnego wdrożenia czy to programów, czy podręczników nie ma czasu. Nie ma też *de facto* żadnego ośrodka, który by koordynował i nadzorował całościowo (!) to, co tworzą poszczególne ekipy przedmiotowe. Tak było również z „reformami” Hall i Zalewskiej.



Skutki braku takiego ośrodka są fatalne. W PRL narzekano na koordynację treści z poszczególnych przedmiotów, ale tak czy inaczej istniała. Na przykład na matematyce pojawiały się zagadnienia i umiejętności, które potem fizycy czy chemicy wykorzystywali na swoich lekcjach. Pożytek był obopólny – przyrodnicy mieli precyzyjne i opanowane narzędzia do tego, co chcieli opisać, a uczniowie zyskiwali dodatkową okazję do przećwiczenia treści matematycznych oraz praktycznego ich wykorzystania. Dziś z podstawy programowej dla szkół podstawowych zniknęła nawet symboliczna dla matematyki liczba pi, czyli związek obwodu i pola koła z jego promieniem. Podstawa przewidywała, że tych treści nie ma na egzaminie i mają być realizowane po nim, w czasie kiedy uczniowski (i nauczycielski) zapał gwałtownie maleje.

Skutek jest taki, że w jednym z najpopularniejszych obecnie podręczników do fizyki dla klasy I LO (po SP – poziom rozszerzony) naliczyłam ok. 20 „dodatków matematycznych”, w których bez związku z programem matematyki wprowadza się skrótowo i na chybcika różne narzędzia matematyczne niezbędne do równoległej realizacji odpowiednich zagadnień z podstawy programowej z fizyki. Od 20 lat mniej więcej *de facto* te same dwie osoby, niezależnie od aktualnie rządzącej opcji politycznej, na podstawie swojego widzimisię systematycznie eliminują z programów matematyki wszystko, co jest związane z praktycznymi zastosowaniami

formalnymi, które sami tworzą. Na tym tle, przynajmniej programowo, kontrowersyjna tzw. reforma Kuberskiego z lat 70. może służyć za wzorec dobrze przemyślanego, zorganizowanego i przygotowanego działania. Mimo że ostatecznie jej nie wdrożono, istnieją np. zawczasu przygotowane na jej potrzeby całym niezłym podręcznikami.

Liczą się tylko papiery

Drugim potężnym czynnikiem destrukcyjnym od czasów minister Hall jest konstrukcja i sposób egzekwowania podstawy programowej. Wymyślił je oderwany od szkolnej rzeczywistości profesor pedagogiki

W przeciwieństwie do krajów rozwiniętych u nas nie istnieją stałe procedury zbierania od nauczycieli uwag dotyczących programów.

(kiedyś z UW) Krzysztof Konarzewski i przekonał do nich urzędników MEN z panią minister na czele. Tak się składa, że byłam przy prezentacji tej koncepcji przez prof. Konarzewskiego w Instytucie Spraw Publicznych w roku 2006. Otóż pan profesor doszedł do wniosku, że podstawa programowa jest wysokiej rangi aktem administracyjnym (rozporządzeniem MEN), w związku z czym należy się jej odpowiedni szacunek i drobiazgowość formalnego egzekwowania od nauczycieli i szkół przez kuratorskich urzędników. Jednocześnie postanowiono skrzyżować podstawy programowe z egzaminacyjnymi sylabusami. Nie jest to typowa

– na podstawie wpisów w dzienniku – prawie całkowicie pozbawiały nauczyciela i szkołę autonomii i elastyczności niezbędnej do efektywnej edukacji. Podstawa musiała być rozpisana na ciąg tematów lekcyjnych i tak, temat po temacie, realizowana. Tymczasem tam, gdzie chodzi głównie o wykształcenie i rozwój umiejętności uczniów oraz w miarę wszechstronne opanowanie zagadnień, tak się nie da.

Skutki i odbiór takiej konstrukcji podstawy programowej mogłyby być mniej fatalne, gdyby jej realizację kontrolowali przedmiotowi wizytatorzy. Im ewentualnie w przypadku wątpliwości nauczyciel byłby w stanie wyjaśnić, co naprawdę kryje się

pod takim czy innym wpisem tematu w dzienniku. Niestety, przy okazji towarzyszącej „reformie” Handkego-Dzierżgowskiej reformy administracyjnej i tworzeniu 16 kuratoriów z 49, zniknęli z kuratoriów wizytatorzy przedmiotowi. Szkoły i nauczyciele są kontrolowani przez urzędników, zwanych wizytatorami/ewaluatorami, o różnym wykształceniu, którzy zwykle kiedyś, dawno temu, byli nauczycielami jakiegoś przedmiotu. W związku z tym historyk bądź polonista kontroluje matematyka, fizyka lub chemika i (choć już rzadziej) *vice versa*. Nic dziwnego, że są oni w stanie kontrolować wyłącznie formalne zapisy i ich zgodność m.in. z doświadczeniami drobiazgowymi podstawami programowymi. Co więcej – szkoła czy nauczyciel nie mogą się powoływać nawet na znakomite wyniki egzaminów jako dowód odpowiedniej realizacji podstawy programowej! Oficjalne instrukcje wiceminister Joanny Berdzik dla kontrolujących szkoły ewaluatorów mówią wprost, że efekty dla oceny szkoły/nauczyciela nie mają żadnego znaczenia – liczy się wyłącznie strona formalna. Skutek jest taki, że np. na zorganizowanej za czasów minister Kluzik-Rostkowskiej przez „Gazetę Wyborczą” dyskusji o szkolnej matematyce przedstawiciele resortowego (!) Instytutu Badań Edukacyjnych radzili obecnym tam nauczycielom, by

Szkoły i nauczyciele są kontrolowani przez urzędników, zwanych wizytatorami/ewaluatorami, o różnym wykształceniu.

królowej nauk w innych dziedzinach. Na dodatek, w przeciwieństwie do krajów rozwiniętych, nie istnieją u nas stałe procedury zbierania od nauczycieli, np. w okresie pięcioletnim, uwag dotyczących programów, by po tym okresie dokonać niezbędnych modyfikacji.

Oświatowa biurokracja w ministerstwie i kuratoriach znacznie przekracza słynną granicę Parkinsona 1000 urzędników, powyżej której zajmują się oni głównie problemami

w świecie praktyka, w dodatku polscy uczniowie nie zdają egzaminów z prawie wszystkich przedmiotów, których się uczą. W efekcie, kiedy wprowadzano te podstawy programowe, prof. Konarzewski wraz z odpowiedzialnym za nie podsekretarzem stanu prof. Zbigniewem Marciniakiem stworzyli coś w rodzaju programowego potwora Frankenstein. Drobiazgowo szczegółowe dokumenty, które miały być egzekwowane wyłącznie biurokratycznie

► co innego robili na lekcjach, a co innego wpisywali do dzienników. Czyli *de facto* podzegli ich do popełnienia poważnego przestępstwa urzędniczego – nauczyciel jest formalnie traktowany jako urzędnik. Taka konstrukcja i sposób egzekwowania podstaw programowych zostały w kolejnej „reformie”, tym razem minister Zalewskiej, bez zmian przejęte przez PiS.

Problem więc tkwi nie w merytorycznym zakresie podstaw programowych, ale w sposobie ich powstawania w szaleńczym tempie, na tapu-capu, w kolejnych „reformach”

edukacji oraz w biurokratycznej konstrukcji i sposobie egzekwowania.

Uniformizacja do granic absurdu

Istnieją jeszcze dwa inne czynniki powodujące, że uczniowie mają poczucie zużywania mnóstwa czasu na prace domowe i generalnie szkolną

Instrukcje wiceminister Berdzik mówią wprost, że efekty dla oceny szkoły/nauczyciela nie mają żadnego znaczenia – liczy się strona formalna.

naukę. Po pierwsze, dziś większość uczniów próbuje robić kilka rzeczy naraz i być w kilku miejscach naraz. Wielu, kiedy wydaje im się, że siedzą nad pracą domową, jednocześnie przegląda internet czy prowadzi dialogi na Facebooku itd. Nie sprzyja to koncentracji i praca nad zadaniem domowym dłuży się niemiłosiernie.

Sama mam tu, choć dość niewinne, doświadczenie z uczniowskiej młodości. Gdy chodziłam do siódmej czy ósmej klasy, zaczęłam słuchać radiowej audycji muzycznej „Popołudnie z młodością”. Nadawano ją w trakcie odrabiania przeze mnie lekcji, więc i słuchałam, i odrabiałam. Skutek był taki, że średni czas odrabiania z półtorej godziny podskoczył do dwóch, mimo że tylko słuchałam muzyki i jej zapowiedzi. Również badania sugerujące wzrost obciążenia uczniów pracami domowymi mają taką subiektywną genezę. Nikt bowiem nie bada np. liczby zadań do rozwiązania w domu (ani objętości ich rozwiązań – zadanie zadaniu nierówne) czy objętości tekstu pisanego np. z języka polskiego. Pytania ankietowe dotyczą czasu, jaki zajmują uczniowi prace domowe w jego i rodziców subiektywnej ocenie.

Po drugie, w zuniformizowanej do granic absurdu polskiej szkole uczeń jest praktycznie pozbawiony możliwości wyboru przedmiotów i poziomu, na jakim uczy się ich oraz zdaje egzaminy. To całkowicie sprzeczne z praktyką w krajach rozwiniętych i nie tylko. Dla przykładu w programie Międzynarodowej Matury można uczyć się matematyki i zdawać z niej maturę aż na pięciu poziomach, w polskim liceum zaledwie na dwóch. Uczniowie zaś są różni – mają różne potencjały, zainteresowania i plany na przyszłość.

Małgorzata Żuber-Zielicz jest nauczycielką, przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy w latach 2006–2018, była dyrektor II LO im. Stefana Batoryego oraz wicedyrektor XXXIII LO im. Mikołaja Kopernika w Warszawie; szkolną koordynator programu rozwoju osobistego i społecznego CAS w programie Międzynarodowej Matury (IB)

HARRISON FORD

ZEW KRWI

PREMIERA NA DVD!

© 2020 Twentieth Century Fox Film Corporation. © 2020 Twentieth Century Fox Home Entertainment LLC.

Dostępne w sklepach: Media Markt

PARTNERZY MEDIALNI

WP

W TORNAJCI KULTURY

WISŁO - PODCIECI

POCIECI

FILMWEB

P



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Nie ma dnia, abym nie napotkał dobrych rad Billa Gatesa. Jawi się on wręcz jako zbawca ludzkości. Wie, jak walczyć z chorobami na świecie, katastrofą klimatyczną i światowymi nierównościami. Zaiste mędrzec to i prorok. Już widzę te miliony ludzi wsłuchanych w każde jego słowo. Wszak dla wielu każdy miliarder to z definicji Ktoś-Kogoś-Zdania-Należy-Wysłuchać-z-Nabożną-Czcią, ponieważ wie, co mówi, skoro wiedział, jak zdobyć owe miliardy. Tak przecież słuchano też głosu Trumpa w Ameryce. I choć Gates nie mówi bzdur jak Trump, to jego prestiż publiczny wpisuje się w ten sam mechanizm obdarzania kogoś nadzwyczaj bogatego prawem do pouczenia innych, przede wszystkim dlatego, że jest bogaty. Dziś podobnie wypowiadają się Elon Musk czy Peter Thiel (miliarder z Doliny Krzemowej, twórca PayPal), a i Mark Zuckerberg, twórca Facebooka, nie stroni od dawania dobrych

i tak było projektowane, a mianowicie internet, zostało sprywatyzowane i skomercjalizowane. Dokonało się coś, co dzisiaj w literaturze przedmiotu określa się jako drugie grodzenie, nawiązując do pierwszego grodzenia, które miało miejsce w Anglii w XVIII w. Polegało ono na tym, że sprywatyzowano i podzielono wspólne dotąd pastwiska, skazując ich użytkowników na nędzę i skłaniając ich do emigracji ze wsi do miast (tam tworzyli oni zaczątki klasy robotniczej). Podobnie Gates „ogrodził” i sprywatyzował sieć, znajdując sposób na wyciągnięcie maksimum zysku z ludzkiej potrzeby komunikacji i poszukiwania informacji. Z ogromną determinacją dążył do tego, aby zmonopolizować jej obsługę, wyeliminować wszystkich konkurentów i uzależnić od siebie użytkowników. I to mu się udało. A za nim poszli inni, komercjalizując i monopolizując różne jej wymiary.

Bill Gates jako zbawca ludzkości?

rad. Z samej zaś Doliny Krzemowej płyną głosy wskazujące konieczność zastąpienia władzy nieudolnych polityków władzą cyfrowych baronów, sprawnych menedżerów, ludzi, którzy wiedzą, jak zarządza się wielkimi korporacjami, zdolnych zatem, we własnym mniemaniu, i do rządzenia państwem (a raczej jego resztkami, bo są to z reguły libertarianie, marzący o ograniczeniu go do minimum lub wręcz zastąpieniu anachokapitalizmem). Głosy te są *de facto* wyrazem nieufności wobec demokracji, którą z powodzeniem może zastąpić technokracja. Także w polskim dyskursie publicznym nie brakowało i nie brakuje tendencji do szukania u miliarderów porad na temat dobrego życia i dobrego społeczeństwa. A nasi politycy nie stronili od wsłuchiwania się w ich głosy, po to by usprawnić swoje rządzenie.

Nie twierdząc wcale, że wszystko to jest pozbawione sensu, czasami jednak i miliarderzy mają coś ciekawego do powiedzenia, nie mówiąc już o tym, że jak każdy obywatel mają prawo do zabierania głosu w sprawach publicznych. Twierdząc jedynie, że w poszukiwaniu autorytetów powinniśmy być bardziej ostrożni i wybredni. To, że dane tezy są wyrażane przez kogoś, kto jest bardzo bogaty, w dodatku nader pewny swego, nie oznacza jeszcze, że są trafne. Zrobienie dużych pieniędzy nie jest wystarczającym wskaźnikiem mądrości, o czym przekonuje wspaniałe literatura światowa z „Ziemią obiecaną” Władysława Reymonta i „Wielkim Gatsbym” Francisca Scotta Fitzgeralda na czele. A tym bardziej nie jest wskaźnikiem licznych cnót moralnych, które bogaczom czasami się przypisuje, albo które sami sobie przypisują.

I w ten sposób wracam do Billa Gatesa. To kolejny w historii Ameryki przykład kogoś, kto najpierw działał w biznesie z całkowitą bezwzględnością, a następnie zaczął ubierać się w szatki Wielkiego Filantropa i Zbawiciela Ludzkości. To za jego bowiem sprawą coś, co mogło stanowić dobro wspólne

W ten sposób to, co z założenia miało służyć wszystkim jako dobro wspólne, stało się własnością kilku ludzi, którzy sprawują dziś faktyczną władzę nad światem, ponieważ ten rządzi siecią, ten rządzi światem. Naiwni udoskonalacze tego wojskowego wynalazku, którzy marzyli o pozapaństwowej arenie wymiany myśli, domenie wolności twórczej, zanurzeni głęboko w kontrkulturowej atmosferze San Francisco, okazali się frajerami pracującymi na rzecz przyszłego sukcesu komercyjnego Gatesa i innych baronów internetu. Niektórzy dali się skorumpować i stali milionerami w kłapkach i T-shirtach, ławo ich spotkać w Palo Alto, gdy podjeżdżają swoimi maseratami pod McDonalda, inni wycofali się z internetowego świata, rozczarowani jego komercjalizacją. A teraz Bill Gates stara się zrobić wrażenie miłego starszego pana zaprzątniętego przyśrołścią ludzkości. To wspaniale, że przeznaczył część wielkiego majątku na szczytne cele, np. walkę z malarią w Afryce, ale model szlachetnego filantropizmu następującego po okresie bezwzględnej walki o dominację oraz szeroko stosowanego wyzysku nie podoba mi się. Zdaję sobie sprawę, że jest on głęboko wpisany w tradycję kultury amerykańskiej, z fundowaniem przez najbardziej agresywnych biznesowo baronów przemysłu (Vanderbilta, Rockefellera, Stanforda, Carnegiego) uniwersytetów, bibliotek, szpitali i stypendiów, ale w moim przekonaniu pokazuje to jedynie, że coś z ową kulturą jest nie tak. Nie sądzę, aby suma zasług amerykańskich filantropów stanowiła wystarczającą przeciwwagę dla ich żądzy zysku, chciwości i bezwzględności. To znakomicie, że część z nich czuje potrzebę podzielenia się bogactwem z innymi, ale lepiej niech państwo zadba o swoich obywateli, o owe biblioteki i szpitale, a kapitałści bardziej zatroszczą się o to, by swoimi działaniami nie niszczyć innych ludzi. Filantropia na starość nie zmazuje grzechów młodości, a bogactwo nie daje prawa do pouczenia innych, co jest dobre i złe.

Witold Bereś

Zaraza. Lekcja nieprzerobiona

Wydawnictwo Austeria

Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2020



„To świństwo wróci, bo tkwi ono w naszych duszach – pisze autor. – To my swoją pazernością, łapczywością i chciwością – sami je prowokujemy. (...) Nie ciesz się zatem. Zaraza wróci. Jeszcze większa, jeszcze potężniejsza, jeszcze bardziej ostateczna”.

Marek Beylin

Klimat, lewica, siostrzeństwo. Rewolucje trwają (kontrrewolucje też)

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

Warszawa 2021



Jesteśmy świadkami narastania wielkiego społecznego gniewu. Jak możemy go przekształcić we wspólne działanie, zwłaszcza dziś, w społeczeństwach zduszonych pandemią? Czy rozczarowanie współczesną formą demokracji liberalnej da się zmienić w pragnienie jej dogłębnej zmiany? Bohaterkami i bohaterami tej książki są: rewolucja francuska, duet Siksa, patologie liberalnych demokracji i słabości populizmów oraz czarny feminizm i projekty ratowania klimatu.

Janusz Marek Jastrzębski

Pieć niejedno ma imię. Rzecz o barbarii, fanatyzmie i hipokryzji

Wydawnictwo Cognata Vocabula 2020



Nie jest to „grzeczna” powieść zapewniająca relaks. Sprawy w niej opisane przedstawiam takimi, jakie są w rzeczywistości – pisze we wstępie autor, urodzony w 1954 r. absolwent prawa, dziennikarz i literat. – Podłości nie można tonować. Trzeba je nazywać po imieniu. Książka powstała jednak nie po to, by epatować przemocą i wynaturzeniami, ale w proteście przeciwko nim. Jest też ostrzeżeniem, do czego mogą prowadzić fanatyzm i nietolerancja.



Powrót analfabetyzmu

Jako uczeń ósmej klasy mogę zapewnić, że szkoła nijak nie uczy ani zachowań społecznych, ani mierzenia się z realnymi problemami. Ilość wiedzy, jaką uczeń musi pochłaniać na co dzień, jest nierealna. Na biologii uczymy się o roślinach zamiast o anatomii człowieka. Wychoowanie seksualne nie istnieje. Informatyka i jej podręczniki są zacofane o minimum pięć lat. Jedyne, co jest przydatne i uczy tego w szkole, to matematyka, angielski i polski. A najgorsze jest to, że nadal są ludzie, którzy myślą, że mamy świetną edukację i to winą uczniów, że nic nie robią. Praca domowa potrafi nam zepsuć cały dzień, zwłaszcza że jest zadawana z kilku przedmiotów dziennie.

Pod względem chłonięcia wiedzy nie czuję różnicy między nauczaniem zdalnym a stacjonarnym. Według mnie ci, którzy chcą się uczyć i dostać do wybranej przez siebie szkoły, poradzą sobie w każdej formie nauki. Sam w zdalnym nauczaniu widzę więcej plusów niż minusów. Lubię to, że nie trzeba wstawać wcześniej rano i ubierać się, tylko można prosto z łóżka wejść na lekcję. Jako osoba, która ściśle wiąże swoją przyszłość z informatyką, nie jest mi ciężko pracować długie godziny przed komputerem, a nawet cieszy mnie to. Jeśli chodzi o zdrowie psychiczne uczniów, to zgadzam się, że dużo lepszym wyborem byłaby nauka stacjonarna. Stacjonarnie ma się ciągły kontakt z rówieśnikami, a siedząc przy komputerze, czasem zaczynam sam gadać do siebie, bo brakuje mi ludzi. Niestety, nieważne, z jakiej formy nauki korzystamy, bo i tak według mnie polski system nauczania boli.

Krystian Franczak

Nie zauważyłam, żeby moje dzieci przez naukę zdalną stały się analfabetami. Lekcje online odbywały się każdego dnia, zgodnie z planem, były sprawdziany, prace domowe i różne projekty. Ja jako nauczycielka w szkole podstawowej też codziennie prowadziłam lekcje online i wśród swoich uczniów nie widzę wielkich braków w edukacji. Na lekcjach miałam wzorową frekwencję i dużą aktywność. Zgadzam się, że nauka stacjonarna jest z wielu względów bez porównania korzystniejsza dla wszystkich

i bardzo tęskniłam za szkołą, ale jest, jak jest i trzeba wypełniać swoje obowiązki najlepiej, jak się da, nie nakręcać się wzajemnie, optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Małgosia Siwek



A mnie się wydaje, że pandemia i zdalne nauczanie po prostu przyspieszyły pewien proces. Odkąd większość nauczania (już niemal od przedszkola) odbywa się na zasadzie testów, wypełniania luk, pisanie komputerowego, w dobie e-booków, zniwelowania znaczenia rozwoju manualnego dziecka, powszechnej i natychmiastowej dostępności do informacji (niekoniecznie zweryfikowanych) – zanika motywacja do jakiegokolwiek wysiłku, by coś osiągnąć i by miało to dobrą jakość.

Agata Kutakowska

Jeszcze nauczyć czytać, składać litery, to nie problem, ale nauczyć czytać ze zrozumieniem... W Polsce mało ludzi czyta długie teksty i słychać to na ulicy. Często dorośli mają problem z wyrażeniem się, mają mały zasób słownictwa, myślą rodzaje i przypadki. Zawsze myślę w takiej sytuacji, że oparliśmy się rusyfikacji, germanizacji, w czasie okupacji ludzie ginęli za możliwość nauczania ojczystego języka, tylko po to, aby teraz nie korzystać z tego przywileju i dziedzictwa. W domach rodzinnych nie ma kultury czytania i dlatego rosną nam analfabeci, a dorośli to często wtórni analfabeci.

Marta Kurzyńska

Już przed pandemią i tym zdalnym cyrklem w szkołach nie było za wesoło. Prawie 40% Polaków nie rozumie tego, co czyta, a kolejne 30% rozumie w niewielkim stopniu. Co 10. absolwent szkoły podstawowej nie potrafi czytać. Aż 10 mln Polaków (ok. 25%) nie ma w domu ani jednej książki. Analfabetą funkcjonalnym jest co szósty magister w Polsce. 6 mln Polaków znajduje się poza kulturą pisma, czyli nie przeczytało NIC, nawet artykułu w brukowcu. 40% Polaków ma problemy z czytaniem rozkładów jazdy bądź map pogodowych. Te dane są tak niewiarygodne, że aż zabawne. A jednak napawają grozą.

Ewa Deneka

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Głowa gołębia

Nie ma wątpliwości, sytuacja była bardzo trudna i niezręczna. Wymagała od opozycji braterskiej solidarności oraz przebiegłości. Zabrakło jednego i drugiego. Myślę o głosowaniu w Sejmie za europejskim Funduszem Odbudowy. Jesteśmy przekonani, że PiS niszczy Polskę, zatrzuwa naszą przeszłość, teraźniejszość i zabiera nam przyszłość. Dlatego nie wybaczymy opozycji wiarołomstwa (Lewica), wrogości wobec siebie i kłótni, na dodatek w sytuacji, kiedy Zjednoczona Prawica zaczyna być podzielona. Mamy kolejny dowód na to, jak politycy oderwali się od nas, swoich wyborców. Nie wiem, na ile Lewica zdradziła (Czarzasty jako koalicjant PiS, co za figura!), a na ile Platforma potknęła się o własne nogi. Kiedy było oczywiste, że PiS będzie miało większość w Sejmie, PO powinna głosować za funduszem, a nie wstrzymywać się od głosu. Wielu wyborców nie rozumie tej decyzji. Naiwna wydaje się wiara, że gdyby PiS przegrało głosowanie, Zjednoczona Prawica by się rozpadła. Politycy Platformy zachowują się teraz jak obrażone dzieci. Tusk jednak wyjąłowił tę partię. Dlatego Hołownia, który stał z boku, zyskuje w sondażach. Pisowska propaganda już trąbi, że opozycja była przeciwna funduszowi, który został przez PiS wynegocjowany, a te wielkie pieniądze to zasługa mądrości i przebiegłości umiowanego przywódcy.

W wiejskim drewnianym kościółku z barokowym ołtarzem komunii trójki dzieci. Na drzwiach wisi kartka, że wewnątrz świątyni może być tylko 15 osób – było kilka razy więcej. Ale przecież nikogo to nie dziwi, księdza też nie. Jestem coraz bardziej ateistą i te wszystkie obrządki i modlitwy trochę mnie wzruszają, a trochę śmieszą. Próbuję sobie przypomnieć swoją pierwszą komunię w kościele Zmartwychwstańców na Chełmskiej, ale pamiętam tylko pierwszą spowiedź, grzechy wypisane na kartce, ucho księdza za kratką. – Mówiłem cholera – zwieram się. – Ile razy? – pyta ksiądz. Mam problem, bo nie pamiętam, a jak się pomyłę, to może być grzech śmiertelny. U mnie w domu nie było chyba potem żadnego przyjęcia, prezentów też nie pamiętam. A tu była uczta. Dzieci otwierają koperty i skwapliwie liczą pieniądze. Dostały oczywiście w prezencie urządzenia elektroniczne, ale już planują dokupienie nowych. Jest wiejska część rodziny i część miejska. Artur jest fizykiem atmosfery, kiedy go pytam, co słychać u niego w pracy,

odpowiada: – Do nas jeszcze nie zaczęli się dobierać, ale do instytucji mojej mamy już się dobrali.

Mówimy o tym, że PiS jak rak ma przerzuty do kolejnych instytucji. Dziadkowie dzieci to pisowcy, ale przestali oglądać „Wiadomości”. Nie wierzą w pandemię, nie będą się szczepić, a tam ciągle o zarazie. Ona uważa, że wszyscy jesteście zagrożeni, bo tajemne siły chcą przejąć władzę nad światem. Naprawdę jest w strachu. A przecież nie jest bezrozumna, jest miła, była bibliotekarką, jednak lęk okazuje się większy niż logika, niż zdrowy rozsądek. Ludzie, których przerosła nowoczesność. To elektorat PiS, nawet jeśli są już nim zmęczeni, będą na nie głosować.

Z rzeczy optymistycznych – wiele rozmów o panelach słonecznych, czy warto je zakładać. Niektórzy już podjęli decyzję na tak. Polska szybko się „panelizuje”, a to ważne. Kiedy niedawno wymieniałem opony u wulkanizatora, zakładano mu właśnie na dachu panele, powiedział, że koszty zwrócą się dopiero za 10 lat, ale robi to bardziej dla naszej planety. To myślenie może nie jest przeważające, ale coraz więcej ludzi ma świadomość, że ludzkość jest zagrożona.

PiS jak rak ma przerzuty do kolejnych instytucji.

W Muzeum Narodowym na wystawie malarstwa holenderskiego z XVII w., kolekcja towarzystwa ubezpieczeniowego Hestia. Niezwykle, że jest to polska firma. Jaka ulga móc pójść do muzeum.

Nie mają oczywiście wielkich mistrzów, jest wiele pięknych obrazów, a trochę słabszych, ale czas wszystkim dodaje wagi. To niezwykle, jak palec boży dotyka w różnych okresach jakichś miejsc na mapie świata. Holandia – wiek XVII, Włochy – renesans, Francja – epoka impresjonistów. A nas nad Wisłą Bóg dotykał tylko czasami najmniejszym paluszkami, chociaż tyle się do niego modlimy.

Na progu domu stoi gołąb, taki skulony w sobie, chorośliwie napuszony, na nogach ma obrączki. Ciekawe, skąd u takiego pospolitego gołębia obrączki. Nic się nie boi, pewnie bardzo stary, więc chory na starość i już mu wszystko jedno. Jest skazany, przecież kotka Matylda, bezdomna, ale u nas się stołująca, zaraz go załatwi. Po kilku godzinach ujrzelismy na pobliskiej gałęzi wronę z głową gołębia w dziobie. Ktoś może powiedzieć: obecny symbol Polski.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Kamera zawsze leżała w domu

Ojciec mimo swojego statusu był normalnym domownikiem. Oddawał się zwyczajnym rozrywkom

Rozmawia Mateusz Demski

Jak pan wspomina dzieciństwo?

– Było bardzo szczęśliwe i normalne. Myślę, że mały Jan był dzieckiem jak każde inne – całe dni spędzało się na podwórku, bawiłem się z kolegami, świat wydawał się beztroski i radosny. A jednak w jakiś sposób ta atmosfera lat 80., takiego podskórniego lęku społecznego, przenikała przez mury dzieciństwa. Widocznie moi rodzice przynosili ten niepokój do domu, a ja instynktownie te emocje chłonałem, nie rozumiejąc za wiele z realiów politycznych. Takie jest więc to moje wspomnienie – z jednej strony był to cudowny czas, z drugiej, paradoksalnie, bardzo mroczny. **Mówi pan, że rodzice wracali do domu z pewnymi emocjami. A jak to było z ich pracą? Czy życie w domu Holoubków otoczone było aurą artysty?**

– Dziennikarze ciągle mnie o to pytają, a ja w kółko powtarzam: to był zwykły dom. Zwykle śniadanie, obiad, kolacja. Nie panowała tam atmosfera świątyni sztuki, rodzice uprawiali swój zawód raczej poza domem. Niekiedy oczywiście musieli się przygotowywać do ról. Nie paraliżowało to jednak życia codziennego, dom zostawiali sobie jako rodzaj enklawy. A sam ojciec, mimo swojego statusu, był zwykłym domownikiem – uwielbiał śledzić w telewizji wszelkie zawody sportowe, z piłką nożną na czele, stawiać pasjansa, rozwiązywać krzyżówki. Oddawał się zwyczajnym rozrywkom, które ma każdy z nas. Nie roztaczał wokół siebie aury wielkiego artysty, nie uważał, by aktorstwo czyniło go kimś lepszym. Jak każdy ojciec odbierał mnie ze szkoły,

JAN HOLOUBEK

– reżyser, operator i scenarzysta



czasem coś ugotował, pomagał w lekcjach. Można o tym poczytać w książce Zofii Turowskiej „Gustaw” (Marginesy).

I naprawdę nie zachęcał syna do udziału w tym jego artystycznym świecie?

– Rodzice nie przenosili na mnie swoich ambicji. Ojciec mawiał, że nie warto robić niczego za wszelką cenę. Ale nigdy też nie miałem wątpliwości, że właśnie tym będę chciał kiedyś się zająć. Trudno, żeby było inaczej. Kamera zawsze leżała w domu. Taką pierwszą mieliśmy na negatyw 8 mm, jako mały chłopiec nie umiałem oczywiście jej obsługiwać, ale bardzo często bawiłem się nią w ten sposób, że oglądałem przez

nią to, co mnie otacza. Wyobrażałem sobie, że kręcę film. Potem rodzice kupili kamerę wideo, którą można było wreszcie coś nagrać. I faktycznie coś takiego się we mnie wtedy uwolniło, że przez kilka lat kręciłem wszystko, co działo się dookoła – imprezy rodzinne, wyjazdy, krótkie metraże fabularne: od horrorów, poprzez kryminały, aż po komedie. To była najczystsza radość. Nie wiem, czy lepsza zabawa mi się w życiu przytrafiła.

Przekuł pan to w coś więcej niż zabawę.

– Im byłem starszy, tym bardziej chciałem tę pasję rozwijać. Przez cztery lata liceum uczęszczałem na kółko filmowe, które prowadził

Jan Holoubek – (ur. 1978) absolwent Wydziału Operatorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Współpracował jako autor zdjęć i operator kamery przy licznych filmach oraz serialach. W 2018 r. na platformie Showmax premierę miał serial „Rojst”, którego jest reżyserem i współscenarzystą. „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” (2020) to jego pełnometrażowy debiut fabularny. Film otrzymał nagrodę dla najlepszego debiutu podczas 45. FPFF w Gdyni oraz 15 nominacji do Polskich Nagród Filmowych Orły. Obecnie pracuje nad kontynuacją serialu „Rojst” dla Netfliksa.

reżyser Józef Gębski. Przygotowywał mnie do egzaminów do szkoły, pomógł przy teczkach, był zarazem pierwszą osobą, która tak silnie ukierunkowała moją wrażliwość na kino inne niż rozrywkowe, którym byłem nasiąknięty. Tak prawdę mówiąc, w domu nie przeszedłem szkolenia z kina artystycznego, w moim wychowaniu nigdy tego nie było. Rodzice nigdy nie sadzali mnie przed telewizorem i nie kazali oglądać Antonioniego. Zostawili tę sprawę samą sobie.

– Bywalcem nie był. Wydaje mi się, że Tadeusz mógł być u nas zaledwie kilka razy. Ale z ojcem spotykali się codziennie – najpierw w kawiarni, potem na obiedzie. Oni naprawdę byli wielkimi przyjaciółmi. Miałem to szczęście, że znałem Tadeusza od dziecka, ale dopiero ten film pozwolił mi poznać go bliżej i zostać dopuszczonym do dojrzałej z nim rozmowy. Po śmierci taty Tadeusz chciał, żebym zrobił zdjęcia do filmu o nim „Co ja tu robię?”, który z kolei

dla mnie człowiek. Uspokoił go i powiedzieli: „Jest w porządku”. Wtedy ojciec nabrał pewności. Mam wrażenie, że musiał usłyszeć to od kogoś takiego – nie ode mnie, nie od mamy, tylko od kogoś z zewnątrz.

Po dokumencie o ojcu wrócił pan na plan jako reżyser kilka lat później w mockumencie „Pocztówki z Republiki Absurdu”. Ten film chyba też zawiera osobistą opowieść – niejako ożywia pan w nim realia PRL-owskie. Czy pana, jako dziecko wybitnych artystów, ta rzeczywistość w jakiś sposób omijała?

– Nie sądzę. Pamiętajmy, że szczytem luksusu, jaki mógł osiągnąć wtedy mój ojciec, jeden z czołowych aktorów PRL, był samochód marki Łada lub Polonez. U nas może było to coś, ale wystarczyło wyjechać za zachodnią granicę, aby różnica stała się widoczna. Pamiętam naszą podróż do Austrii pod koniec lat 80. – jechaliśmy polonezem autostradą, w bagażniku mieliśmy kanister benzyny, żeby nie musieć tankować na Zachodzie. Taką to była rzeczywistość. Aczkolwiek uważam za szczęście to, że pierwszymi dziesięcioma latami życia zahaczyłem o komunę. Dzięki temu doceniłem, co stało się po 1989 r. A już na pewno rozumiałem to dużo lepiej niż pokolenia urodzone później. Zresztą z myślą o nich powstały „Pocztówki...”.

To był zwykły dom. Zwykłe śniadanie, obiad, kolacja. Nie panowała tam atmosfera świątyni sztuki.

Nie było więc presji ani oczekiwań z ich strony, ale ze strony środowiska – z uwagi na nazwisko – pewnie już tak? Ważnym dla pana krokiem był film „Słońce i cień”. Tak się złożyło, że na początku kariery został pan reżyserem własnego ojca.

– Ten film przyszedł do mnie w formie propozycji z TVP. W pierwszym odruchu odmówiłem, sądząc, że nie jestem przygotowany intelektualnie na takie wyzwanie. Zrobić film o Gustawie Holoubku, będąc do tego jego synem, wydało mi się zbyt ryzykowne. Ale w końcu postanowiłem, że spróbuję się z tym zmierzyć, kręcąc film nie tyle o wielkim artyście, ikonie polskiego teatru i kina, ile przede wszystkim o moim ojcu, jakim go widzę. O człowieku, którego znałem całe życie, który teraz powoli odchodzi... Chciałem za sprawą tego filmu odbyć z nim rozmowę o tym, co jest dla niego najważniejsze, kierując się ciekawością syna. Na ekranie partnerem ojca, w większości milczącym, jest jego wielki przyjaciel Tadeusz Konwicki. Ale zdjęcia na planie poprzedzone były naszymi intymnymi rozmowami, które we dwóch odbyliśmy w domu. W tym sensie odbieram ten film jako moje spotkanie z ojcem – pierwszy raz miałem okazję poruszyć z nim kwestie najważniejsze, podstawowe; zapytać o miłość, przyjaźń czy śmierć. Tego ostatniego słowa nie słyszałem nigdy wcześniej w jego ustach.

O ile mi wiadomo, pana ojciec i Tadeusz Konwicki zaprzyjaźnieni byli od co najmniej 40 lat. Konwicki był stałym bywalcem w waszym domu?

wyreżyserowali Janusz Anderman i Kamila Drecka. Dla mnie to był ważny człowiek – mądry i dobry, o niezwykłej kulturze, poczuciu humoru i inteligencji, którego na pewno w jakiś sposób kochałem.

Jacek Wakar napisał kiedyś, że ma się wrażenie, jakby prowadzona w filmie półgłosem, bez wielkich słów rozmowa była intelektualnym i artystycznym testamentem pana ojca. Jaki stosunek on sam miał do tego filmu?

– Ojciec niepewnie przystał na ten pomysł, dlatego że całe życie lękał się ekshibicjonizmu, unikał go jak ognia. Twierdził, że nie należy

Jak każdy ojciec odbierał mnie ze szkoły, czasem coś ugotował, pomagał w lekcjach.

publicznie się otwierać, obnażać osobistych spraw i uczuć. I nie chodzi tu o kontakt z mediami, ale o samo podejście do sztuki. Wyznawał zasadę, że spektakl, grana postać są czymś oddzielnym od niego. Uważał, że schodząc ze sceny, trzeba wracać do siebie, do życia, a wchodząc na nią, zostawiać to życie za sobą. Nie chodzi o odcinanie się od swoich doświadczeń. Nie da się w końcu grać bez własnego bagażu pewnych spraw, przeżyć i swojego stosunku do postaci. Ojciec miał chyba na myśli to, że nie wolno grać prywatnymi emocjami na zewnątrz, na pokaz. W każdym razie kiedy obejrzał „Słońce i cień”, był lekko przerażony, ale razem z nami byli Tadeusz i Edward Kłosiński, również niezwykle ważny

To film niezwykle przewrotny – jesteśmy w roku 2014, a Polska pozostaje krajem komunistycznym. Nad centrum Warszawy wznoszą się dwa Pałace Kultury, młodzież korzysta z chińskiego odpowiednika Facebooka, a telefony komórkowe odbiera z przydziału. Skąd taka wizja rzeczywistości?

– Scenariusz napisałem na konkurs ogłoszony przez Telewizję Polską z okazji 20. rocznicy obrad Okrągłego Stołu. Film powstał pięć lat później. Wymyśliłem sobie fantazję, spekulację, alternatywną wersję dziejów, która pozwoli współczesną młodzież wciągnąć w tamten świat. Ale nie chodziło o to, żeby przenieść odbiorców w lata 80., tylko odwrotnie – czasy PRL przenieść w ich

► rzeczywistość. To faktycznie dość jaskrawa i nierealna wizja, bo przecież kraje komunistyczne, np. Chiny czy Wietnam, wcale tak dzisiaj nie wyglądają. Chodziło mi tylko o to, aby pokazać pewne absurdy tamtego czasu, które dla młodego widza były kompletnie niezrozumiałe. Niestety, teraz widzę, że ten absurd zaczyna odżywać. Kiedy kręciłem scenę pokazującą wydanie „Dziennika

kryzysu, kraj przejęli ludzie, którzy musieli podejmować decyzje i przeprowadzić reformy w trybie błyskawicznym, nierzadko improwizując. Nie mnie ich oceniać – są różne poglądy, czy można było to zrobić inaczej lub lepiej, dzisiaj łatwo nam to krytykować. Nie zmienia to jednak faktu, że pierwsza dekada transformacji była szczególnie trudna dla wielu warstw społecznych.

Rodzice nigdy nie sadzali mnie przed telewizorem i nie kazali oglądać Antonioniego.

Telewizyjnego”, który uprawia bzdurną propagandę, nie przypuszczałem, że pięć lat później zobaczę coś jeszcze gorszego w TVP 1. „Pocztówki...” były pomyślane poniekąd jako satyryczno-humorystyczny film o tym, skąd wyszliśmy. Aż nagle to przestało być zabawne.

Nie ma pan wrażenia, że w pewnym sensie z tamtego czasu nigdy do końca nie wyszliśmy? I że transformacja wcale nie zdała egzaminu?

– Trochę tak było, że wszyscy po cichu liczyli, że Polska w ciągu zaledwie kilku lat stanie się rajem. Wielu polityków zresztą to obiecywało. Nie sądzę, żeby tak optymistyczny wariant transformacji miał prawo kiedykolwiek się udać. Z kompletnego zacofania, w sytuacji paskudnego

W pewnym sensie o tym opowiada film poświęcony Tomaszowi Komendzie.

– No właśnie, on i jego rodzina są przecież ofiarami czasu transformacji. Tomek miał to nieszczęście, że trafił na wyjątkowo podłych ludzi, którzy postanowili wsadzić go do więzienia i odhaczyć sukces. Ale równie istotny jest fakt, że pochodził z rodziny, której nie miał kto bronić, której nie było stać na wynajęcie adwokata. Wiemy, że pewne rzeczy od tamtego czasu w naszej tkance społecznej się nie zmieniły. Nadal panują głębokie podziały, nierówności, nadal istnieje system opresji uprawiany przez przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Każdy z nas może kiedyś się znaleźć w sytuacji Tomka. Pokazuje to

historia Igora Stachowiaka, który w 2016 r. zginął na komisariacie rażony prądem przez policjantów.

Trudny temat wybrał pan sobie na debiut. Myśli pan, że to była słuszną decyzją?

– Kiedy dostałem tę propozycję, nie zdawałem sobie sprawy, że oczekiwania społeczne są tak ogromne, że odbiór będzie tak szeroki. Z perspektywy czasu wiem, że nie potrafiłbym już sobie wyobrazić mocniejszego debiutu – filmu z takim zasięgiem i odzewem, który komuś mógł otworzyć oczy, a zarazem miał pewną moc sprawczą. Liczyliśmy, że to wszystko pomoże Tomkowi, że coś z tego będzie miał, i na szczęście w jakimś stopniu tak się stało – chcę wierzyć, że premiera „25 lat niewinności” przyczyniła się do przyspieszenia zakończenia procesu o odszkodowanie, które pozwoliło mu na nowy start. Wciąż jednak trwają dwa śledztwa – jedno w sprawie ukarania prawdziwych sprawców zbrodni miłoszyckiej i drugie dotyczące zaniechań funkcjonariuszy policji i prokuratury, które przyczyniły się do tego, że Tomek niesłusznie trafił do więzienia. Mam nadzieję, że również w te sprawy nasz film uderzył.

A jak po tak mocnym debiucie widzi pan swoją przyszłość?

– W tych czasach nie można być niczego pewnym, wiem natomiast, że gdyby film o Tomku się nie udał, zamknęłoby mi to drogę do jakiegokolwiek przyszłości w zawodzie reżysera. Cieszę się zarazem, że mimo pandemii, kiedy kina pozostawały zamknięte z drobnymi przerwami niemal od roku, a branża kinowa stoi na skraju zapaści, na polskim rynku istnieją platformy streamingowe, które zaczęły intensywnie realizować lokalne produkcje. Nie wiemy tak naprawdę, ile zajmie ludziom powrót do kina, ile będzie się odbudowywało to zaufanie. W tym momencie skończyłem pracę nad nowym sezonem mojego serialu „Rojst '97”, który latem pojawi się na Netflixie, i zaczynam kolejny projekt, także dla Netflixu – miniseria „Wielka woda” o powodzi, która nawiedziła Wrocław w 1997 r. Nie chcę zdradzać akcji ani jednego, ani drugiego serialu, niemniej pracujemy nad nimi pieczołowicie, do najmniejszego detalu. Jakość jest dla mnie wartością podstawową.

Mateusz Demski



MIĘDZY OKŁADKAMI

Erik Larson

Grom z jasnego nieba

tłum. Monika Wyrwas-Wiśniewska

Sonia Draga, Katowice 2021

Pogoń przez ocean za mordercą i jego kochanką nie byłaby możliwa, gdyby nie świeżo zainstalowany na okrętach radiotelegraf Marconiego. Czytelnicy gazet na całym świecie dzięki depeszom mogli się dowiedzieć, jak zamyka się pułapka, ale uciekinierzy na pokładzie liniowca płynącego do Kana-



dy utrzymywani byli w błogiej nieświadomości. Ba, dr Crippen podziwiał urządzenie, które wpłynęło na jego los. Tak jak w „Diabie w Białym Mieście” Larson łączy dwie autentyczne historie, pasjonujące już same w sobie. Przegląda uparte starania wynalazcy, dążącego do celu metodą prób i błędów – i megalomań-

skich wyczynów – z małżeńskimi problemami niepozornego sprzedawcy tzw. leków patentowych. Przy czym w partiach dotyczących tego pierwszego pozwala sobie na sporo uszczypliwości pod adresem naukowców. Píše zaś niezwykle obrazowo, nie szczędząc barwnych, czasem komicznych detali (warto zajrzeć i do bogatych przypisów!). Taki oto obrazek: gdy Guglielmowi Marconiemu rodziło się kolejne dziecko, był gdzieś na Atlantyku. Żona zaadresowała więc wiadomość: „Marconi – Atlantyk”. I depesza doszła!

Stuart Turton

Demon i mroczna toń

tłum. Jacek Żulawnik

Albatros, Warszawa 2021

Inny ocean, inne czasy – ekspansji Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej – ale książka nie mniej fascynująca i pobudzająca wyobraźnię, choć gatunkowo całkowicie odmienna. Turton, który zadebiutował brawurowo „Siedmio-



ma śmierciami Evelyn Hardcastle”, znów ucieka od szufladek, czerpiąc to z powieści grozy, to z detektywistycznej, to z przygodowej – z żaglowcami na niespokojnych wodach, skarbami i tajemniczą wyspą. Bohaterowie bliżej są nam, współczesnym czytelnikom, zwłaszcza postaci kobiece. Gdyby któraś z nas zna-

łała się na pokładzie „Saardama” narażona na tyle niebezpieczeństw, wołałaby stanąć u boku Sary Wessel, żony powracającego do Amsterdamu gubernatora Batawii, niż zamknąć się w kajucie i omdlewać ze strachu. Doskonale rozumiemy jej bunt przeciw narzuconej kobietom roli.

Aleksandra Pańko

FABUŁA



Witajcie w Fall River w Massachusetts, poindustrialnej dziurze, z której wszyscy chcą się wyrwać, na czele z Lionem i Stanleyem o swojsko brzmiącym nazwisku Kaminsky. Pierwszy stawia na boks, wierząc, że wygrywając na ringu, wygra też w życiu i przeniesie się do słonecznej Kalifornii. Drugi niby wie- rzy w młodszego brata, co nie przeszkadza mu na boku wcho- dzić w deale z lokalnymi bandziorami. Gdy Lion przegrywa walkę, Stanley staje się zakładnikiem mafiosa, który zleca mu dostarczenie niepokornej Sky do drzwi rzeźmieszką w innym stanie. Jak to w kinie drogi, bohaterowie muszą przejrzeć się w sobie i przejść przemianę. Przemianę bolesną, bo reżyser na naszych oczach dekonstruuje mit o amerykańskim śnie, przekonując, że awansu społecznego nie gwarantuje dziś ani talent, ani działanie w poprzek prawa. Niektóre pomysły – choćby zestawienie marzeń braci o sukcesie à la Rocky z ich beznadziejną sytuacją eskorterów nastolatki, jakby handlowali żywym towa- rem – zachwycają, ale „Prawo dżungli” brakuje dzikości i brutalności. W tej dżungli widz czuje się raczej, jakby odwiedził zoo.

Artur Zaborski

FESTIWAL

OPEROWE 60/30

Fenomen Warszawskiej Opery Kameralnej doczekał się pięknych jubileuszy. 60 lat temu powstała ta muzyczna instytucja, nazywana żartobliwie przez jej założyciela Stefana Sutkowskiego największą operą kameralną na świecie. I była to właściwie prawda, bo dokładnie 30 lat temu zorganizowano tu pierwszy Festiwal Mozartowski, podczas którego wykonano wszystkie dzieła sceniczne Mozarta. To był rzeczywisty rekord świata, bo nikt inny tego nie dokonał – i żaden z następców dyrektora Sutkowskiego nie powtórzył. Jedynie podczas uroczystej gali na rozpoczęcie 30. Festiwalu Mozartowskiego, który potrwa do 4 lipca, przypomniła o tym wyczynie obecna dyrektorka WOK Alicja Węgorzewska.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Z „Wieczoru” do „Czerwoniaka”

Kariera Tadeusza-Dołęgi-Mostowicza

Jarosław Górski

Kiedy warszawiacy wyrwali gazetnikom egzemplarze „Wieczoru” z odcinkami „Znachora”, w mieszkaniu Tadeusza Dołęgi-Mostowicza przy Piusa XI telefon numer 9-72-74 dzwonił bez ustanku. Ledwie rozłączyli się producenci filmowi, już o poufną rozmowę prosili wydawcy największych polskich gazet. Oczywiście chodziło im o to, żeby podkupić najpopularniejszego polskiego pisarza, skłonić go, aby porzucił „Wieczór”, którego wydawcy, nie dysponując ogromnym kapitałem, nie mogli uczynić ze swojej gazety pisma o zasięgu ogólnopolskim, trafiającego nie tylko do wszystkich regionów kraju, ale i do wszystkich jego klas społecznych. Ogólnopolski czytelniczy entuzjazm czy może nawet histeria, jaka rozpełtała się za sprawą „Znachora”, spowodowały, że teraz wielcy wydawcy nie chcieli odpuścić. W tych negocjacjach mniejsi szybko odpadli, liczyło się tylko dwóch graczy. Krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny”, zwany „Ikacem”, oraz warszawski „Kurier Czerwony”, powszechnie określany jako „Czerwoniak”, wydawany przez wielki i bajecznie bogaty koncern Dom Prasy, codziennie w dwóch edycjach: porannej (z nadtytułem „Dzień Dobry”) i wieczornej („Dobry Wieczór”). (...) Gazety konkurowały ze sobą na polu sprzedaży i reklamy, jednak nie było między nimi zasadniczych różnic politycznych. Obie szczyły się bezpartyjnością, co oznaczało, że bezwzględnie popierały sanacyjne rządy.

Szukanie pozytywów

Mostowicz w końcu wybrał „Czerwoniaka”. Do warszawskiej redakcji miał blisko, a redaktorów tej gazety znał osobiście, bo próbowali go zwerbować do współpracy, jeszcze kiedy był początkującym, błyskotliwym felietonistą „Rzeczpospolitej”, i co jakiś czas, po kolejnych



Tadeusz Dołęga-Mostowicz w Głębokiem, lata 30.

pisarskich sukcesach, ponawiali propozycję, podnosząc stawki oferowanych honorariów. Ile mogli mu zaproponować teraz? Tu znów konkretów nie znamy, ale można przypuszczać, że w porównaniu z tym, ile za powieść płacił „Wieczór”, więcej o jakiś rząd wielkości. Oczywiście kiedy w końcu Mostowicz podziękował kolegom z „Wieczoru” i koncernu „Zjednoczenie” za kilkuletnią współpracę i oznajmił,

oczywiście zdradą i przypisywano w związku z tym Mostowiczowi najniższe możliwe motywacje.

Ale Mostowiczem nie kierowały wyłącznie kwestie finansowe. Za przysięgłym endekom z „Wieczoru” trudno było zrozumieć, że pisarzowi już dawno jest z nimi nie po drodze. Że wielokrotnie deklarowany przez kolegę dystans do ich formacji nie jest ani marketingową sztuczką, ani retorycznym chwytem. (...)

Zaprzysięgłym endekom z „Wieczoru” trudno było zrozumieć, że pisarzowi jest z nimi nie po drodze.

że przechodzi do „Czerwoniaka”, pojawiły się głosy, że Dołęga się sprzedał, że myśli już wyłącznie o pieniądzu, a wszelkie sprawy wyższej rangi nie mają dla niego znaczenia. Przejście z koncernu jawnie endecckiego (choć po rozstaniu z oenrowskim „ABC” dość umiarkowanego) do jawnie wspierającego rządy sanatorów Domu Prasy nazywano

Tymczasem przed Mostowiczem otworzyła się perspektywa docierania ze swoim przekazem do najszerszej publiczności i, bez najmniejszej przesady, odegrania doniosłej roli w kulturalnym i społecznym awansie ogromnych mas rodaków. Współdziałanie z „Czerwoniakiem”, a niech będzie, że i z sanacyjnymi rządami, dawało gwarancję efektów

w zupełnie innej skali niż współpraca z regionalną popołudniówką. Poza tym endecja i sanacja nie były już takie jak kiedyś. W tej pierwszej zniknęła niemal całkowicie demokratyczna retoryka, panaceum na wszelkie bolączki kraju miała być zaś rozprawa z Żydami. A rządy pułkowników po śmierci marszałka Piłsudskiego co prawda ku demokracji się nie zwróciły, ale zaczęły realizować, początkowo skromne, plany modernizacji kraju: budowę ciężkiego przemysłu, sieci dróg, motoryzacji, elektryfikacji. W czerwcu 1936 r. wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski ogłosił plan czteroletni rozwoju Polski, rozpoczęto tworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego, budowę od fundamentów dziesiątek fabryk i zakładów przemysłowych. Dla Dołęgi-Mostowicza, zmęczonego już pozycją kontestatora i krytyka krajowych porządków, były to konkrety budzące nadzieję na to, że coś się w Polsce zacznie zmieniać na lepsze. (...)

Kłapa

Pierwsza powieść Mostowicza w „Czerwoniaku”, zatytułowana „Ich dziecko”, była poprzedzona szumnymi zapowiedziami jako największe wydarzenie literackie sezonu. W gazecie ukazał się pełen egzaltacji wywiad-reportaż z gabinetu przy Piusa XI, w którym pisarz wystylizowany został na cyzelującego każde zdanie koryfeusza literatury i mędrca w stylu Tomasza Manna.

„Jak wygląda warsztat, w którym powstała ta powieść? – zgodnie z ówczesną konwencją pyta retorycznie dziennikarz. – Jak wyglądają kulisy jej powstania od niezapisanej kartki papieru do równych linijek druku? Czy autor zdradzi nam ten sekret?” (...)

Tu ujawniła się jeszcze jedna korzyść Dołęgi z porzucenia „Wieczoru” na rzecz „Czerwoniaka”. Dziennikarze tej drugiej gazety byli jednocześnie specjalistami od reklamy i autoreklamy. Wiedzieli, że w ich czasach wybitnym pisarzem wysokiej literatury jest ten, kogo wysokonakładowa prasa przedstawia jako takiego. Kawiarniane hierarchie, oficjalne literackie laury i argumenty krytyków mają znaczenie

drugorzędne i prędzej czy później także będą się zmieniać pod wpływem prasowych opinii. (...)

„Ich dziecko” była to powieść w dorobku Dołęgi-Mostowicza w jakimś sensie wyjątkowa. Oto dwaj towarzysze broni z czasów wojny polsko-bolszewickiej, których połączyła najszczerza przyjaźń, Marek Domaśzewicz i Justyn Kielski, kochają się w tej samej kobiecie, Monice Korniewickiej. Miłość do tej samej kobiety jest sprawdzianem dla męskiej przyjaźni i odwrotnie: przyjaźń dwóch konkurentów – sprawdzianem dla miłości do kobiety, a później także

W warszawce krążyły plotki, jakoby fajfy u Dołęgi zaczynały się jak fajfy, w końcu zamieniały się w pijaństwo i orgie.

jej dziecka. Wydaje się, że Mostowicz pisał tę książkę, podobnie jak poprzednią, poniekąd na potrzeby przyszłej ekranizacji. (...) Akcja przenosi się pomiędzy Warszawą, pokazaną jako miejsce, w którego zgiełku i deprawacji nie sposób zachować psychicznej równowagi, a opisanym archaizującym językiem, wyidealizowanym, sielskim Polesiem. (...)

I teraz – kłapa! Oczywiście w skali Mostowiczowskiej. Recenzji, także po wydaniu książki, nie było jak zwykle, ale i ulica zareagowała jakoś chłodno. Nie było gorących dyskusji, wrywania sobie

egzemplarzy „Czerwoniaka”, zapisów w wypożyczalniach. (...)

Po sukcesie filmu „Znachor” producenci dobijali się do Tadeusza Dołęgi-Mostowicza o licencji na ekranizację kolejnych jego powieści i on tych licencji szczerze udzielał. Z jednym tylko wyjątkiem najbardziej chyba „filmowej” jego powieści – „Ich dziecko”. Miał chyba świadomość, że w swoich staraniach o stworzenie dzieła podobającego się publiczności, opowiadającego o wielkich uczuciach, a jednocześnie krzepiącego i niosącego jednoznaczne moralne przesłanie – tym razem przesadził.

I że masowa publiczność wcale nie oczekuje, że ukochany pisarz będzie schlebiał jej sentymentom.

Fajfy u Dołęgi

Tadeusz Dołęga-Mostowicz, kiedy już zdobył sławę i pieniądze, zaczął bywać tam, gdzie bywało znakomite warszawskie towarzystwo, gdzie mógł się pokazać z gwarancją, że zostanie dostrzeżony. Pisarz, który rozpoczynał swoją karierę publicysty od moralizujących filipik przeciw „bywalstwu” polskich elit, a karierę powieściopisarza od domagania się od nich oszczędności i wstrzeмиęliwości. (...)

W Oazie, potem w Adrii, w dansingu Paradis czuł się jak u siebie w domu, personel go znał i tytułował „mistrzem”, a bywalcy zapraszali do swoich stolików. Mostowicz balował tam nie tylko w literackim towarzystwie, ale także wśród ziemian, przedsiębiorców, wysokich urzędników państwowych, a także policjantów i bandytów. Michał Choroński wspominał, że Mostowicz zakumplował się w jednym z klubów także z ludźmi, którzy pamiętnej wrześniowej nocy 1927 r. porwali go i pobili.

Mimo że koryfeusz polskiej literatury o takim zjawisku jak Dołęga-Mostowicz albo wymownie milczeli, albo wspominali z wyraźnym lekceważeniem, pisarz coraz chętniej bywał na przyjęciach, rautach, imprezach ▶



Program kinowy.

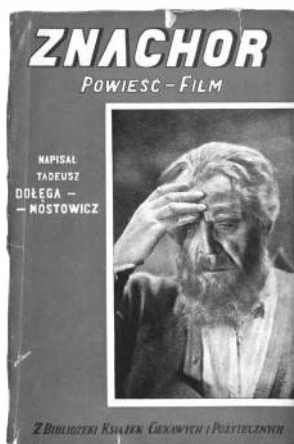
► wyprawianych przez instytucje i organizacje literackie: Akademię Literatury, PEN Club, związki pisarzy. Jego nazwisko przewija się często przez wzmianki kroniki towarzyskiej w prasie codziennej i artystycznej. Bywał na ceremoniach wręczenia tych nagród literackich, których sam dostać nie miał żadnej szansy, i rautach na cześć pisarzy, którzy unikali pokazywania się w jego towarzystwie.

Mostowicz bywał i był widywany tam, gdzie pojawiali się ludzie z towarzyskiej śmietanki, artyści, pisarze, dumni nosiciele nieuznawanych przez Rzeczpospolitą arystokratycznych tytułów, wysocy urzędnicy państwowi. Jednak w dokumentach pozostawionych przez przedstawicieli polskich przedwojennych elit, w dziennikach, pamiętnikach, wspomnieniach, listach, próżno poszukiwać jakichś świadectw rozmów z nim, jakichś relacji osobistych, przyjaźni. Trafi się, rzadko, wspomnienie, że Mostowicz pokazał się, był uroczy, elegancki. Że podobał się kobietom, że jego urodę doceniali także mężczyźni. (...)

Uważano, że pisarstwo Dołęgi-Mostowicza jest na tyle tandetne i słabe, że może je uprawiać każdy.

Po wakacjach 1937 r. Dołęga już nie tylko bywał, ale i przyjmował. Najpierw nieregularnie, potem co tydzień we wtorki (jak przekazują jedni) lub czwartki (jak chcą inni) na piątą po południu zapraszał znajomych do siebie na Piusa XI na imprezy, które przeszły do legendy jako „fajfy u Dołęgi”. I jak wiele elementów z legendy pisarza przetrwały do dziś we wspomnieniach i wzmiankach bardzo się różniących, a nawet całkowicie sprzecznych.

Znamienne były żywe w literackiej warszawce plotki głoszące, jakoby fajfy te zaczynały się jak fajfy, czyli przyjęcia na stojąco z drobnymi przekąskami, ciasteczkami, herbatką i maleńkimi kieliszczykami likieru lub naleweczki, po godzinie stawały



Oktładka wydania dla prenumeratorów.

się tęgimi popijawami, a w końcu zamieniały się w pijackie i seksualne orgie. Dołęga miał wedle tych pogłosek zwyczaj opuszczać nad ranem nieprzytomnych gości, zasiadać w gabinecie na swoim fotelu z jedną z zaproszonych fordanserek na kolanach, czytać jej fragment swojej powieści

i kazać wymyślać dalszy ciąg, dialogi, nadawać imiona bohaterom itp. Stanisław Brucz z całkowitą powagą wspominał, że w drugiej połowie lat 30. „coraz częściej zdarzało się (jak utrzymymano w świecie dziennikarskim), że kolejny odcinek powieści, na który czekał w korytarzu goniec redakcyjny, pisał Niedołęga, to znaczy – nie Dołęga, lecz przygodna towarzyska nocnej zabawy. I nikt tej sytuacji nie spostrzegł”. (...)

Plotki te miały takie przesłanie, że pisarstwo Dołęgi-Mostowicza jest na tyle tandetne, słabe, pozbawione gustu, stylu i jakiegokolwiek artystycznej wartości, że może je uprawiać każdy, ot, choćby lekceważona powszechnie fordanserka. Powtarzane były przez ludzi, którzy powieści

plotkarzy niż informacja o tym, jak wyglądały imprezy u Dołęgi. Gospodarz fordanserek nie sprowadzał, zapraszał jednak tancerki: dziewczęta z zespołu Tadjanny Wysockiej, czyli Tadjanki. Oczywiście zapraszał je pewnie dlatego, że chciał widzieć w swoim salonie ładne, młode kobiety, ale także dlatego, że je lubił. Były one pełnoprawnymi gośćmi fajfów, a nie „personalem rozrywkowym” umilającym czas gościom. Pewnie i bywający tam mężczyźni mogli zapraszać je do tańca, a one, jeśli miały ochotę, przyjmowały zaproszenia. Stałymi gośćmi byli także państwo Wysoccy, Tadjanna i Stanisław; oboje bardzo troszczyli się o swoje podopieczne, a pani Tadjanna potrafiła zrobić publiczną awanturę nawet wysoko postawionemu mężczyźnie, kiedy zauważyła, że próbuje w jakikolwiek sposób skrzywdzić którąś z jej uczennic. (...)

Bywałcem „fajfów u Dołęgi” był m.in. młody Witold Gombrowicz. Wydał już wtedy kilka książek – w tym w 1937 r. powieść „Ferdurke”, którą dziś kolejne pokolenia szkolnych polonistów każą się zachwycać uczniom – jednak wciąż czuł się niedoceniony, niezrozumiany, wciąż także nie mógł się zdecydować, czy chce być awangardystą wyprzedzającym swój czas i niedostępnym dla gawiedzi, czy też kochanym przez masy gwiazdorem literatury. A może chciał być i jednym, i drugim. Niewątpliwie bardzo go ciągnęło do stolikowych autorytetów z Ziemiańskiej, a jednocześnie robił wiele, żeby zaakcentować swój do nich dystans. Młody pisarz, mimo że pochodził z bardzo zamożnego domu i na brak gotówki raczej nie narzekał, był chorobliwie skąpy i nigdy nie omijał okazji do jedzenia za darmo i to w towarzystwie, które mu imponowało. Dla Gombrowicza bywanie u pisarza najpopularniejszego i mającego przy najważniejszych kawiarnianych stolikach fatalną opinię było okazją i do zaspokojenia swoich snobistycznych tęsknot do wielkiego bogatego świata i do zademonstrowania kolegom swojej odmienności i niezależności.

Sęk w tym, że Gombrowicz miał też skłonności do koloryzowania swoich opowieści z wielkiego świata i dziś już trudno się zorientować, na ile prawdziwe były jego opowieści

Dołęgi programowo nie czytali, a jeśli czytali, to z takim uprzedzeniem, że nie potrafili dostrzec niezwykłej sprawności językowej pisarza, błyskotliwości jego obserwacji obyczajowych i psychologicznych, znakomitych dialogów i w końcu – niebanalnego przesłania. W środowisku, także wśród beneficjentów gościnności pisarza, o Dołędze należało mówić właśnie w taki sposób, wykpiwanie jego grafomanii było niemalże towarzyskim i wizerunkowym obowiązkiem, demonstracją dobrego gustu i troski o najwyższą wartość rodzimej kultury.

Zresztą i historie o fordanserkach, których jakoby pełno było na fajfach, to bardziej ilustracja sposobu myślenia Brucza i jemu podobnych

o bywającej u Dołęgi towarzyskiej śmietance, o strumieniach najdroższych alkoholi lejących się w mieszkaniu przy ulicy Piusa, o najładniejszych fordanserkach z najlepszych lokali na najbardziej wyuzdane sposoby umilających czas gościom. (...)

Gombrowicza sam Mostowicz nie tylko zapraszał na fajfy, ale i ceniał jako pisarza, a i prywatnie lubił. Miał miły zwyczaj umieszczania lubianych przez siebie postaci pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem w swoich książkach i Gombrowiczowi również uczynił taki prezent w powieści „Trzy serca”, gdzie autor „Ferdydurke” występuje jako ktoś, kim bardzo chciał wówczas być: przedmiot zainteresowania artystyczno-arystokratycznej socjety i dostarczyciel złotych myśli do towarzyskich small-talków. Mostowicz Gombrowicz nie lubił, jak wynika ze wspomnień autora „Ferdydurke”, ale tym między innymi różnili się od siebie, że pierwszy wołał ludzi lubić, niż nie lubić, a drugi odwrotnie.

Gombrowicz nie tylko stale bywał na fajfach, ale i przechwalał się tym przed kolegami artystami, a szczególnie chętnie podkreślał, jakie to ważne i dostoje osoby tam spotkał. (...) A po latach autor „Ślubu” wspominał swoje bytności u Dołęgi oraz samego gospodarza zupełnie bez podziwu, a wręcz z lekceważeniem czy nawet z niesmakiem. (...)

Same fajfy u Dołęgi zupełnie inaczej zapamiętał (...) redaktor naczelny satyrycznego tygodnika „Szpilki” – Eryk Lipiński. Wspominał pisarza inaczej niż Gombrowicz, jako „uroczego człowieka”. A fajfy jako fajfy: organizowane regularnie co tydzień, zaczynające się w każdy czwartek i w tenże czwartek się kończące.

„Bywało tam – czytamy w „Pamiętnikach” Lipińskiego – towarzystwo liczne, tudzież bardzo mieszane – i ministrowie,

i fordanserki. Stałym gościem Dołęgi był Gombrowicz. [...] Byliśmy – co tu ukrywać – zafascynowani jego opowieściami o świecie wyższych sfer, do którego nie mieliśmy dostępu. Ale pewnego dnia, a raczej nocy – było to bowiem na balu ASP – Dołęga zapytał mnie i żonę, dlaczego nigdy do niego nie wpadniemy? Oczywiście skorzystaliśmy z zaproszenia. Kiedy w najbliższy czwartek Gombrowicz zobaczył nas na legendarnym fajfie, przerażony podbiegł szybko, błagając, aby nie psuć mu zabawy i nie zdradzać jutro w Zodiaku, jak tu jest naprawdę (...)”.



Fragmenty książki Jarosława Górskiego *Parweniusz z rodowodem. Biografia Tadeusza Dołęgi-Mostowicza*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2021

Film bez happy endu

Tego jeszcze w żadnym kinie nie grali. Adam S. z Białegostoku został prawomocnie skazany na rok więzienia w zawieszeniu oraz zapłatę na rzecz poszkodowanych kwoty 47,8 mln zł.

Adam S. to podlaski geniusz informatyczny, który w wieku 19 lat stworzył specjalny program komputerowy, za pomocą którego ściągnął ponad 60 tys. filmów z serwisów hostingowych, a następnie umieszczał je na założonym i administrowanym przez siebie portalu. Od 2015 do 2019 r. jego płatnymi użytkownikami zostało aż 300 tys. osób.

Lista poszkodowanych z powodu naruszenia praw autorskich obejmuje 40 podmiotów, w tym takie tuzy jak TVP, Canal+, Netflix, Disney, Warner Bros. czy Amazon. Chcieliśmy zapytać o kwoty, jakie jest im winien, i możliwość ściągnięcia zasądzonych pieniędzy. Głęboki sceptycyzm w tej kwestii oparty jest na ustalonym przez śledczych fakcie, że Adam S. na nielegalnym udostępnianiu filmów zarobił „tylko” 1,2 mln zł, z czego 700 tys. zł zainwestował w kryptowalutę, a za resztę kupił mieszkanie.

Jedyną odpowiedź otrzymaliśmy z ulicy Chełmskiej w Warszawie, ale trudno ją uznać za satysfakcjonującą. „Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych jest następcą prawnym Studiów Filmowych Zebra i Kadr, które zainicjowały powyższe działania w związku z nieuprawnionym korzystaniem z autorskich praw majątkowych. Wszelkie dalsze kroki w przedmiotowej sprawie zdeterminowane są wyrokiem Sądu oraz określoną procedurą przewidzianą przepisami prawa (...)”, informuje Piotr Kozicki z działu komunikacji WFDiF.

Prokuratura, składając apelację od wyroku sądu okręgowego z października 2020 r. skazującego Adama S. na rok więzienia w zawieszeniu, argumentowała, że to kara zbyt łagodna, i żądała trzech i pół roku bezwzględnego więzienia.

20 kwietnia Sąd Apelacyjny w Białymstoku uznał to żądanie za bezzasadne, tym bardziej że prokuratura zaskarżyła w apelacji nie karę roku więzienia w zawieszeniu za czerpanie zysków z nielegalnego rozpowszechniania filmów, tylko karę za pranie brudnych pieniędzy (inwestycja w kryptowalutę i nieruchomości), używając przy tym argumentacji, jakby chodziło o to pierwsze przestępstwo.

Adam S. został skazany za piractwo na rok więzienia w zawieszeniu i zapłatę na rzecz poszkodowanych 47,8 mln zł.

– W swojej kilkudziesięcioletniej pracy nie spotkałem się z takim obowiązkiem naprawienia szkody. Taka kwota do spłaty rzutuje nie tylko na całe życie oskarżonego, ale i kolejne pokolenia, ponieważ oskarżony nie jest prezesem spółki giełdowej – uzasadniał wyrok sędzieja Jacek Dunikowski. – W ocenie sądu odwoławczego kara orzeczona w pierwszej instancji, z tym środkiem kompensacyjnym, będzie dotykała oskarżonego bardzo długo i nie zachodzi tutaj potrzeba sięgania po karę bezwzględnego pozbawienia wolności.

Adam S. nigdy nie kręcił przed śledczymi ani sądami, od razu przyznał się do winy i chętnie z nimi współpracował. Nam nie dał się namówić na komentarz. Woli pozostać w półmroku jak podczas seansu w sali kinowej.

Arkadiusz Panasiuk

Pigułka, która zrobiła rewolucję

Kobieta stosująca
antykoncepcję staje się
wolnym człowiekiem



Rozmawia Anna Brzeska

Właśnie minęło 55 lat, od kiedy w Polsce pojawiła się pigułka antykonieczajna. Dostatecznie długo, by stała się powszechnie używanym środkiem. Czy jednak teraz, gdy niektórzy lekarze odmawiają wypisania recepty, powołując się na klauzulę sumienia, dostęp do tej formy antykonieczajni nie jest coraz bardziej ograniczony?

– Nie mogę wiarygodnie odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ w Polsce nie sposób przeprowadzić badań na ten temat. I to bardzo niedobrze, bo oczywiście powinniśmy się dowiedzieć, jaki procent lekarzy odwołuje się do tzw. klauzuli sumienia. Tę zaś, z perspektywy zarówno edukatorki seksualnej, jak i terapeutki, uważam za absurdalną i uderzającą w prawa pacjentek. Zawód lekarza ma służyć pacjentom, nie odwrotnie.

Mogę powiedzieć o pewnych tendencjach, ale zaznaczę, że to tylko hipotezy. Myślę, że stanowisko lekarzy wobec antykonieczajni jeszcze 20 czy 30 lat temu nie było tak mocno uwarunkowane ideologicznie. Kwestie związane „z macicami” z hasłem czarnych protestów, czyli prawem do wolności wyborów seksualnych, świadomego rodzicielstwa i edukacji seksualnej, nie były aż tak upolitycznione jak w ostatnich latach. Stały się sprawą państwową i kościelną. Celowo nie używam słowa religijną,



DR ALICJA DŁUGOLECKA

– seksuolożka, edukatorka seksualna, autorka książek, takich jak „Seks na wysokich obcasach”, „Zwykła książka o tym, skąd się biorą dzieci” czy „Edukacja seksualna”, oraz licznych publikacji naukowych. Wykłada na Wydziale Rehabilitacji AWF w Warszawie oraz na Podyplomowych Studiach Wychowania Seksualnego na UW. Pracuje w Centrum Terapii Lew-Starowicz.

ponieważ to Kościół próbuje zawłaszczyć to, co jest związane z wychowaniem seksualnym i wolnością reprodukcyjną. Zwłaszcza wolność kobiet. Pamiętam, że gdy jako młoda dziewczyna prosiłam o pierwsze pigułki antykonieczajne, nie miałam pojęcia, że ten temat może być rozpatrywany w kategoriach religijnych. To była wyłącznie kwestia ginekologiczna.

– Właśnie. Jednak Kościół wśliznął się w każdą dziedzinę życia – wpływa na działanie uczelni, sądownictwa, systemu edukacji, czyli wszystkich obszarów, które przez wiele lat były niezawisłe, a w których sprawy światopoglądowe nie powinny odgrywać żadnej roli.

Jednak przed transformacją też nie było różowo.

– Tak, ponieważ jeszcze w latach 80., a nawet 90., poziom wiedzy o zapobieganiu ciąży był o wiele niższy. Przede wszystkim nie było internetu ani tak wielu poradników. Co więcej, sama antykonieczajna hormonalna była inna – pierwsze środki były mniej przyjazne dla zdrowia i skuteczne. Trudniejszy był także dostęp do nich. Dziś mamy całą gamę środków farmakologicznych, dostosowanych do potrzeb różnych pacjentek – młodych dziewczyn, kobiet w okresie okołomenopauzalnym, karmiących mam, pacjentek z problemami hormonalnymi itd. Jednocześnie mamy o wiele mniej wolności, która jest nam odbierana

wbrew prawom pacjentek. W jakim stopniu? Bez danych, jak wspominałam wcześniej, nie mam zielonego pojęcia. Tymczasem te dane są ważne, ponieważ walcząc o nasze prawa, musimy mieć twarde argumenty, chociaż uważam, że jeśli choć jednej pacjentce w Polsce odmówiono antykoncepcji, jej lekarz powinien zostać z tego rozliczony. Przyznanie sobie prawa do tego, by odbierać kobiecie możliwość samodzielnego decydowania w kwestiach absolutnie podstawowych, jest formą opresji.

Miała pani pacjentki, którym to się przytrafiło?

– Pamiętamy, że pracuję w prywatnej placówce, której pacjentki z reguły mogą sobie pozwolić choćby na wizytę u ginekolożki, mającej drzwi naprzeciwko mojego gabinetu w Centrum Terapii Lew-Starowicz. Jest jednak ogromnie niesprawiedliwe, że nie wszystkie kobiety w Polsce mają taką możliwość. Nie mieści mi się w głowie, że pacjentki muszą płacić za prywatne wizyty u ginekologa nie dlatego, że tak wybierają, ale dlatego, że ich rejonowy lekarz nie udzielił im pomocy, jakiej potrzebują i do jakiej mają prawo. Myślę, że to dzieje się nie tylko na skutek działań Kościoła, ale również dlatego, że system ochrony zdrowia jest niewydolny. Gdyby było wystarczająco dużo lekarzy, rankingi budowane przez opinie pacjentów decydowałyby o tym, czy ktoś odmawiający pacjentkom antykoncepcji w ogóle utrzymałby się na rynku

– Tak. I wciąż za mało o tym się mówi, nie docenia się jej roli. Prawdą jest, że rewolucję seksualną w dużym stopniu zapoczątkowały ruchy hippisowskie, które przywróciły wartość pozytywnych aspektów seksu, czyli radości i przyjemności z niego płynącej. Ale tak naprawdę to pigułka stanowiła o rewolucji seksualnej. Zmieniła wieczne zwyczaje w tak wielu aspektach, że trudno będzie je wszystkie wyliczyć.

Klauzulę sumienia uważam za absurdalną i uderzającą w prawa pacjentek.

Wymieńmy najważniejsze.

– Zaczniemy od tego, że właśnie na lek przed ciążą i jej konsekwencjami – czyli koniecznością dokonania aborcji albo rodzenia niechcianego dziecka – opierała się cała kobieca seksualność. Jak w tym wierszu Andrzeja Bursy „Miłość”, którego pierwsze wersy brzmią: „Tylko rób tak żeby nie było dziecka”. To perspektywa, która całkowicie odcina od przeżywania przyjemności.

Druga rzecz: pigułka zmieniła diametralnie relacje między kobietami a mężczyznami. Ci przez wieki obawiali się, że dzieci nie będą ich biologicznymi potomkami. Z tym wiąże się cały kult dziewictwa i obyczajowość związana z nadzorowaniem seksualności kobiet. Męska dominacja manifestowała się przez ograniczenie decyzyjności kobiet

wiele kobiet jest skazanych na samodzielne macierzyństwo, ojcowie zaś mogą zniknąć bez ponoszenia konsekwencji swoich seksualnych zachowań. Dzięki pigułce kobieta może samodzielnie podejmować decyzję o tym, że w danym momencie życia nie chce mieć dziecka. W tę decyzyjność wpisana jest też możliwość sterowania karierą zawodową – i chodzi tu nie tylko o rozwój osobisty, ale także o niezależność

ekonomiczną. Rodzi dzieci wtedy, kiedy chce i kiedy może. Wcześniej stosunki seksualne znacznie częściej skutkowały ciążą i pojawieniem się dziecka, co uzależniało kobietę ekonomicznie od partnera. Nierzadko kończyło się to dramatycznie, a nawet tragicznie dla kobiety. Tabletki antykoncepcyjne jest więc czymś rewolucyjnym, zmieniającym klucze dla kobiet kwestie.

Dlaczego zatem konserwatywni mężczyźni, będący przeciwnikami antykoncepcji, nie umieją dostrzec pozytywnego wpływu pigułek również na ich życie seksualne? Przecież kobieta wyzwolona z lęku przed ciążą, zawodowo spełniona, szczęśliwa, otwarta na doznania będzie lepszą partnerką w łóżku i, mówiąc wprost, dostarczy im więcej przyjemności.

– No właśnie nie. Tego typu mężczyznom – nie. Kobiety, które dokonują samodzielnego wyboru, mogą w nich budzić lęk. Tradycyjny system podziału ról seksualnych opiera się bowiem na założeniu, że kobieta nie może być istotą świadomą swoich potrzeb, otwartą seksualnie, przeżywającą tę seksualność w pełni. Takie partnerki są zwykle bardziej wymagające w łóżku i poza nim, chcą współdecydować o wielu sprawach, m.in. o rodzicielstwie. Nie chcą być zależne ekonomicznie, wolą żyć w układzie wspólnotowym i partnerskim. I o to toczy się gra – o hierarchiczność społeczną, nie o seksualność i jej jakość. A niezależne kobiety niekoniecznie wybierają mężczyzn o takich poglądach.

Czyli walcząc o ten tradycyjny, hierarchiczny układ, mężczyźni

Pigułka jest bardzo groźną bronią kobiet przeciw męskiej dominacji. Dlatego budzi tyle emocji.

pracy. W systemie zostawiliby najłepszy. Na pewno nie byłoby nimi ci, dla których ważniejszy jest światopogląd niż wiedza, dobry kontakt z pacjentkami i umiejętność zrozumienia ich potrzeb. Niestety, obecny chory system nasąca się szkodliwym przyzwoleniem na mieszanie spraw światopoglądowych z opieką medyczną. To narusza prawa pacjentek.

Odchodząc od tematu polityki – w jaki sposób pigułka antykoncepcyjna wpłynęła na nasz komfort życia seksualnego? Istotną kwestią jest tu zdjęcie z nas lęku przed ciążą.

w zakresie seksualności i regulowania płodności. Tabletki antykoncepcyjne zburzyła ten oparty na nierówności system.

Czyli kobiety, przejmując kontrolę nad płodnością, wyzwoliły się z tego układu.

– Tak. Trzeci obszar wynika z poprzedniego – kobieta, która stosuje antykoncepcję, staje się wolnym człowiekiem. Może być aktywna seksualnie i jednocześnie nie być obciążona odpowiedzialnością za wychowanie dziecka – co jest szczególnie trudne w niesprawiedliwie urządzonej społeczności, gdzie

► **chcą sobie zabezpieczyć dostęp do kobiet w ogóle?**

– Tak. Bo to obszar związany z kobiecą płodnością, cielesnością czy seksualnością najłatwiej było im zanektować. „Zrobienie jej dziecka” czyniło kobietę ostatecznie podległą mężczyźnie. Pigułka jest więc bardzo groźną bronią.

Kobiet przeciwko męskiej dominacji?

– Tak, przeciwko patriarchatowi. Dlatego budzi tyle emocji.

Konserwatyści mówią jednak czasem, że pigułka to forma „zrzucenia odpowiedzialności na kobietę”.

Że tak naprawdę antykoncepcja jest antykobieca, bo zdejmuję z mężczyzny odpowiedzialność za ich płodność.

– To jednak wyłącznie kwestia rozwoju medycyny, nie jakaś celowa społeczna niesprawiedliwość. Z medialnych doniesień wiemy, że trwają badania nad pigułką antykoncepcyjną dla mężczyzn. Gdy się jej doczekamy, będziemy mieli ową równość – partnerzy wspólnie zdecydują, które z nich będzie przyjmowało środki. Co więcej, jeśli mowa o męskiej antykoncepcji, nie należy zapominać o prezerwatywach. Dlatego uważam, że już teraz między partnerami jest przestrzeń na to, by ustalić, jakie metody stosować i dlaczego. W pewnych sytuacjach należy używać obu metod, szczególnie jeśli między partnerami seksualnymi nie ma umowy „na wyłączność”, a ich wzajemne

względów – jesteśmy pozbawione również prawa do tego rodzaju antykoncepcji. Mówię o tym z perspektywy dojrzałej kobiety, która już od dawna ma tyle dzieci, ile chce. Takich kobiet jest bardzo dużo, podobnie jak mężczyzn, którzy już spełnili się reprodukcyjnie.

Spotykam się z opinią, że pigułki antykoncepcyjne mogą negatywnie wpływać na libido. Jak to jest?

– To pytanie przede wszystkim do ginekologów. Ja mogę powiedzieć tylko: to zależy. Na przykład

Dziś mamy całą gamę środków farmakologicznych, dostosowanych do potrzeb różnych pacjentek. Jednocześnie mamy o wiele mniej wolności.

od tego, jak tabletkę jest dobrana, w jakiej fazie życia jest kobieta. Jeżeli pacjentka zgłasza problemy z libido przy stosowaniu pigułek, lekarze zwykle je zmieniają, starając się znaleźć takie, po których tego typu problemy nie wystąpią. Jednak z mojej perspektywy mogę powiedzieć, że na większość kobiet pigułki działają pozytywnie, biorąc pod uwagę to, o czym mówiłam wcześniej – dają kobietom wolność, zdejmując z nich konieczność martwienia się ryzykiem ciąży. Kobietom, którym ten lęk nie jest obcy, moment przejścia na antykoncepcję hormonalną czyni w głowie rewolucję. Niezwykle

spętany, czyli negatywne znaczenie tego słowa to interpretacja jedna z wielu. Używanie antykoncepcji, burząc te podwaliny, może pomóc kobiecie. Mamy zatem efekt terapeutyczny, jaki daje naruszenie skryptów kulturowych, wzmocnione przez otwarcie się na przyjemność seksualną, nieobarczoną lękiem przed ciążą. **Co jednak, jeśli pacjentki z różnych względów obawiają się pigułek?**

– Nie zajmuję się namawianiem na tę formę antykoncepcji – staram się raczej edukować, pokazując jej

wady i zalety. Jeśli z powodu wewnętrznych obaw czy przekonań pacjentki nie decydują się na pigułki, rozważamy inne formy antykoncepcji. Czasem wiąże się to z treningiem asertywności w obszarze rozmów o antykoncepcji z partnerem. Chodzi o umiejętność stosowania komunikatu: „Nie uprawiam seksu bez prezerwatywy”. To w naszej kulturze też nie jest proste – raczej bywa utożsamiane z odwagą kobiet.

Dlaczego? Mężczyźni nadal mają problem z założeniem prezerwatywy, jeśli partnerka tego oczekuje? Zastanawiam się, czy w ostatnich czasach trochę to się zmienia u panów.

– Niestety, kiepsko to idzie. Moi rówieśnicy często mają z tym problem. 30-, 40-latkowie niekiedy również. Myślę, że to może być zawałowana forma dominacji i przekonania, że kobieta ma się „ofiarować” aż w takim stopniu, że podejmuje ryzykowne zachowanie seksualne. Kontakt seksualny bez tabletki i bez prezerwatywy jest wysoce ryzykowny pod wieloma względami, więc odmowa stosowania prezerwatywy również jest formą opresji. Dlatego tak ważna jest kobieca asertywność w tym względzie. Jednak pracując na co dzień z młodzieżą, widzę, że 15-, 20-latkowie znacznie lepiej tę kwestię rozumieją. Nadzieja zatem w młodym pokoleniu.

Komunikat: „Nie uprawiam seksu bez prezerwatywy” w naszej kulturze bywa utożsamiany z odwagą kobiet.

zaufanie jest ograniczone. Przypominam, że używanie prezerwatyw chroni przed zakażeniami przenoszonymi drogą płciową, a tabletki nie. Mówię więc nie tylko o świadomym rodzicielstwie, ale w ogóle o świadomym budowaniu relacji seksualnej, trzeba brać pod uwagę zarówno możliwość ciąży, jak i chorób – dlatego kwestia antykoncepcji już dziś dotyczy tak samo kobiety, jak i mężczyzny. Gdy doczekamy się pigułek dla mężczyzn, ta przestrzeń będzie jeszcze większa.

I jeszcze jedno – na świecie popularne są też zabiegi wazektomii, a u kobiet podwiązania jajowodów. W Polsce jednak – z niewiadomych

otwierają się na przyjemność seksualną. Często idzie za tym zmiana ich stosunku do nagości, eksperymentowania, podniecenia – kobiety, mówiąc wprost, zaczynają lubić seks. Najczęściej spotykam się więc z taką reakcją na pigułki.

Nie chcę jednak powiedzieć, że wyłącznie lęk przed ciążą odbiera przyjemność z seksu. Za to odpowiedzialna jest przede wszystkim nasza kulturowa schedy, która nie pozwala kobietom w pełni cieszyć się seksem – bo to byłoby utożsamiane z tzw. rozwiązłością. Proszę zwrócić uwagę na sens słowa rozwiązłość – żeby się rozwiązać, trzeba najpierw być

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Rakowiec, 12 maja, godzina 14.05

Pociąg gwałtownie hamuje, gitara się przewraca, brzdęk z piskiem, zaraz potem cisza i stanie. Po paru minutach głowy się podnoszą znad smartfonów oraz lektur papierowych, w moim przypadku znad jednego i drugiego, bo właśnie czytam „Pełnię nieszczęścia” i postanowiłem wyszukać w sieci zdjęcie matki Handkego. No, w każdym razie tych parę minut stania to już jest sygnał złowrogi, to jest stanie zapowiadające kierownika pociągu, który za chwilę będzie szedł wzdłuż wagonów i oznajmiał: koniec jazdy. Głowy wychylają się, wypatrują, na razie pan kierownik nerwowo gestykuluje, rozmawiając z maszynistą, na jego plecach rośnie w mgnieniu oka plama potu.

Zerkam przez okno, w jakim to polu szczerym stoimy, nie ma pola, są skarpy strome, Google maps pokazuje, że jesteśmy dokładnie w połowie drogi między stacjami. Pan kierownik w końcu idzie, ludzie zagadują, ale on milczy, nie zauważa, ignoruje, przechodzi, wysiada na końcu składu, schyla się, coś tam sprawdza, a potem krzyczy do telefonu.

Tymczasem na skarpie samotny rowerzysta zatrzymał się, typie w dół, tam gdzie ostatni wagon, wyjmując komórkę i robi zdjęcia. Kierownik wraca, bledszy już od swojej koszuli

przepeconej, i teraz dopiero oznajmia: człowiek pod kołami, trup, ruch zatrzymany, to potrwa co najmniej trzy godziny, muszą państwo wysiąść. Aha, no jak ja w pociągu czytam o samobójstwie (matki Handkego), to zaraz ktoś musi je popełnić w rzeczywistości, myślę sobie.

Wszyscy teraz przyklejają policzki do szyb, próbują kątem coś wypatrzeć, bo okna pozamykane, pociąg nowoczesny, podmiejski, klimatyzowany. Nie wiadomo, w którą stronę patrzeć, bo przecież jak się kto rzuca pod pociąg, to u jego czoła, tymczasem gapiów na skarpie przybywa tam, gdzie ostatni wagon; wyobraźnia pracuje, oj, przeciągnęło się hamowanie po człowieku. Zaczynają się meldunki przez telefon, gdzie kto nie zdąży i dlaczego, proszę sobie wyobrazić, wyobraź sobie, co się stało, wszyscy się odwołują do wyobraźni, poza gapiami na skarpie, których przybyło, jakby kto gołębiom wysypał ziarno, był jeden, zaraz się zleciał tłumek, ale że aż tak szybko, na takim pustkawym wygwizdówku, skąd ich nagle tyle, czy śmierć aż tak jest powabna? Patrzą, a raczej nie mogą oderwać wzroku; z tego, co widzą, coś widzą nieokreślonego, coś, co jakby ani życia, ani śmierci nie przypomina, przekrzywiają głowy, jakby chcieli ustawić kadr, widok obramować, ale im się nie klei.

Tymczasem strażę pożarną, policję, nosze (optymistyczne) i worki plastikowe, i jakiś taki parawan rozkładają,

oznakowany, policyjny. Na skarpie poruszenie, bo gapiom zasłonięto widok i teraz już tylko komentują żywo między sobą, niektórzy jeszcze wytrwale próbują coś dojrzeć, inni już dojrżeli do odejścia. Tymczasem u nas drzwi otwarte z przodu, można wychodzić, ale jak tu wyjść? Ja to nic nie mam poza paperbackiem i wodą w plecaczku, chłopak z walizą i gitarą, co podzwonne dla samobójcy brzdękneła o podłogę, też sobie poradzi, ale zależnione panie z tobołami, jezusmaria jak wysoko, ja tu nie zejść, mają kłopot. Schodki przystosowane do wychodzenia na peron, a nie na tory, trzeba pomóc, teraz trochę robię za przewodnika górskiego; panie starszawe za ciężkie, żeby je hop-siup za biodra i na ziemię, więc jeden z góry trzyma za ręce i opuszcza, drugi z dołu czeka na nogi i daje oparcie. Tłok, bo tylko te drzwi z przodu otwarte, takie zalecenie, żeby jak najdalej od tego tam, niedawno mężczyzny, obecnie trupa płci męskiej, co nie dokończył rozmowy telefonicznej, bo teraz już od szeptańek prze-

kazywanych wywiedziano się, że to nie samobójca, tylko zagadany przechodzić. Kładka kiedyś była, ale się zestarzała i zniknęła, a ludzie przywykli, więc dalej przechodzą, tylko

przez tory, w miejscu cokolwiek ryzykownym. No a ten się zagadał, od razu sobie wyobrażam, z kim rozmawiał aż tak, żeby nie zauważyć mazowieckich kolei losu, przecież to nie teżewie, da się zauważyć z daleka. Może kłócił się z dziewczyną, kobietą czy, jak wołają fanatycy z nowej lewicy, osobą menstruującą, może właśnie mu powiedziała, że przestała menstruować, na co on: „Kochanie, to wspania...”. I od razu nie bez złośliwości rozmyślał, czy hunwejbini lingwiści uznają określenie „pogrobowiec”, czy też może znaleźli już jakiś feminatyw.

W końcu wszyscy wyleźli, idziemy torami, śmierć zostawiając za plecami, panowie taszcza toboły pań, nie jest przyjemnie, bo między szynami kamienie i śmieci, głównie szkło porozbijane, a dzień upalny, nikt butów górskich nie założył. Tempo niewysokie, skarpy owszem, taki wawóz kolejowy, idziemy. Idziemy tak długo, że już się pojawiają nagłówki w mediach: „Tragiczny wypadek pod Rakowcem”, „Pociąg potrafił śmiertelnie mężczyznę”, tabloidy wołają wersję ostrzejszą: „Masakra na torach”, „Mężczyzna rozjechany przez wagony”. I ja sobie układałam w głowie, jak to opowiem, bo przecież nie mogę nie opowiedzieć, przeżywam to, wszakże śmierć jest w życiu wydarzeniem, cudza śmierć, własnej się nie przeżywa.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

**Śmierć jest w życiu wydarzeniem,
cudza śmierć, własnej się nie przeżywa.**



1



2



**GRAND
press
PHOTO**

2021

1. I miejsce w kategorii LUDZIE – Jeremi Astaszow, Astashow Studio
Z powodu lockdownu Agnieszka i Piotr zorganizowali przyjęcie weselne nie w pięknej sali balowej, ale w rodzinnym domu w starej katowickiej kamienicy.

2. III miejsce w kategorii ŻYCIE CODZIENNE – Paweł Jędrusik, Edytor.net/TVS.pl

Wolontariuszka grupy Korona Jaworzno pomaga w sprzątaniu mieszkania. Grupa powstała na początku pandemii i od tego czasu wspiera osoby starsze i potrzebujące.

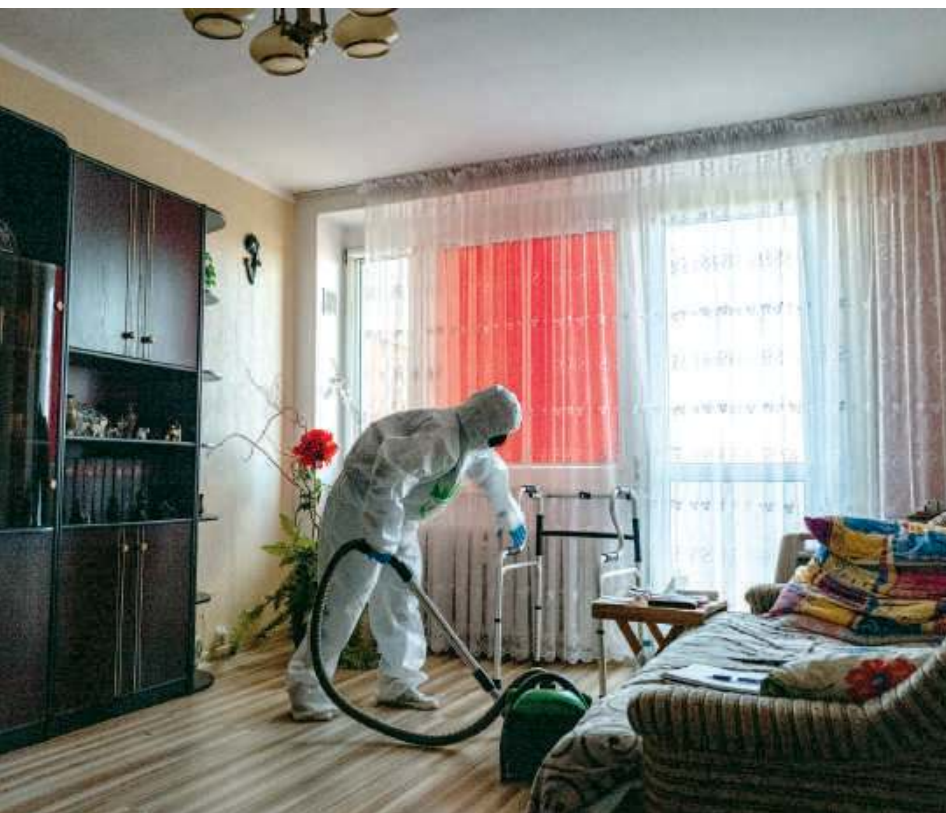
3. Nagroda internautów – Mateusz Skwarczek dla „Gazety Wyborczej”
Portret Jerzego Urbana, polityka i dziennikarza, rzecznika rządu PRL, redaktora naczelnego tygodnika „Nie”.



5



6



4. III miejsce w kategorii PORTRET – Mateusz Skwarczek dla Wysokieobcasy.pl
Artystka Monika Zielińska „Mamzeta” pozuje w odlewie wykonanym przed mastektomią.

5. II miejsce w kategorii LUDZIE – Wojciech Jargiło, Polska Agencja Prasowa
Kibice Motoru Lublin podczas meczu 8. kolejki Ekstraligi żużlowej z Betardem Spartą Wrocław wynajmowali podnośniki, aby obejrzeć zawody.

6. II miejsce w kategorii WYDARZENIA – Jarosław Respondek, Agencja Reporter
Gdańsk, ogólnopolski protest samochodowy po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji.

7. III miejsce w kategorii LUDZIE – Michał Niwicz dla Polska-zbrojna.pl
Żołnierze z Giżycka podczas wspólnych ćwiczeń z żołnierzami z Wielkiej Brytanii i Rumunii.



Rozmawia Paula Leśniewska

Ola Kozuń i Kuba Rok od kilku lat są aktywistami. Zaangażowali się jako wolontariusze w Inicjatywę Dzikie Karpaty, nieformalne stowarzyszenie, które ma jeden cel – ochronę Puszczy Karpackiej. „Od lat trwa dewastacja lasów Pogórza Karpackiego. Lasów, które już dawno powinny zostać objęte ochroną w formie parku narodowego, o utworzenie którego starania trwają już przeszło 35 lat. Tysiące udokumentowanych zniszczonych stanowisk gatunków chronionych, apele, petycje – nic to nie daje”, piszą aktywiści na Facebooku Inicjatywy Dzikie Karpaty. Od 25 kwietnia blokują siedem wycinek w Nadleśnictwie Bircza (woj. podkarpackie). Deklarują, że nie odejdą, póki nie zostanie tam utworzony Rezerwat Przyrody Reliktowa Puszcza Karpacka, a następnie powołany Turnicki Park Narodowy.



Turnicki Park Narodowy teraz!

Czas działać – mówią aktywiści z Inicjatywy Dzikie Karpaty



Dlaczego bronicie Puszczy Karpackiej przed wycinką?

Kuba: – Bo znamy jej wartość. Puszcza Karpacka jest najcenniejszym lasem górskim w Polsce. Rozciąga się na terenie Pogórza Przemyskiego, Bieszczad i Beskidu Niskiego. Część puszczy została posadzona, część wyrosła w okresie powojennym na wyludnionych terenach. Jednak z punktu widzenia bioróżnorodności najcenniejszy jest las, który rósł tam długo przed wojną i nie był sadzony przez człowieka. Są w nim gatunki roślin, których nie znajdziemy w lasach posadzonych przez leśników. Stara, naturalna Puszcza Karpacka jest fenomenem na skalę europejską. To też jedyne miejsce w Polsce, w którym żyją wszystkie duże drapieżniki, m.in. wilk, niedźwiedź, żbik, ryś, oraz różne ptaki drapieżne – np. orzeł przedni. Są tam również tzw. relikty puszczańskie – mchy i porosty, które wykształciły się przez specyficzny mikroklimat starego lasu. Laikowi może wydawać się mało istotne, że w jakimś lesie rośnie bardzo rzadki gatunek mchu. W takim razie może przekona-

go argument, że lasy są niezbędne do życia ludziom. W dobie kryzysu klimatyczno-ekologicznego stare lasy to nasza polisa ubezpieczeniowa. Magazynują dwutlenek węgla na większą skalę niż lasy gospodarcze, do tego są ostoją bioróżnorodności. Poza tym dowiedziono, że stare lasy utrzymują chłodniejszy i wilgotniejszy mikroklimat, więc chronią nas przed globalnym ociepleniem.

Ola: – W Polsce zaledwie ok. 3% lasów, włączając w to parki narodowe i rezerваты, ma ponad 120 lat. Zostały nam naprawdę resztki.

Oboje jesteście fanatykami dzikiej przyrody. Co was w niej urzeka?

Kuba: – Do Puszczy Karpackiej po raz pierwszy pojechałem na wycieczkę szkolną w liceum. Zapamiętałem to miejsce jako dzikie i odludne, jak nie z tego świata. Przebywanie w lesie takim jak Puszcza Karpacka to zupełnie inne doświadczenie niż spacer po uporządkowanym lesie zasadzonym ręką człowieka. Tu można prawdziwie odpocząć. Chcę, żeby inni, również w przyszłości, mogli cieszyć się pięknem i wyjątkowością puszczy. Dlatego od

trzech lat sporo czasu poświęcam na ochronę tego miejsca.

Ola: – Traktuję las jak mój dom. To miejsce, gdzie mogę się schować, oddychać pełną piersią, być sobą. Przed dołączeniem do IDK nie byłam szczególnie mocno związana z Karpatami, mimo to postanowiłam zaangażować się w ochronę tego wyjątkowego miejsca, bo miałam świadomość, jak ważne dla nas wszystkich jest zachowanie puszczy w jak najlepszym stanie.

Działacie jako wolontariusze. Jak znajdziecie na to czas?

Ola: – Ta działalność od dwóch i pół roku zajmuje większość mojego czasu. Moje życie zupełnie się zmieniło – z jednej inicjatywy rodzą się kolejne. Cały czas poznaję nowych ludzi, którzy angażują mnie w nowe protesty. Przygoda z Dzikimi Karpatami zaczęła się od letniego obozu w Zatwarnicy. Spędziłam tam kilka tygodni, zaczęłam się uczyć, jak chronić przyrodę, lasy. Działam też w inicjatywach antyłowickich i *zero waste*. Dla mnie ratowanie lasu to ratowanie mojego miejsca do życia.

Kuba: – Dla chcącego nie ma nic trudnego. Jestem aktywistą, bo nie mogę inaczej, czuję obowiązek interesowania się światem, w którym żyję. Na co dzień zajmuję się ekologią, pracuję na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadzę też terenową edukację leśną – uczę w lesie o lesie. W IDK działam w grupie medialnej, chodzę na patrole i wykonuję analizy kartograficzne. Większość ludzi działających w Dzikich Karpatach ma pracę. Część urlopu przeznaczają na robienie czegoś słusznego, bo czują taką potrzebę. Mogę z radością powiedzieć, że w Polsce widać wyraźnie ożywienie aktywistyczne. W zeszłym roku na nasz letni obóz szkoleniowy przyjechało wielu 18-, 20-latków. Ale najczęściej ludzie, którzy angażują się w obronę Puszczy Karpackiej, mają ok. 30-40 lat. Coraz więcej osób zaczyna widzieć skutki kryzysu klimatyczno-ekologicznego. Cały czas przekraczamy kolejne czerwone linie i nie zmieniamy kierunku. Ludzie chcą działać, widzą, że podawanie tweetów i wpisy na Facebooku to trochę za mało. Potrzeba osób, które będą na miejscu bronić lasu.

Wspominałeś o letnich obozach szkoleniowych. Co na nich robicie?

Ola: – W zeszłym roku na dwa tygodnie sierpnia przyjechało ponad 50 osób. Z taką grupą można zrobić większy protest, można na szerszą skalę organizować patrole wycinek, które prowadzi nadleśnictwo. Obóz trwa, dopóki są chętni – raz nawet rozciągnął się na dwa miesiące. Każdy, komu leży na sercu obrona Puszczy Karpackiej, jest mile widziany.

Kuba: – Na obozach edukujemy. Bardzo często przyjeżdżają do nas osoby, które chcą ratować Puszczę Karpacką, ale nie wiedzą, jak działa gospodarka leśna, na co zwracać uwagę w terenie, żeby móc wytknąć nadleśnictwom naruszenia regulacji, i jak pisać pisma do regionalnych dyrekcji ochrony środowiska. Nawzajem się tego uczymy. Czasem zapraszamy naukowców, którzy wspierają naszą inicjatywę, żeby powiedzieli, dlaczego puszcza jest tak cenna, co jej zagraża.

Co robicie, żeby zapobiec dewastacji Puszczy Karpackiej?

Ola: – Staramy się wywierać presję na Lasy Państwowe i na regionalną dyrekcję ochrony środowiska. Ale przede wszystkim edukujemy. Staramy się rozmawiać z turystami. Prowadzimy patrole leśne. Wielokrotnie już znajdowaliśmy wycięte

powinno zostać na miejscu. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że po pierwsze, źle zmierzyliliśmy pień, a po drugie, byliśmy na terenie objętym zakazem wstępu, więc jeżeli nie złożymy wyjaśnień, oni skierują sprawę do sądu. Tak często niestety wygląda nasza relacja z urzędnikami. My apelujemy tylko o przestrzeganie regulacji, które oni sami ustalili, ale oni nie chcą przyznać się do błędów.

Jaki jest wasz cel?

Ola: – Chcemy utworzenia Turnickiego Parku Narodowego i zaprzestania wycinki w otulinie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Jesteśmy też za zakazaniem polowań w tych rejonach.

Kuba: – Potrzebujemy zmiany modelu gospodarki leśnej. Teoretycznie ma on być wielofunkcyjny – łączyć funkcje gospodarczą, społeczną i przyrodniczą. Natomiast w praktyce na niemal całej powierzchni będącej pod nadzorem Lasów Państwowych dominuje funkcja gospodarcza. My chcemy zachować miejsca wolne od dominacji funkcji gospodarczej, bo one są np. cenne przyrodniczo. Zależy nam, żeby zmiana, która jest konieczna, nie odbyła się kosztem lokalnych społeczności. Polska dopłaca do wycinki drzew – tylko do nadleśnictw

Wycinka Puszczy Karpackiej to symbol świata, w którym konsumpcja przeważa nad zdrowym rozsądkiem.

lub oznaczone do wycinki drzewa o wymiarach pomnikowych (czyli kwalifikujących drzewo do uznania za pomnik przyrody – przyp. red.). Dokumentujemy to, wrzucamy zdjęcia na nasz *fanpage*. Mamy całkiem sporą grupę odbiorczą, informacje dostają się nawet do mainstreamowych mediów. Wiele drzew udało się nam uratować. Od kiedy działamy, leśnicy zaczęli bardziej uważać na to, co robią.

Kuba: – Wielu wolontariuszy na własną rękę jeździ do puszczy i prowadzi monitoring. Kiedy znajdujemy drzewa o wymiarach pomnikowych przeznaczone do wycięcia, piszemy o tym do nadleśnictw. Istnieje wewnętrzne rozporządzenie, które je zobowiązuje do zachowywania takich drzew. Ostatnio wysłaliśmy do Nadleśnictwa Bircza mejl, że przeznaczyło do wycięcia drzewo, które

bieszczadzkich (Stuposiany, Cisna, Lutowiska) spływa ponad 20 mln zł dopłat rocznie. Te pieniądze mogłyby trafić w ręce ludzi, zapewnić przekwalifikowanie pracownikom leśnym.

Nie chcemy, aby Polska całkowicie wstrzymała eksport drewna. Ale nie możemy pozwolić, żeby drzewa z Puszczy Karpackiej szły na papier toaletowy albo meble, które za kilka lat wylądują na śmietniku. Wycinka Puszczy Karpackiej to symbol świata, w którym konsumpcja przeważa nad zdrowym rozsądkiem.

Potrzebujemy przejścia od świadomości do działania. Dlatego przyjeżdżcie do Puszczy Karpackiej i dołączcie do Inicjatywy Dzikie Karpaty. Spróbujcie pójść z nami na leśny patrol. Dzięki ochronie puszczy możecie dołożyć się do uratowania planety.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

Jak w wielopokoleniowej rodzinie

100-lecie „Przeglądu Sportowego”

Maciej Polkowski

„La Gazzetta dello Sport” – największy włoski dziennik sportowy, niemiecki „Kicker”, hiszpańska „Marca”, francuskie „L'Équipe” i „France Football” – w tym ekskluzywnym towarzystwie 21 maja 1921 r. pojawił się „Przegląd Sportowy”. Wśród redaktorów naczelnych pisma byli Ferdynand Goetel (1922-1926), pisarz, prezes Polskiego PEN Clubu, oraz Kazimierz Wierzyński (1926-1931), jeden z głównych członków grupy poetyckiej Skamander, zdobywca złotego medalu w konkursie literackim IX Letnich Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie w 1928 r. Dziennikarze tej gazety stawali się pomysłodawcami wielu znaczących wydarzeń w historii polskiego sportu, m.in. utworzenia ogólnokrajowej ligi piłkarskiej, kolarskiego wyścigu Tour de Pologne, a od 1926 r. regularnie organizują plebiscyt na polskiego sportowca roku. Kiedyś funkcjonowało powiedzenie, że dziennikarze sportowi dzielą się na tych, którzy pracowali, pracują lub będą pracowali w „PS”. Przez wiele, wiele lat to była superliga! W dniach szacownego jubileuszu warto spróbować przybliżyć redakcję taką, jaką widziałem i wspominam. Należy się to przede wszystkim tym, których już z nami nie ma.

Mokotowska 24

Do „Przeglądu Sportowego” trafiłem z ulicy. Kilka miesięcy po studiach, w marcu 1972 r., zdesperowany urzędniczą, absolutnie bezproduktywną pracą, zaszedłem do redakcji, która mieściła się w Warszawie w kilku połączonych mieszkaniach przedwojennej kamienicy przy Mokotowskiej 24. Chociażby z tego powodu panowała tu raczej familijna atmosfera. Często wywiewało nas z redakcji do niedalekiej narożnej kamienicy przy Koszykowej 24. Tam mieścił się bar Smakosz kategorii trzeciej – w którym w powieści „Zły” Leopolda Tyrmanda niejaki Szaja ukradł zegarek pijanemu



80-lecie „Przeglądu Sportowego”, Pałac Prezydencki, 21 maja 2001 r.

klientowi, a „orkiestra (...)” siedziała na końcu długiego, kiszkowatego pomieszczenia i już od 15 minut grała monotonna walczyka: »Jak przygoda to tylko w Warszawie, w Warszawie...«”. Jeżeli ktoś sądzi, że przebywaliśmy w Smakoszu z wyjątkowym zamiarem oderwania się od redakcyjnej codzienności, to jest w błędzie. Może nawet i takie były intencje, ale niemal w stu procentach (przy procentach) toczyliśmy ostre dyskusje o tekstach, rodziły się nowe pomysły i tytuły. Panowało bowiem przekonanie, że jak się trafi z tytułem, to artykuł sam się napisze.

Nasze wyjścia i posady w Smakoszu potępiał ówczesny naczelny,

dziennikarze” gustują w jakiejś trzeciorzędnej knajpie. Bywał porywczy, ale szybko mu przechodziło. Kiedyś w czymś nawaliłem i dopadł mnie rozjuszony na korytarzu: „Ja ciebie zaraz wyp...! Ty możesz najwyżej robić tabelki drugiej ligi”. Po latach spotkaliśmy się, a „Juc” stwierdził: „No, popatrz, ja ciebie chciałem wyp... a teraz jesteś naczelnym”. „Byłby to twój największy życiowy błąd”, odparłem. *À propos* błędów, a nawet wpadek – sprawcą jednej z największych był właśnie Jucewicz. Otóż obserwatorem UEFA na jednym z meczów pucharowych w Polsce był znany, wybitny fiński działacz Erkki Poroila. Chciałem przeprowadzić z nim

Kiedyś funkcjonowało powiedzenie, że dziennikarze sportowi dzielą się na tych, którzy pracowali, pracują lub będą pracowali w „PS”.

Andrzej Jucewicz. Systematycznie, mniej więcej raz w tygodniu, podczas redakcyjnych kolegiów grzmiał, że on to wszystko ukróci. Jako typowy sybaryta miał za złe, że „jego

wywiad, ale red. Jucewicz postanowił mnie wyręczyć. Po kilku dniach na pierwszej stronie zobaczyłem początek rozmowy z panem Suomen Palloliitto, czyli fińskim związkiem piłki

nożnej. Tak bywa, kiedy w pośpiechu nie doczyta się wizytówki.

Najlepsi z najlepszych

Przyszło mi uczyć się zawodu i pracować w gronie arcy mistrzów. A każdy z nich mógł się pochwalić nietuzinkowym życiorysem. Jestem dumny, że znałem ich osobiście.

Grzegorz Aleksandrowicz (1953-1975 w „PS”) – kilka lat był moim szefem w dziale piłki nożnej. Jego teksty wychodziły spod ołówka, ale od pierwszego dnia wymagał, żebym jak najszybciej nauczył się pisać na maszynie. Surowy, wymagający,

z najkomicniejszych zdarzeń z jego udziałem miało miejsce na dworcu w Paryżu. Rokrocznie wyjeżdżał szusować na nartach w kraju lub za granicą i niezmiennie pojawiał się w redakcji mniej lub bardziej poturbowany. Z towarzyszącym mu znanym dziennikarzem Jerzym Iwaszkiewiczem szukali peronu, z którego mieli wyruszyć do Warszawy. Rozglądali się – jeden z nogą w gipsie, drugi z ręką na temblaku – gdy wtem podszedł do nich życzliwy bagażowy i poinformował: „Panowie, pociąg do Lourdes odchodzi z peronu czwartego”.

Jerzy Jabrzemski (1937-1939 i 1970-1978) – specjalizował się

popularny i powszechnie lubiany **Mirostaw Skurzewski** (1971-2005). Pisał głównie o futbolu – niezwykle sprawny warsztatowo, o zaskakująco bogatej wyobraźni i... niefrasobliwości. Pierwszy z brzegu przykład. Po finale futbolowych mistrzostw świata w 1978 r. w Argentynie czekaliśmy kilkanaście godzin na połączenie z hotelem w Buenos Aires, gdzie przebywał nasz specjalny wysłannik „Mirus”. Wreszcie jest, słyszę znany mi głos: „No, cześć – zadzwonić za kwadrans” i trzask odkładanej słuchawki. Miał swój niepowtarzalny urok, nigdy nikomu nie sprawił przykrości, ale gdyby wtedy znajdował się w pobliżu... „Skóra” ubarwiał nasze życie, nie tylko dziennikarskie.

Co pewien czas organizowano ankietę, kogo najbardziej cenią Szanowni Czytelnicy. Punktowali nawet stali korespondenci zagraniczni – Gino Franconi z Włoch i Britte

Kilka pokoleń – odmienne życiowe doświadczenia, zupełnie inne spojrzenie na świat – a jednak lubiliśmy ze sobą przebywać.

a zarazem troskliwy. Niezmiennie mi powtarzał: „Pisz zawsze prawdę, a wszystko będzie dobrze”. Pan Grzegorz to nie tylko dziennikarz, ale także wybitny arbiter piłkarski i działacz. W czasie okupacji niemieckiej był jednym z organizatorów konspiracyjnych rozgrywek piłkarskich w Warszawie. Jako pierwszy Polak w historii sędziował mecz w eliminacjach mistrzostw świata – 6 września 1953 r. w Sofii pojedynek Bułgarii z Czechosłowacją.

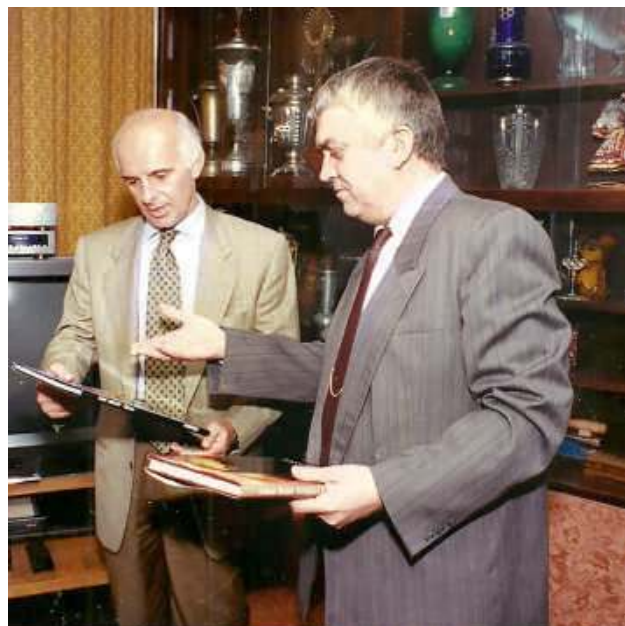
Lech Cergowski (1949-1986) – jego pasją było kolarstwo, ale pisywał także o innych dyscyplinach. Miał dar lekkości skojarzeń, barwnego opisu i wyjątkowo trafnych puent. Od 1941 r. był członkiem Armii Krajowej – walczył w powstaniu warszawskim. We wrześniu 1950 r. aresztowany pod sfinansowanym zarzutem szpiegostwa, skazany na karę 12 lat pozbawienia wolności, zwolniony został w marcu 1956 r. W wigilijnym wydaniu „PS” z 24 grudnia 1986 r. wstępniak jego autorstwa kończył się zdaniem: „Chce się żyć!”. Następnego dnia zmarł na zawał. Długo, bardzo długo nie mogliśmy się pogodzić z jego odejściem – przez kilka miesięcy krzesło, na którym siadywał podczas redakcyjnych spotkań, stało puste.

Adam Chojnowski (1960-1989) – powszechnie znany i ceniony komentator narciarstwa i tenisa. W czasie II wojny światowej on także był żołnierzem AK, a w latach 1944-1945 więziono go w obozie NKWD w Stalinogorsku. Jedno

w szermierce, ogłaszał coroczny ranking szermierzy. Organizował biura prasowe dużych imprez sportowych w Polsce (FIS 1962, mistrzostwa Europy w koszykówce 1963, mistrzostwa Europy w boksie 1975). Od listopada 1939 r. był członkiem Kwatery Głównej Szarych Szeregów. Uczestniczył w powstaniu warszawskim.

Zygmunt Weiss (1947-1970) – były lekkoatleta (biegi krótkie), dwukrotny olimpijczyk (Paryż, Amsterdam), specjalizował się w pisaniu o kolarstwie. Z „PS” współpracował jeszcze przed wojną. W kampanii wrześniowej brał udział w obronie stolicy. Trafił do niewoli niemieckiej. Przebywał w kilku oflagach, m.in. w Arnswalde, gdzie wydawał (ręcznie) „Przegląd Sportowy”. Głównie „Zyziowi” zawdzięczamy to, że można mówić o zachowaniu ciągłości wydawania „PS”. Jakiś czas po wojnie wrócił do Arnswalde, czyli Choszczna, gdzie był inicjatorem zawodów kolarskich. Zmarł na dziennikarskim posterunku podczas jednego z etapów Wyścigu Dookoła Austrii.

Z tymi wszystkimi ludźmi mieliśmy codzienny kontakt. Oni, mimo doznanych niegodziwości, nigdy nie odwrócili się do Polski plecami. Chyba nikogo już teraz nie dziwi, że „PS” kupowano często dla autorów. Jednym z nich był również niezwykle



W 1993 r. redakcję „Przeglądu Sportowego” odwiedził selekcjoner reprezentacji Włoch Arrigo Sacchi.

Germes z NRD. Po latach uchylam rąbka tajemnicy – głównie z racji skromnych finansów tym pierwszym był zajmujący się piłką nożną **Bogdan Bańka**, tą drugą – specjalista od pięcioboju nowoczesnego i judo **Grzegorz Krzemiński**.

W połowie 1976 r. przenieśliśmy się do nowej siedziby w Alejach Jerozolimskich 125/127 – budynku popularnego „Expressu Wieczorne- go”. Znacznie więcej pomieszczeń, ▶

► nowocześniejsze warunki pracy i wreszcie możliwość godnego przyjmowania gości. Pojawił się nowy szef – Łukasz Jedlewski, znany dziennikarz i działacz; człowiek wysokiej kultury osobistej. Pasjonował się koszykówką, a prywatnie był miłośnikiem baletu. Toczyłem z nim niekończące się boje o miejsce w gazecie, bo uważał, że piłkarze za bardzo się rozpychają na łamach. Z czasem coraz bardziej ustępował pola.

Do tej redakcji drzwi były zawsze szeroko otwarte. Pamiętam chociażby dość regularne wizyty znanych piłkarzy, np. Kazimierza Deyny, który potrafił po treningu pojawić się, by spytać, co słychać. Pewnego

dnia odwiedził nas Zbigniew Boniek i w swoim stylu wykrzyknął: „Panie, k... teraz już wierzę, że nie fałszujecie wyników plebiscytu!”. Uwierzył, bo wygrał i został najlepszym sportowcem 1982 r. Bywały wizyty bardziej oficjalne, takie jak prezydenta FIFA João Havelange’a (1990) czy selekcjonera reprezentacji Włoch Arriga Sacchiego (1993). Wyjątkowo dobrze pamiętam wieczorne spotkanie zespołu z ówczesnym ministrem Aleksandrem Kwaśniewskim. Poprosił o zadanie (przeczytanie) wszystkich pytań, a potem oznajmił, że odpowie na wszystkie, ale... w odwrotnej kolejności. Co tu dużo mówić – zaimponował zebranym.

I jeszcze jedno wspomnienie, tym razem bolesne. Tradycyjnie w dzień ogłoszenia wyników plebiscytu gościliśmy laureatów dziesiątki – rzecz jasna, nie ujawniając, kto jest triumfATOREM. Za rok 1991 wśród laureatów na siódmym miejscu znalazła się słynna himalaistka Wanda Rutkiewicz. W początkach stycznia 1992 r. pojawiła się w redakcji. Dopiero kiedy w maju dotarła wiadomość, że pani Wanda pozostała na zawsze na stokach Kanczendzongi w Himalajach, zrozumiałem, o czym rozmawialiśmy i co starała się mi przekazać... Kochała te swoje góry nad życie...

Nowa era

To nie miała być chronologicznie ułożona historia. Raczej kilka refleksji dotyczących pracy i życia w redakcji, którą w pewnym momencie nazwaliśmy przeglądową rodziną. Kompletnie inne doświadczenia, zupełnie inne spojrzenie na świat – a jednak lubiliśmy ze sobą przebywać. Dlatego były wspólne spotkania z okazji świąt czy wypadki najpierw do Smakosza, a po przenosinach w Aleje Jerozolimskie, do Balbinki. Miejsca nie tylko relaksu, ale także wielu spotkań, wywiadów. Balbinka była naszą bazą kontaktową od 13 grudnia 1981 r. do 1 marca 1982 r., gdy w stanie wojennym zawieszono wydawanie pisma.

22 marca 1990 r., kiedy Sejm uchwalił ustawę o likwidacji RSW Prasa-Książka-Ruch, wkroczyliśmy w nieznane. Już wiosną powstała spółdzielnia dziennikarska, a od 1 października zmieniło się kierownictwo redakcji. 1 lutego 1992 r. związano spółkę ze znanym biznesmenem Zbigniewem Niemczyckim (obecnie wydawcą jest Ringier Axel Springer Polska). A już 24 lipca, na inaugurację igrzysk olimpijskich w Barcelonie, ukazało się pierwsze kolorowe wydanie. Komputery zainstalowano w redakcji w połowie 1994 r. Nastąpił kres gazety z ołowiu. „Przegląd Sportowy”, który przez 32 lata, aż do przymusowego rozstania w 2004 r., był moim drugim domem, wkraczał w nową erę.

*Maciej Polkowski,
redaktor naczelny „Przeglądu
Sportowego” od 1 października
1990 do 30 września 1994 r.*

Ścieżki kariery

media, i samo MSZ słowami swojego wiceministra potwierdziły informacje, które podaliśmy dwa tygodnie temu w materiale „Tajemnica lotu z New Delhi”. Żadne fakty nie zostały podważone.

Pora więc iść krok dalej i do końca wyjaśnić pewne sprawy, które pojawiły się w związku z publikowanym tekstem. Korzystamy z okazji, by zadać MSZ poniższe pytania:

1. Czy prawdą jest, że PKT (Pan Klaudiusz Tchórzewski) wyjechał na placówkę dwa lata temu jako II sekretarz, natychmiast po zatrudnieniu w MSZ?

2. Jak trafił do MSZ?

3. Czy prawdą jest, że po dwóch latach zostanie przeniesiony na inną placówkę i awansowany?

4. Czy prawdą jest, że olbrzymia większość osób po aplikacji dyplomatycznej wyjeżdża na pierwsze placówki w stopniu *attaché*, czyli dwa stopnie niżej od Klaudiusza Tchórzewskiego?

5. Czy prawdą jest, że mniej więcej w tym samym czasie co PKT na placówkę do New Delhi i na kilkanaście innych trafiły osoby po aplikacji dyplomatycznej – oczywiście na stopień *attaché*?

6. Jaka jest różnica w zarobkach między *attaché* a II sekretarzem?

7. Ile lat średnio trzeba przepracować w MSZ, żeby przejść drogę: *attaché*, III sekretarz, II sekretarz, I sekretarz?

8. Czy prawdą jest, że PKT wyszedł ze szpitala 28 kwietnia, czyli po kilku dniach od ewakuacji 23 kwietnia? (Sądźmy, że odpowiednie zaświadczenie ze szpitala jest do wglądu Pana Ministra w BSO. Natomiast nie kierujemy do MSZ pytania o niebezpieczeństwo spowodowania w ten sposób indyjskiej odmiany wirusa, bo to pytanie do Ministerstwa Zdrowia i GIS).

9. Czy tak jak do New Delhi zostaną wysłane szczepionki do innych, najbardziej zagrożonych placówek: w RPA, Brazylii, Meksyku, Tajlandii czy Indonezji?

Odezwali się również w mediach obrońcy ścieżki kariery Klaudiusza Tchórzewskiego. Ciekawe, że bronią go ci, którzy sami korzystali wcześniej z podobnej...

Jak ta kwestia jest bolesna dla młodych ludzi rozpoczynających pracę w MSZ, widać po wynikach ankiety NSZZ Solidarność. Większość młodych ludzi zwraca w niej uwagę na nepotyzm w resorcie. Oni zdają trudny egzamin wstępny (obowiązkowo dwa języki), następnie robią aplikację, uczą się trzeciego języka, wyjeżdżają na staże placówkowe. Muszą zdać bardzo trudny egzamin końcowy z praktyki dyplomatycznej, konsularnej, historii stosunków międzynarodowych i prawa UE. A tu, proszę, wchodzą do MSZ ludzie z boku i przeskakują szczeble kariery.

Niejako przy okazji sprawy z Klaudiuszem Tchórzewskim wiceminister Paweł Jabłoński wykrzyczał swoją złość na nas i na ambasadora Jana Wojciecha Piekarskiego. Jeśli chodzi o nas – kłamstwa będzie musiał prostować przed sądem. A jeśli chodzi o ambasadora Piekarskiego... Porównajmy osiągnięcia zawodowe obu panów. Paweł Jabłoński był adwokatem, zastępcą dyrektora w kancelarii premiera, nigdy nie pracował w MSZ ani nie był na zagranicznych placówkach, jest wiceministrem. Jan Wojciech Piekarski był dyplomatą w Iranie, szefem sekcji interesów USA w Iraku (wybrany przez Amerykanów), ambasadorem w Pakistanie, Belgii i Izraelu. Był też dyrektorem protokołu dyplomatycznego i Departamentu Azji. Jest wykładowcą akademickim i autorem kilku książek o dyplomacji. Stanowisk wicedyrektorskich i innych nie podajemy, by nie stresować wiceministra.

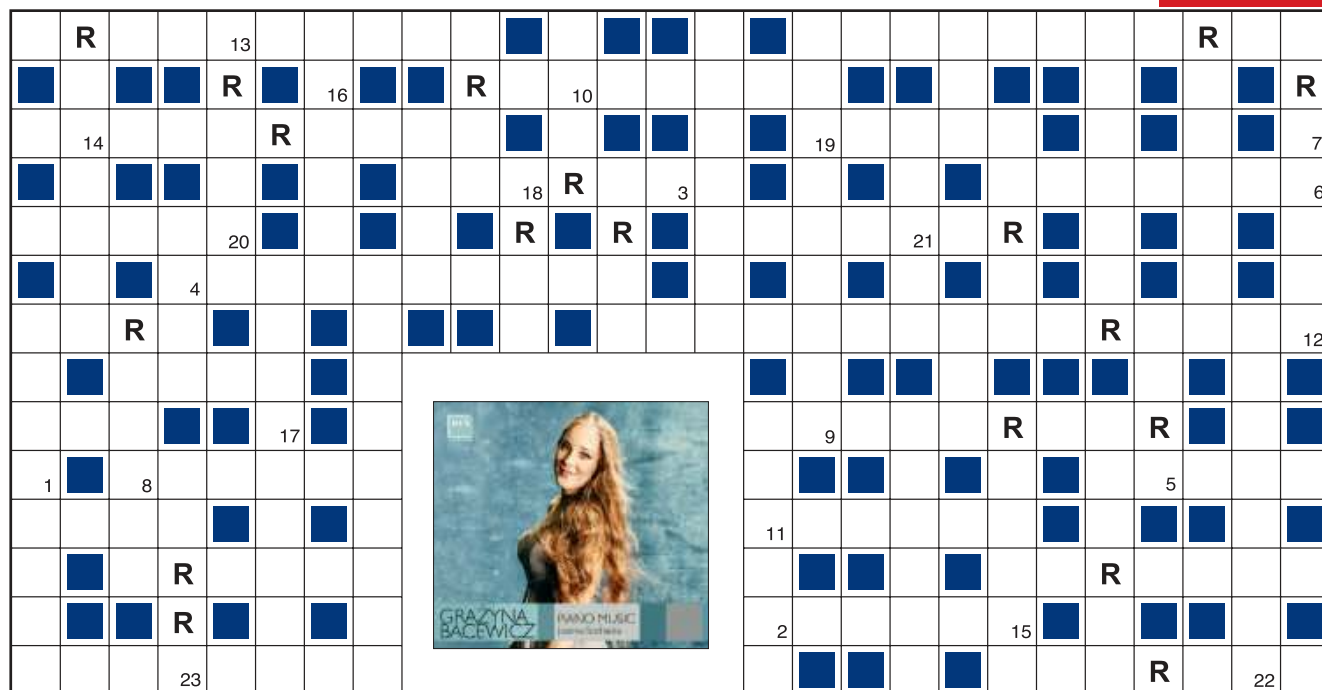
Attaché



II miejsce w kategorii
ŻYCIE CODZIENNE
– Maciej Stanik
dla NaTemat.pl

W związku z szybkim szerzeniem się koronawirusa w Afganistanie rząd zaczął atakować jedną z najbardziej narażonych grup – narkomanów w stolicy. Zdaniem władz duże ich skupiska mogą się stać ogniskami wirusa. Większość uzależnionych zażywa narkotyki, bo nie ma pracy, wsparcia rodziny ani perspektyw.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- ojciec i doktor Kościół, patron pszczelarzy
- przerwa na spacer po foyer
- gnieźnińskiemu przysługuje tytuł prymasa Polski
- do czeskich należał Jan Amos Komeński
- biała, długa lub jądrowa
- tracenie umiejętności obcowania z ludźmi
- udoskonalili telefon Bella
- ...kawy to Brazylia, a herbaty – Chiny
- Abu Zabi, Dubaj lub Szardża
- futerał na okulary
- masyw górujący nad Zakopanem
- zimowa szklanka
- życie bez trosk i zmartwień
- karciany dzwonek
- bubel lub nic w świecy
- samec świni domowej
- badacz wszechświata jako całości
- cecha korytarzy labiryntu, górskiej szosy
- ceremonia nadania go wasalowi była inwestytura
- ich przodkami plemiona bałtyckie Kurów, Latgół, Zemgalów i Liwów
- w piekle czekało na niego łóżce mężczyzny
- spowodowana nadprodukcją soku żółdkowego
- znieczulenie ogólne
- wał pod torami kolejowymi
- walizka na podręczne drobiazgi
- nieoszczędne, nieekonomiczne zarządzanie
- nietoperze z rodziny mroczkowatych
- żona Torwalda z dramatu Ibsena
- oddalanie się kamery od aktora
- ...zimowy to oranżeria
- stan z Columbus, Cleveland, Cincinnati
- funkcja obserwatora pełniona przez marynarza na dziobie
- miejsce akcji „Dżumy”
- harowanie, niekonieczność na roli
- era z kambrem i permem
- należy do triady platynowców lekkich
- dzięki akwalungowi swobodnie porusza się w głębinach
- kursuje na trasie Świnoujście-Ystad
- piesek z dobranocki
- odmiana śliwy o dużych owocach
- popularna włoska potrawa
- ze stolicą w Kigali
- gra tak, że uszy puchną
- część stodoły na zboże, siano
- świeży z wyciskarki
- funduje nagrody na zawody
- liście na zupeł podawaną z jajkiem
- wesołek lub chichocik
- może być nieznoszący sprzeciwu
- celulozowa albo cukrowa
- zwane moczeniem kija
- ustne lub pisemne zabranie głosu
- Diego de la Vega na koniu Tornado

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1013”. Do rozlosowania CD „Joanna Sochacka. Grażyna Bacewicz. Piano Music” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 maja 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1010” z nr. 18: *Karząc, nie należy się gniewać.*
Nagrody otrzymują: Zofia Bajko z Białegostoku, Elżbieta Szymała z Wągrowca, Helena Wójcik z Kielc.

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

ANDRZEJ SZCZĘŚNIAK,
EKSPERT RYNKU PALIW

Sama energia odnawialna w żaden sposób nie będzie w stanie sprostać potrzebom naszego przemysłu. Twierdzenie, że energia wiatrowa, wodór, fotowoltaika, geotermia – nie mówiąc już o tak kretyńskich pomysłach jak spalanie węgla w złożu – razem wzięte będą w stanie zaspokoić nasze potrzeby, to zwykłe bajki. Jeżeli nie zbudujemy energetyki jądrowej i gazowej, to z czasem zostaniemy zmuszeni zamknąć nasze cementownie, zakłady chemiczne, papiernie, rafinerie itd. I może o to chodzi?

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

**DR HAB. ŁUKASZ
NIESIOŁOWSKI-SPANÓ,**
DZIEKAN WYDZIAŁU
HISTORII UW

Od lat mamy podobną liczbę kandydatów na studia. Zmieniło się coś innego – jest wśród nich coraz więcej błyskotliwych i coraz bardziej krytycznych wobec rzeczywistości młodych osób. Odwrotna korelacja pomiędzy budowaniem oficjalnej wizji przeszłości a zainteresowaniem młodych jest już widoczna: powstaje kontrakcja. Przychodzą do nas ludzie, którzy nie trawiają obecnej narracji. Są świadomi i umieją krytycznie myśleć. Już piszą np. o historii społecznej. To widać w pracach magisterskich i doktoratach.

Ci młodzi ludzie próbują odczytać przeszłość nie przez pryzmat obowiązkowych okularów, które ktoś odgórnie próbuje nam nałożyć.

RZECZPOSPOLITA

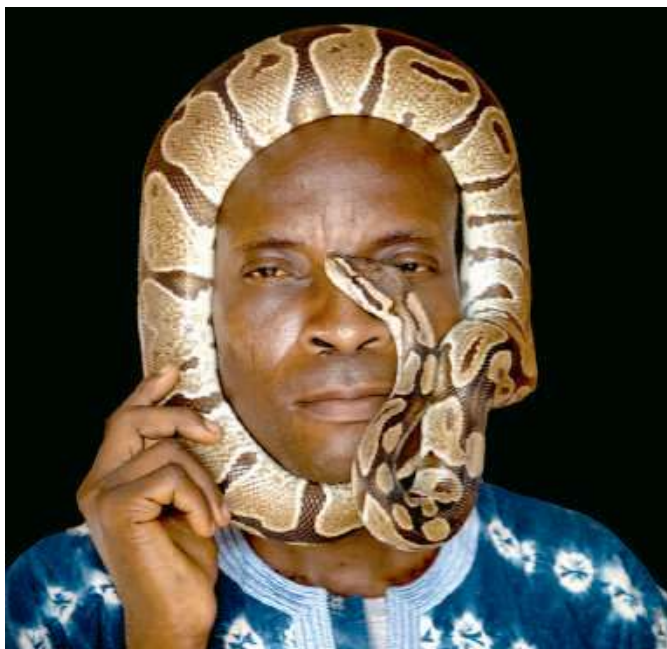
**HANNA MARIA
ZAGULSKA,**
WSPÓŁTWÓRCZYNI
PARTII RAZEM
I WIOSNA

Mam nadzieję, że za obecnym w Polsce poruszeniem młodych w kwestiach polityki, praw zwierząt, człowieka i kryzysem politycznym pójdzie zmiana podejścia do pracy i że młodzi przedsiębiorcy i przedsiębiorczynie będą w lepszych relacjach z osobami, które dla nich pracują. W końcu osłabnie ta narracja, że tylko przez walkę i niszczenie innych jesteśmy w stanie zapewnić sobie dobre życie.

PANI

KRZYSZTOF PIESIEWICZ,
PRAWNIK, SCENARZYSTA

Na pewno nie podobało się Kieślowskiemu w Stanach. Jak byliśmy tam, to tylko liczył dni, kiedy wreszcie będzie mógł wsiąść do powrotnego samolotu. Najbardziej denerwowały go pozory: sztuczne samozadowolenie, nieustanne uśmiechy i to, że wszyscy niby tak świetnie się czują. Wymyślił sobie, że na ich *How are you doing?* będzie odpowiadał: *I'm so-so*, czyli „tak sobie”.



Można mieć węża w kieszeni, ale można go mieć także na głowie. Strażnik świątynny w mieście Ouidah w Beninie ze swoim podopiecznym.

Aby język giętki...

ANNA DYMNA O UŚMIECHU

Wciąż mnie zadziwia, ile człowiek człowiekowi może dać samym uśmiechem.

**MARIUSZ JANICKI
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM**

W Europie nie znaczy nic, ale w kraju jest jak Legia Warszawa, często gra byle jak, ale to wystarcza.

JERZY URBAN O LEWICY

Otworzyła sobie drogę do dalszej kolaboracji z reżimem. Fuj!

**PROF. EWA ŁĘTOWSKA
O KREDYTACH FRANKOWYCH**

Banki dzięki skomplikowanym figurom umownym przeniosły całe ryzyko walutowe na klienta.

JACEK ŻAKOWSKI O PiS

Nieudolna władza kleptokratycznej, klerykalnej, autokratycznej mafii.

**ANTONI SZPAK
O RYSZARDZIE CZARNECKIM**

Ten facet bez kręgosłupa ulepiony jest z obłudy, hipokryzji i wazeliny.

MARIA SADOWSKA O ZWIĄZKU

Po 14 latach wiem, co jest najważniejsze: przyjaźń i seks. Chodzi o to, aby się nie lenić. Nie tylko w seksie, ale i w życiu.

**MARTYNA WOJCIECHOWSKA
O WYGLĄDZIE**

W naszym europejskim kanonie urody uchodzę za kobietę solidnych gabarytów.

**MAJA HYŻY
DO B. MĘŻA GRZEGORZA HYŻEGO**

Jesteś zwykłym tchórzem i zakłamanym pozorantem. Zniknij wreszcie z mojego życia.

GRZEGORZ HYŻY DO B. ŻONY MAI HYŻY
Jestem wstrząśnięty i zasmucony treścią tego kłamliwego i oszczerczego wpisu.

BEATA PAWLIKOWSKA O ZESZYTACH
Najładniejsze znalazłam w Brazylii, a papier najlepszej jakości w Japonii.

MICHAŁ BAJOR RADZI
Nie pozwól sobie wejść na głowę. Życie jest za krótkie, żeby wszystkim przytakiwać.

Kalmar na skalę ich możliwości

Władze japońskiego miasta Noto przeznaczyły część środków z tarczy antykryzysowej na... dziewięciometrową figurę kałamarnicy. Samorząd „zainwestował” w gigantyczną replikę głowonoga równoważącą ponad 1 mln zł, co było możliwe dzięki ok. 28 mln zł dotacji z rządowego programu wzmacniania lokalnych gospodarek, które ucierpiały z powodu pandemii. Włodarze miasta tłumaczą, że ich nieortodoksyjna decyzja w pełni wpisuje się w jego strategię rozwoju, zakładającą popularyzację lokalnego przysmaku oraz przyciąganie turystów. Innymi słowy, parafrazując polskiego klasyka, ten kalmar odpowiada żywotnym potrzebom całego społeczeństwa.

Ach, tu są niegdyśiejsze śniegi!

W Livigno we włoskich Alpach rozpoczęła się operacja magazynowania śniegu na sezon narciarski. W sieci można znaleźć fotki składowiska białego puchu na polanie na wysokości 1816 m n.p.m. W celu zabezpieczenia cennego surowca zastosowano izolacyjną warstwę trocin oraz materiał odbijający promienie słoneczne. Ekolodzy podkreślają, że dzięki tej praktyce można zaoszczędzić energię niezbędną do produkcji sztucznego śniegu, gdy tego prawdziwego jest zbyt mało. Potwierdza się, że zapobiegliwi najpierw mają trudniej, ale potem, *nomen omen*, z górki.

O tym się movie

Dobra wiadomość dla miłośników dubbingu: powstało oprogramowanie, dzięki któremu wizja i fonia będą ze sobą dobrze zgrane niezależnie od wersji językowej filmu.

Robert Lewandowski w walce o pobicie rekordu Gerharda „Gerda” Müllera (40 bramek w sezonie).



TrueSync firmy Flawless opiera się na technologii *deepfake*, do tej pory stosowanej głównie do tworzenia różnych rodzajów fałszywek, np. wstawiania twarzy celebrytek do klipów pornograficznych. Dzięki sztucznej inteligencji twarze aktorów będą mogły być tak modyfikowane, by podkładany tekst w danym języku zgadzał się z ruchami warg. To być może największa innowacja w branży filmowej od czasu wynalezienia... napisów.

Policz, to się nie przeliczysz

Jest i nowość dla fanów maratonów przed ekranem. *Can I Binge?* (canibinge.com) to narzędzie, które po wpisaniu tytułu interesującego nas serialu i czasu, w którym chcemy go obejrzeć, informuje nas, jak trudne będzie to wyzwanie. Chcesz np. w tydzień przypomnieć sobie wszystkie nakręcone sezony „Przyjaciół”? Serialowy kalkulator powiadomi cię, że musisz być gotowy na 34 odcinki dziennie. Rozwiązanie powinni docenić zwłaszcza ci pozeracze rozrywki, którzy chcą zdążyć pochłonąć daną produkcję przed jej planowanym wypadnięciem z oferty Netflixsa lub innej platformy streamingowej. Smacznego!

Nie byle stół, nie byle bile

Jeśli zamiast filmów czy seriali wolisz bilard, na pewno zainteresuje cię samopoziomujący stół do tej gry, przeznaczony głównie dla właścicieli jachtów. Każda noga tego cacka, wykonanego m.in. z tytanu, włókien węglowych i skóry, automatycznie zmienia wysokość, co umożliwia niezakłóconą grę nawet podczas morskiego rejsu. Marka

ŚWIAT SIĘ KRĘCI





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj,
Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Bugatti zapowiedziała wyprodukowanie 30 takich mebli, z akcesoriami; zestaw będzie kosztować 250 tys. euro, ale czego się nie robi, żeby utrzymać poziom.

W Anglię pójdzie, drodzy panowie

Władze Lincolnshire zamierzają zatrudnić osobę, która w ich imieniu odwiedzi wszystkie puby na fragmencie wybrzeża hrabstwa od Grimsby do Bostonu. Głównym zadaniem wybrańca, który zarobi do 28 672 funtów rocznie, będzie badanie i rejestrowanie historii architektonicznej i społecznej knajp, co ma pomóc w dbaniu o te miejsca i zarządzaniu nimi. Coś nam mówi, że to jedna z tych prac, w których nie jest mikro ani przykro!

Dwie dziurki w nosie i znalazło się

Firma IAMS, produkująca karmę dla zwierząt, stworzyła testową wersję aplikacji wykorzystującej niepowtarzalność psich nosów do tworzenia biometrycznych dokumentów tożsamości. Twórcy NOSEiD zachęcają właścicieli, by przy użyciu smartfonowego aparatu zeskanowali nos swojego ulubieńca. Dzięki temu każdy posiadacz aplikacji, który trafi na błąkającego się czworonoga, będzie mógł sprawdzić, czy nie znajduje się on w rejestrze – wystarczy cyknąć mu fotkę. Zgodnie z porzekadłem: pokaż mi swój nos, a powiem ci, gdzie mieszkasz!





Cztery konie



Tabun



Ryby

KONIE i niekoniecznie

Józef Wilkoń to jeden z najwybitniejszych polskich ilustratorów, malarz, rzeźbiarz i autor scenografii. Pochodzi z Bogucic koło Wieliczki. „Lublin był dla mnie zawsze szczególnym miastem. Był w połowie drogi między Warszawą a Łańcutem, gdzie odwiedzałem rodziców. To była piękna droga. Małgosia, moja żona, prowadziła samochód. Ja rysowałem z okna uciekające krajobrazy. (...) W tym roku przekroczyłem czterdziestkę. Pracuję. Ruszam się. Wszystkie prace prezentowane na wystawie powstały w ostatnich miesiącach. Nie zamierzam na tym poprzestać, stale po głowie coś mi się pęta. Uświadomiłem sobie, że w młodości w ciągu jednego roku nie zrobiłem tyle co ostatnio”, opowiada artysta.

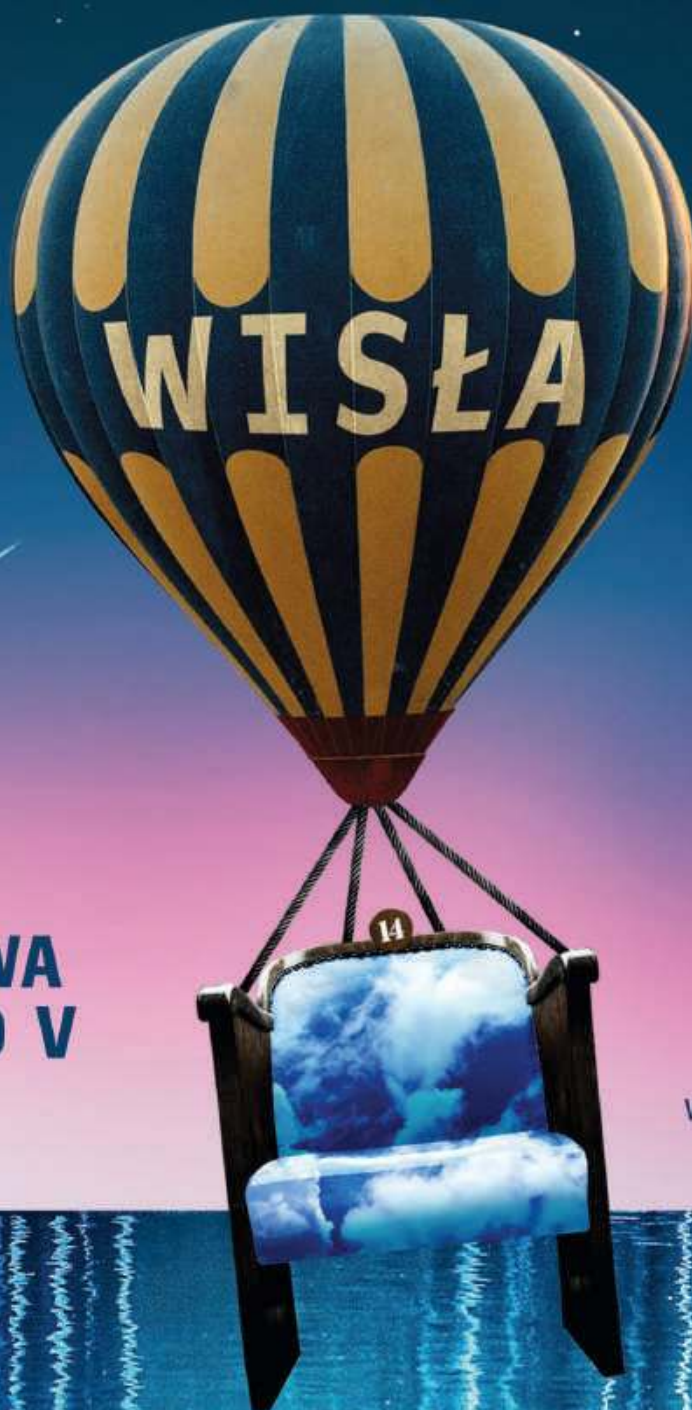
Wirydarz Galeria Sztuki Współczesnej
Lublin, ul. Grodzka 19
do 20 czerwca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Paw

14. FESTIWAL FILMÓW POLSKICH



**MOSKWA
20-30 V
2021**

www.festiwalwisla.pl

czerwiec-listopad 2021

Albania, Azerbejdżan, Białoruś, Chorwacja, Czechy, Gruzja, Kazachstan
Kirgistan, Islandia, Rosja, Serbia, Tadżykistan, Turcja, Uzbekistan

Finansowanie RP:



Finansowanie RF:



www.napalczona.pl

Organizatorzy:





FILM INSPIROWANY BESTSELLEROWĄ POWIEŚCIĄ JACKA LONDONA



MARTIN EDEN

REŻYSERIA PIETRO MARCELLO

*Piękne kino w haldzie wszystkim outsiderom
oraz indywidualistom*

Małgorzata Steciak

W KINACH OD 21 MAJA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kino w Europie”



KSIAŻKA
Z FILMOWĄ
OKŁADKĄ
W KSIĘGARNIACH
W CAŁEJ POLSCE

